MIESIĘCZNIK

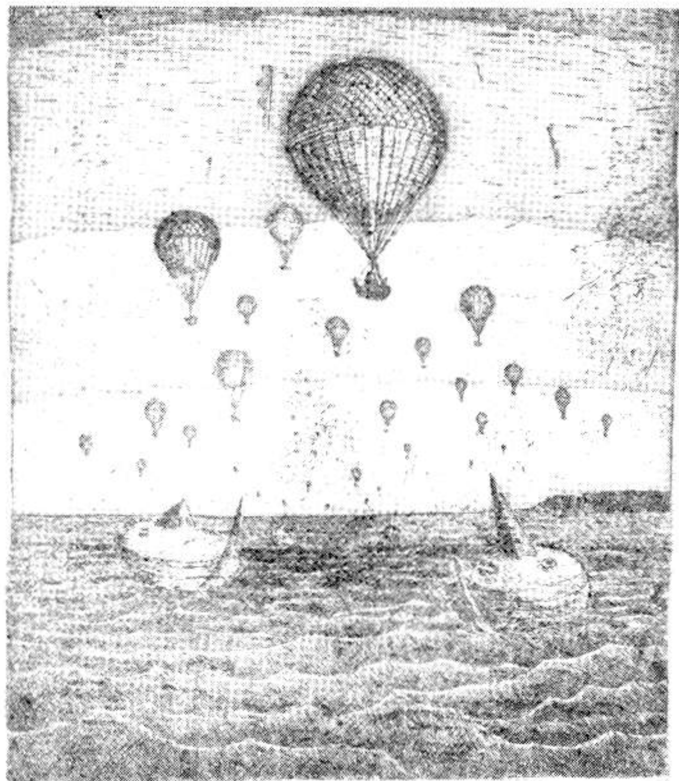
Fantastyka

11(62) LISTOPAD 1987 CENA 100 ZŁ

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839




Eugeniusz Józefowski

NAGRODY LITERACKIE „FANTASTYKI"

Z okazji pięciolecia naszej „Fantastyki" jury postanawia, odmiennie niż zazwyczaj, przyznać nagrody osobom, które zasłużyły się szczególnie w propagowaniu polskiej science fiction.

Nagrodę otrzymuje najpopularniejszy obecnie za granicą spośród polskich fantastów (po Stanisławie Lemie), autor dwóch powieści „Homo divisus" i „Adam jeden z nas" oraz wielu zbiorów opowiadań – utworów przetłumaczonych dotychczas na 13 języków – Konrad Fiałkowski.

Nagrodami wyróżnieni zostali także pisarze i działacze zagraniczni: Zdeněk Volný, redaktor naczelny czeskiej „Světowej Literatury" w Pradze, pisarz, za systematyczne publikowanie utworów autorów z Polski i not o naszej SF, oraz – Swietłana Michajłowa z WAAP (Wszechzwiązkowa Agencja Praw Autorskich) w Moskwie za przekazywanie wydawnictwom i czasopismom radzieckim utworów i informacji o utworach autorów polskich i umacnianie przyjaznej współpracy autorskiej między naszymi krajami.

W sierpniu 1987 r. już po raz czwarty obradowało w Warszawie jury dorocznych literackich nagród „Fantastyki". W skład jury wchodzili: Adam Hollanek (red. nacz. „Fantastyki") – przewodniczący jury, Maciej Parowski (kier. dz. prozy polskiej „Fantastyki") – sekretarz jury, oraz Leszek Bugajski (krytyk), Lech Jęczmyk (kier. dz. prozy zagranicznej), Maciej Hoffman (dyrektor Krajowego Wydawnictwa Czasopism), Maciej Makowski (wiceprezes Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki), Andrzej Niewiadowski i Jacek Rodek (zastępcy red. nacz. „Fantastyki") – członkowie jury.

Na zebraniu tym, po długotrwałej dyskusji podsumowującej dokonania roku 1986 w dziedzinie science fiction, jury postanowiło zmienić regulamin nagród miesięcznika. Kierując się względami oszczędnościowymi, ale i obawą przed deprecjacją nagród, jury wydłuża okres, za który będą przyznawane nagrody do dwu lat. Nagrody za lata 1986–1987 zostaną przyznane na posiedzeniu jury, które odbędzie się w pierwszym kwartale 1988 roku.

Jury postanowiło wprowadzić też dodatkowe kategorie nagród:

- w dziedzinie popularyzacji polskiej SF za granicą,
- w dziedzinie popularyzacji światowej SF w Polsce,
- w dziedzinie komiksu SF,
- w dziedzinie filmu fantastycznego.

Powyższe decyzje podyktowane zostały chęcią objęcia przez „Fantastykę" większego spektrum przejawów twórczości i działań SF w kraju i na świecie, a jednocześnie obawą, by przyznawanie nagród za okres zbyt krótki nie zmuszało jury do rozdzielania ich trochę na siłę. Zwłaszcza że w roku 1987 „Fantastyka" rozstrzygnęła obfitujący w nagrody i wyróżnienia konkurs na opowiadanie SF, obejmujący swym zasięgiem również teksty opublikowane w roku 1986.

W dodatku sytuacja w polskiej SF ustabilizowała się na średnim, przyzwoitym poziomie. Powstała wyraźna czołówka, ale nawet autorzy z tego grona coraz rzadziej zaskakują nas i siebie. A przecież nagrody „Fantastyki" winny premiować dokonania w wyraźny sposób nowe, otwierające nieznane jeszcze horyzonty, bliskie doskonałości.

Mimo to jury z radością przyznaje, że i w tym zwyczajnym, średnim roku 1986 dotarły do czytelników powieści, opowiadania, opracowania co najmniej interesujące. W pierwszej fazie dyskusji, zanim została podjęta decyzja o wydłużeniu cyklu nagród, jury rozważało przyznanie nagród i wyróżnień w poszczególnych kategoriach następującym autorom:

W kategorii książki roku 1986

- KONRADOWI FIAŁKOWSKIEMU za powieść „Adam, jeden z nas" (Wydawnictwo Literackie),
- JACKOWI NATANSONOWI za powieść „Złote Brighton" (Wydawnictwo Literackie),
- EMMIE POPIK za zbiór opowiadań „Tylko Ziemia" (Wydawnictwo „Iskry"),
- ANDRZEJOWI ZIMNIAKOWI za zbiór opowiadań „Homo determinatus" (Wydawnictwo Poznańskie),
- WIKTOROWI ŻWIKIEWICZOWI za powieść „Delirium w Tharsys" (Wydawnictwo „Pomorze").

W kategorii debiutu roku 1986

- WŁODZIMIERZOWI RÓŻYCKIEMU za opowiadanie „Weekend w mieście" („Fantastyka" nr 1/86),
- GRZEGORZOWI BABULI za opowiadania „Rondo" i „Resocjalizacja" (Almanach Literacki „Iskier" nr 4).

W kategorii opowiadania lub noweli roku 1986

- KRZYSZTOFOWI BIELECKIEMU za nowelę „End & Fin Company" („Twórczość" nr 8/86–9/86),
- MARKOWI ORAMUSOWI za opowiadanie „Kompleks Hioba" („Fantastyka" nr 7/86).

W kategorii krytyki 1986

- ANDRZEJOWI KOŁODYŃSKIEMU za pracę o filmie grozy „Seans z wampirem" (Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe).

Jury prosi, by traktować wymienionych Autorów jako honorowo wyróżnionych.

★

Przedstawione ustalenia dotyczą również nagród na działalność klubową. Nagrody w tej kategorii przyznawane będą także w cyklu dwuletnim. ■


Grzegorz Komorowski

21

Lino Aldani i Daniela Piegai zaliczani są do najwybitniejszych przedstawicieli włoskiej fantastyki. Ich wspólnie napisana powieść „Znak białego księżyca" to tak lubiana przez wielu naszych Czytelników fantasy - odmienna nieco od tradycyjnej, „conanowskiej", ale nie mniej przez to ciekawa.

W iele osób sądziło, że polityka cenowa w odniesieniu do książek przywróci szybko równowagę rynkową, że zmusi księgarzy do sprzedaży najwartościowszych utworów nie spod lady, ale w systemie „wszystko do zbycia": niech zagrają gusty i namiętności. Tymczasem zaczęły się dziać rzeczy dziwne, o których wspominałem już w majowym naszym orbitowaniu – pochód cen wzwyż, ku niedostępnym dla normalnych kieszeni regionom wciąż nie ustaje, książki wyszły istotnie na lady, ale bynajmniej nie wszystkie, a zmonopolizowany ich dystrybutor rozpoczyna wyraźnie nową grę nic nie mającą wspólnego ze stabilizacją na rynku!

To, co dawniej zamawiał w dziesiątkach czy setkach tysięcy i co bardzo szybko znikało z półek, obecnie zamawiane bywa w dziwnie mikroskopijnych ilościach. Co jest u diabła kosmicznego, to już nikt się z czytelnikiem kompletnie nie liczy, gwiżdżą panowie księgarze na jego faktyczne zainteresowania i potrzeby, jego namiętności i marzenia? Po staremu zostało tylko jedno – niechlujstwo wydawnicze, książkę kupujesz bracie za wielokrotnie wyższą od dawnych cenę, lecz pozbawiona jest ona najczęściej wszelkich ilustracji, zawarta w tekturowej lepiącej się okładce. Źle sklejona, słabo zszyta. Prawa rynku znowu zostały pogwałcone, a była i jest jeszcze okazja na ich pełne poszanowanie. I niech się panowie księgarze nie usprawiedliwiają, że swoimi jednostronnymi działaniami doprowadzili do wygospodarowania puli papierowej na zwiększenie liczby tytułów, bo to zwięszanie nie jest jeszcze absolutnie adekwatne ani do faktycznego popytu na książki, ani do możliwości naszych twórców: z deszczu nie zawsze w pełni uzasadnionych nakładów o olbrzymich wysokościach zostaliśmy nagle wprowadzeni do szaleństwa i grozy cen (wykrzywiających prawdziwy obraz zainteresowania w Polsce książką). Równocześnie zaczął się wytwarzać swoisty „młot na twórców". Także i fantastyki. Oto nadesłany do naszej rubryki „Lądowanie" list jednego z pisarzy (już znanych i uznanych) science fiction, Marka Oramusa z Myślenic:

...3...2...1...



Przeczytałem w numerze 5/87 komentarz Adama Hollanka na temat rozpowszechniania książek w naszym kraju (dotyczy to całej literatury, nie tylko SF). Pan Hollanek ma sto procent racji: księgarze przyzwyczaili się do dystrybucji książek, nie do handlu nimi. W handel, jak wiadomo, trzeba włożyć trochę starań i własnej inicjatywy, a dotąd książki sprzedawały się same. Obecnie, kiedy rynek nieco się nasycił (głównie wskutek wysokich cen, ale to inna sprawa), pojawiła się praktyka zamawiania przez księgarnie dużo mniejszej liczby egzemplarzy niż mogłoby się sprzedać. Sam padłem ofiarą tego mechanizmu: na moją książkę o SF „Wyposażenie osobiste", którą „Iskry" planowały wydać w 20 tysiącach nakładu, przyszło niespełna 5 tysięcy zamówień. Postanowiłem wyręczyć „Dom Książki" i we współpracy ze Śląskiem Klubem Fantastyki zająć się osobiście rozprowadzeniem części nakładu. Czytelników i Kluby proszę o zgłaszanie zapotrzebowania na „Wyposażenie osobiste" (w księgarniach nie będzie) pod adresem SKF lub moim, redakcję o zamieszczenie listu. Łamanie tego monopolu leży chyba w interesie nas wszystkich.

Marek Oramus, ul. Batorego 6
32-400 MYŚLENICE

Życzę oczywiście powodzenia w tej imprezie autorowi książki o fantastyce, którą ma wydać tak znana oficyna jak „Iskry", jednakże nie jest to na pewno recepta na załatwienie całej sprawy rozpowszechniania książek, jakaś ogólna recepta na nie ustabilizowany rynek. Niepokoi jednakże fakt oddania w pacht księgarzom praktycznie bezwzględnej władzy nad książką! Nie dość bowiem, że przytłaczającą większość tytułów rozprowadza jedna, jedyna firma, to jeszcze ona feruje wyroki według swoich anonimowych gustów i pretensji w odniesieniu do tego co „pójdzie", a co „nie pójdzie". Niebezpiecznie zakorzenił się nawyk sprzedaży książek spod lady, bo jakież inne mogą być poza tym nawykiem motywy nagłego ścinania wysokości nakładów o grube dziesiątki procent. Być może tego rodzaju próbna dystrybucja książek, stosowana w większości krajów Europy, powiodłaby się, gdyby można było dodrukowywać szybko – do małych początkowych nakładów – dodatkowe. Ale przecież to u nas niemożliwe, wprost absurdalne przy naszych kłopotach z poligrafią, która nie jest w stanie, tak, po prostu nie jest i długo jeszcze nie będzie, dodrukowywać, gdy z drukiem tego co już u niej zamówione nie nadąża.

Wszystko to razem ani autorom, ani czytelnikom nie rokuje dobrych nadziei i nie uderza jedynie w autorów słabszych, przeciwnie, bije z większą siłą w tych najbardziej popularnych, rozchwytywanych, między innymi także i w najpoczytniejszego na świecie z żyjących polskich autorów – Stanisława Lema – bez względu na to, czy fantastykę zaliczy się do normalnego, czy nienormalnego nurtu literatury. Zamówienia na książki Stanisława Lema ze strony panów księgarzy również, jak mnie poinformowano, wydatnie spadły.

Kończę ten w gruncie rzeczy alarmistyczny felieton fragmentem listu zaadresowanego do mnie przez pana Jerzego Kupisza z Gdańska (ul. Kościuszki 14/5), który wytykając nam przy okazji nasze błędy i stawiając swoje żądania (jak to zawsze miłośnicy fantastyki z wielką pasją) pisze:

(...) Nowe pismo („Fantastyka" – przyp. red.) *przyciągnęło rzesze czytelników (i bardzo dobrze), uwypukliło jednak zjawisko, o którym pan pisał: coraz droższe, coraz gorzej wydawane książki polskich wydawnictw były, są i będą kupowane – na co został skazany polski czytelnik, można by to jednak odcierpieć, gdy chodzi o pozycje dobre, poszukiwane i wydane tak, by nie rozsypały się po drugim czytaniu. Brak ilustracji i ciekawej okładki też nie zachęcają do kupowania, a w niektórych przypadkach wołają o pomstę do nieba. (...)*

Nic ująć, nic dodać. Sprawy te, wywołujące najwięcej reperkusji czytelniczych, zostawiamy do następnych orbitowań.

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1–0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Zam. 3302/87, K-22
Nakład 150 000 egz.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 24 sierpnia 1987 r.

Czytelnicy i „Fantastyka"

Lądowanie LVII

Dzisiaj, na odmianę, pytania Czytelników i natychmiastowe odpowiedzi. Niestety, nie zawsze jestem w stanie wyczerpująco i jednoznacznie zadowolić Państwa w tym względzie. Na przykład mnóstwo osób pyta mnie, dlaczego tak trudno załatwić prenumeratę pisma. Zwracają się także do nas liczni miłośnicy fantastyki z prośbą o pomoc w uzyskaniu prenumeraty lub poszczególnych, brakujących im numerów naszego pisma. Niestety, nie mamy żadnej władzy nad urzędnikami zajmującymi się prenumeratą ani też nie posiadamy składu zapasowych numerów.

Gdybyśmy spróbowali zaspokoić same tylko potrzeby uzupełniania zbiorów przez kolekcjonerów „Fantastyki" – musielibyśmy dodrukować tyle egzemplarzy, ile obecnie drukujemy. Ale jest to niemożliwe, ze względu na ograniczoną pulę papieru. Sądzę więc, że ci z Państwa, którym nie udaje się zaprenumerować, czy kupić pisma, mogliby korzystać z pomocy bibliotek klubowych, kolekcjonujących nasz miesięcznik, lub starać się zaprenumerować go zbiorowo. Innej drogi na razie nie widać.

Dla zagranicy

Już trzeci rok kupuję Wasze czasopismo i jestem z niego w sumie zadowolony. Co prawda jakość papieru nie najlepsza, ale rozumiem, że to od Was nie zależy. Piszę do Pana dlatego, bo w numerze majowym czytałem o edycji książek Biblioteki „Fantastyki". Czy mógłby mi Pan poradzić, jak mieć dostęp do tych książek? Niestety, nieczęsto mogę wyjeżdżać do Polski, bo pracuję i mam mało urlopu, no i to trochę kosztuje. Czy byłaby możliwość wysyłać te książki do Domu Polskiej Kultury na moje nazwisko, a ja bym kupił je za forinty (i tak wpadam tam co jakiś czas – gazetę też tam kupuję). Czekam na odpowiedź.

Póka Peter
Budapest
Węgry
Vadasz u.27. 2(12)a. H – 1954

Dlaczego tak mało numerów „Fantastyki" wysyła się do ZSRR, Czechosłowacji i Bułgarii? Sporo osób potrafi tam czytać po polsku. Mam wrażenie, że także i fantastyka z tamtych krajów zbyt słabo dociera do Polski, a przydałaby się żywsza wymiana wzajemna między fanami książek i czasopism fantastycznych. Myślę, że za mało w tym kierunku starań także i Waszych.

***Jan Woszczagin** z Gdańska*

Te dwa listy są przykładami dość częstej korespondencji, otrzymywanej przez redakcję – zawiera ona prawie zawsze te same prośby czy dezyderaty dotyczące możliwości zakupu pisma czy książek. Myślę, że wymiana między miłośnikami mogłaby być na razie jednym ze skuteczniejszych rozwiązań. Równocześnie przydałyby się usilniejsze starania kierowników księgarń w polskich ośrodkach zagranicznych o zwiększenie liczby pokupnych tytułów, także i literatury science fiction. Wiemy na przykład, że ma się powiększyć liczba egzemplarzy „Fantastyki" wysyłanej do ZSRR i Czechosłowacji, instytucje zaś kompetentne w sprzedaży książek polskich za granicę bardziej powinnyby dbać o zaspokajanie gustów tamtejszych czytelników. Nie słyszałem jednak właściwie nigdy i znikąd o – chociażby – próbach przeprowadzenia sondaży, jakie tytuły polskich książek idą za granicą i znajdują tam chętnych czytelników. Przecież w krajach całej Europy i nie tylko Europy zamieszkuje mnóstwo naszych rodaków, nie tak mała, jak się na pozór wydaje, jest liczba osób, znających przynajmniej biernie, język polski. Szkoda, że te sprawy, jakże dla naszej kultury ważne, są ciągle mocno zaniedbane. I jeszcze jedno wyjaśnienie: Biblioteka „Fantastyki" w KiW-ie jeszcze dotąd nie wystartowała. Gdy to wreszcie nastąpi, natychmiast poinformujemy o tym wszystkich Czytelników.

Humor fantastyczny?

Ciągle nie mogę zrozumieć dlaczego fantastyka czy science fiction muszą być drastyczne i ponure, dlaczego bywa to najczęściej literatura wprost straceńcza, na śmierć i życie i do ostatniej kropli krwi? Potwory, zabijania, pożogi i katastrofy, ależ czarna ta fantastyczna wyobraźnia twórców. Czy z wyimaginowanych przez fantastów światów nie można by trochę pożartować, pokpić, czy karykaturalne wymiary przyszłości muszą być prawie zawsze katastroficzne? Oprócz jednego Lema (w jego opisach przygód Ijona Tichego i w bajkach pełnych zjadliwego humoru) nikt prawie na świecie nie pokusił się o fantastykę kpiącą lub chociażby ironiczną, jak gdyby nie wypadało prześmiewać brzydkich wytworów ludzkiej wyobraźni. Wśród najmłodszych autorów polskich chyba tylko Jabłoński, jeśli dobrze pamiętam, w swoim opisie londyńskich przygód bohatera, pokpił sobie zarówno z samej fantastyki, jak i z jej wizji.

Przypominam, sporo humoru w ujęciu charakterów jak i rozwoju akcji powieściowej obserwujemy, a raczej obserwowaliśmy u Verne'a, który chyba właśnie na skutek tego dystansu do swoich bohaterów i ich losów zachował po dziś dzień zainteresowanie wśród znawców i miłośników SF i nie wyszedł całkiem z mody. Jak jednak zrozumieć tę falę ponuractwa, ogarniającego całą współczesną SF twórczość?

Z poważaniem
***Polonistka** z Wrocławia*

Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, jednakże przyznaję, że to zadziwiające zjawisko, iż literatura nie traktowana jako najpoważniejsza stała się tak potwornie poważna w swoich treściach. Być może dzieje się tak, ponieważ jej autorzy chcą sobie w ten sposób przydać więcej powagi niż się im należy – oświadczył mi jeden z najbardziej znanych na świecie autorów, gdy dyskutowaliśmy na ten temat. Mówił to z przekornym uśmiechem, lecz przecież – jak dobrze wszyscy wiedzą – pisuje on równie ponure teksty, co jego inni koledzy po fachu. Dlatego pozwolę sobie nie wyjawić jego nazwiska, a Państwa zapytac z kolei – czy nie drażni Was, Czytelnicy, brak poczucia humoru pośród twórców fantastyki, dlaczego „Seksmisja" czy utwory (niektóre) Jamesa Tiptree, Jr. należą do rzadkości? Proszę o wypowiedzi na ten temat i życzenia.

Redaktor

W zamierzchłej przyszłości, na kamiennym półwyspie istniało miasto leżące o jakieś dwa dni drogi od miejsca, gdzie kiedyś wznosiły się Ateny.

Półwysep wyglądał jak palec, spuchnięty w stawie, a potem zwężający się i wskazujący błękitne morze. Wzdłuż jego grzbietu rosły aromatyczne sosny, o kształcie otwartych parasolek, kaktusy, cyprysy, winogrona i drzewa oliwne nakrapiane mchami jak koronka pleśnią. Tam, gdzie półwysep się kończył, jakby na paznokciu tego palca, wyrostojną twarz o regularnych rysach, niebieskich oczach i silnie zarysowanej szczęce, okalała rzadka, złota broda.

Nefriki prawie zawsze się uśmiechał, nawet gdy był zły. A zły był prawie zawsze. Jego zadaniem było zabijanie ludzi.

Antarida, jego siostra, była osobą innego pokroju. Jej ruchy były tyleż ociężałe, co jego pełne napięcia. Miała jasną skórę, a jej ciemne brwi i rzęsy okalały intensywnie zielone źrenice o odcieniu, który można zobaczyć jedynie w oczach kota. Mia-

Brian Aldiss

NIE ZAPYTAŁEŚ NAWET JAK MAM NA IMIĘ

(You never asked my name)

sło małe miasto-państwo, zwane Tolan. Jego mieszkańcy zwali je Miejscem Doskonałym.

Ludzie, którzy mieszkali w Tolan, w swej wysoce zorganizowanej społeczności, uważali siebie za szczęśliwców. Sądzili, że są bezpieczni od szalejących po zrujnowanym świecie jak wiatry po wybuchu, wojen. Ominęły ich najgorsze fizyczne deformacje, spowodowane przez Kataklizm. Lecz ich umysły, bardziej wrażliwe niż ciała, nie mogły pozostać nietknięte przez to, co się zdarzyło.

Gdy patrzyło się nań z oddali, Tolan wyglądało jak zabawka. Każdy szczegół sprawiał wrażenie sztucznego, od miniaturowych pałaców po maleńkie, otoczone murami winnice. Sami ludzie, świadomi kruchości swego przetrwania, poruszali się jak lalki.

Nie było w Tolan takich dwóch domów, które by stały na tym samym poziomie. Uniemożliwiała to schodkowatość opadających ku morzu wzgórz. Dachy jednych były na poziomie skrawków trawy przed innymi. Ich białe ściany schodziły w dół, ku wodzie, pomiędzy głazami i krzakami, odwracając się od siebie jak skłóceni członkowie rodziny. Obcy, przybywający ze zniszczonej, pozostałej części świata, jadąc na mule przez góry, natknąłby się najpierw na dom Nefriki. Stał on na szczycie pochyłości, na najdalszym skraju miasta.

Tam żył Nefriki ze swoją siostrą Antaridą.

Nefriki i Antarida żyli z dala od miasta i od siebie nawzajem.

Nefriki był silnym, młodym mężczyzną, wspaniale umięśnionym, z głową okoloną masą złotych włosów, tworzących jakby lwią grzywę. Jego przyła smukłą postać o drobnych piersiach i wąskich biodrach. Goliła głowę, tak że w wieku dwudziestu jeden lat przypominała zarówno embrion jak i wiekowego starca. Jej obowiązkiem było zajmowanie się zmarłymi.

Żeby bronić się przed technicznym barbarzyństwem, które zapanowało nad resztą planety, mieszkańcy Tolan stworzyli bardzo sztywny system społeczny. Każda rodzina zajmowała niezmienną pozycję od najniżej znajdującego się w tej hierarchii poławiacza wodorostów aż po najwyższych urzędników, tak doskonałych i subtelnych, że zabronione im było oglądanie własnych ekskrementów. Praw w Tolan było wiele i wszyscy je znali. Wiedza, że za jakiekolwiek przewinienie grozi kara śmierci, zazwyczaj niesłychanie wyostrza pamięć. Przetrwanie zależało od posłuszeństwa w stosunku do prawa.

Utopiści z Tolan stworzyli coś, co nazwali Miejscem Doskonałym, ale przy tym zabili radość.

Purytanizm i zmysłowość przeplatały się tam jak dwa pędy winorośli niszczące się nawzajem. Chociaż mężczyźni mieli absolutną władzę nad kobietami, pod osłoną nocy pozwalali się znieważać przez nie na wszelkie możliwe sposoby. Czczono kłamstwa, kastracja była czymś powszechnym, a w sadyzmie widziano piękno.

Sławiono czystość moralną, a praktykowano każdą możliwą perwersję. Do smutku, który i tak stanowi główny składnik ludzkiego życia, Tolan dodało swoje własne supernieszczęście o imieniu utopia. I właśnie dzięki takim sposobom społeczności sprzed Kataklizmu udało się przetrwać.

Czasami przybywali tu uchodźcy ze zrujnowanego świata, wędrujący po opadającym grzbiecie półwyspu. Niekiedy do zatoki Spetsai wpływały małe łodzie chcąc przybić do brzegu w porcie Tolan.

Antarida zajmowała się zmarłymi. To do niej śmieciarze przynosili ciała tych, których zabił jej brat. Antarida skrapiała miłośnie swoją gołą czaszkę perfumami i zakładała czysty, biały welon. Potem delikatnymi dłońmi, igrającymi palcami, czyściła ciała nieżywych wrogów. Jej ręce i palce wędrowały we wszystkie, nawet najbardziej intymne zakątki ich ciał, szperając, dotykając i muskając. Włosy trupów były myte, a miejsca, z których wyrastały z ciała, nasączane woskiem dzikich pszczół, zamieszkujących półwysep. Potem ciała były palone poniżej miejsca, w którym gromadzono odchody kobiet tolańskich.

Dla tych, którzy urodzili się w Miejscu Doskonałym ostatni obrządek był inny. Oni także, gdy życie ich opuściło, byli oddawani w ręce Antaridy. To jej palce, po raz ostatni, naruszały ich intymność. Rodowitych Tolańczyków oddawano wodzie. Ich ciała, obmyte i uperfumowane przy użyciu całego kunsztu Antaridy, zabierane były w miejsce przy brzegu, specjalnie przeznaczone dla tego celu.

Parę stóp poniżej czystej tafli wody zatoki zbudowana była półka skalna, do niej odchodzący przymocowywany był za pomocą żelaznych łańcuchów. Żałobnicy mogli stać na brzegu i patrzeć. Nagie ciała jakby kiwały lubieżnie do żyjących swymi rozwartymi członkami. W zatoce nie było przypływów, bo nie było już Księżyca wędrującego po niebie, zniszczonego w czasie Kataklizmu. Martwi zdawali się poruszać tylko w rytm małych, kołyszących je fal, delikatnych jak palce Antaridy.

Ławice małych rybek szybko niszczyły niewinność trupa. Ryby, lśniące jak igiełki falowały podobne tkaninie. Wkrótce ci, którzy niedawno jeszcze żyli, byli nie do rozpoznania.

W czasie gdy w Tolan odbywał się jeden z takich pogrzebów, niedaleko, w miejscu gdzie kiedyś stało starożytne miasto Ateny, rozgrywano jedną z wielu małych wojen. Resztka ludzkiej rasy walczyła przeciwko wywodzącym się z niej wynalazcom. Grupa tych, którym udało się ujść z walki cało, skierowała się na południe. Dzień po dniu, uchodząc pogoni, zbliżali się do półwyspu, którego strażnikiem był Nefriki.

Czym była miłość lub co uchodziło za miłość w Miejscu Doskonałym? W niczym innym różnica między bratem a siostrą nie zaznaczała się głębiej. Wszyscy mężczyźni pożądali Antaridy. Pożądali jej młodości i jasnego ciała, kruchej piękności jej czaszki, ale przede wszystkim pożądali jej rąk, pamiętających to, czego dotykały. Od najdostojniejszego do najmniej znaczącego, wszyscy mężczyźni i niektóre kobiety marzyli – nawet bardziej niż o śmierci – żeby znaleźć się w objęciach Antaridy.

A ona nie odmawiała wzdychającym swoich wdzięków. Nie można powiedzieć, żeby była kobietą zmysłową. Ale lubiła pokazywać się całkiem nago, być obślinianą i obłapianą. A ona leżała tylko nieruchomo, jak jedno z tych ciał, którymi się zajmowała.

Jej brat, z małej wieży wartowniczej, górującej nad ich domem, patrzył w dół przez otwór w dachu. Widział, jak wyciągnięta w tej samej pozie, w jakiej przymocowywano trupy podczas ich morskiego pogrzebu, leżała, a mężczyźni przychodzili, żeby ją posiąść. Widok ten sprawiał Nefriki melancholijną przyjemność. Wiedział – bo takie były obyczaje w Tolan – że podniesie to tylko prestiż jego siostry.

Czasami Antaridę odwiedzał mężczyzna, którego Nefriki bardzo się bał, Sędzia Ikanu. Ten człowiek o ciemnym obliczu był głównym przedstawicielem prawa w mieście i Nefriki był przed nim odpowiedzialny za swoją pracę. Ikanu podlegały rubieże miasta. Ikanu mógł zdjąć Nefriki z jego stanowiska, lub skazać go na śmierć za najbardziej błahe uchybienie prawu.

Twarz sędziego była pełna okrucieństwa. Jego łysa czaszka naznaczona żyłami, wyglądała jakby mózg był na wierzchu. Kiedy Ikanu złożył swoje brudne ciało na ciało siostry Nefriki, przed domem siedział, tuż przy drzwiach, jego dziki pies, pilnujący swego pana. Gdy ujrzał twarz Nefriki, wyglądającego przez otwór w dachu, wyskrzeczał „Pilnuj się!" głosem tak niskim i przerażającym, jak głos jego właściciela. Pies jadał mięso, jego pan poprzestawał na diecie składającej się z wina i drobnych owadów.

Czasami Nefriki pozwalał swoim myślom powrócić w przeszłość, do Etsimity, miłości jego wczesnej młodości. Etsimita stała wyżej od niego w hierarchii społecznej. Nie wolno im było się kochać. Gdyby ktoś dowiedział się o ich uczuciu, oboje – Nefriki i Etsimita – ponieśliby śmierć. Być może grożące im niebezpieczeństwo sprawiało, że ich namiętność była tym większa. Wtedy Nefriki zdolny był jeszcze do miłości. Jego duszę całkowicie podbiło uczucie. Pragnął tylko jednego, zawładnąć Etsimitą i oddać się jej we władanie aż po głąb swojej duszy.

Spotykać się mogli tylko, gdy ciemność panowała nad światem. Pewnej nocy, kiedy gwiazd nie zakrywały chmury, spotkali się na brzegu morza i spacerowali boso, trzymając się za ręce. Rozmawiali cicho i poważnie o rzeczach, o których mówią zwykle kochankowie – rozmowy te były pełne uczucia, lecz Nefriki potem, w świetle poranka nie mógł ich odtworzyć, choć bardzo się starał.

Etsimitę przepełniało szczęście i piękno tej chwili. Podkasawszy swoją długą spódnicę weszła do wody, którą srebrzył blask Drogi Mlecznej. Zawołała do Nefriki, żeby poszedł za nią.

O niczym innym nie marzył. Ale nie zdążył. Przed Etsimitą wyrósł nagle ciemny kształt i wciągnął ją pod fale. Krzycząc, rzucił się jej na ratunek.

Gdy wypłynęła, morze wokół poczerwieniało od krwi. Obie jej nogi ucięte były prawie na wysokości kolan. Cięcie było czyste. To nie rekin rzucił się na nią, ale machina wojenna, która zdryfowała daleko ze swego kursu, przeklęty produkt zniszczonego świata.

Etsimita umarła, zanim Nefriki doniósł ją do domu. Jego siostra zasklepiła rany na jej nogach-kikutach i przeszła do obrządków pogrzebowych dochodząc swymi zręcznymi rękami, pilnymi palcami do każdego miejsca martwego ciała. Potem, ponieważ Etsimita pogwałciła nienaruszalne prawa swojego społeczeństwa, to co z niej pozostało, zostało złożone w dole na odchody. Wtedy w Nefriki zaszła jakaś zmiana.

Te wspomnienia wróciły do niego, gdy siedząc w swej wartowni, przyglądał się leżącemu poniżej ciału siostry. Ale nagle pierzchły na dźwięk kamienia spadającego gdzieś w górach, tak daleko, że tylko jego ucho zdolne było to wychwycić.

Nefriki natychmiast był gotów znowu stać na straży swojej społeczności. Ześlizgnął się na ziemię, wziął swój długi łuk i kołczan pełen strzał, który stał oparty o drzwi, a potem ruszył w stronę gęstych krzaków, które mogły go ukryć. Wspinając

się po głazach, szybko znalazł się na grzbiecie półwyspu. Na wprost niego coś się poruszało. Pomiędzy rozpiętymi jak parasole sosnami zobaczył grupę mężczyzn. Wysoko, ponad ich głowami, wytresowane przez Inamu złowieszcze ptaki krążyły, skrzecząc do wrogów swymi sztucznymi głosami: „Oddalcie się, oddalcie się".

W mieście byli też inni strażnicy, których Nefriki mógł przywołać. Przy kołczanie tkwiła piszczałka, której przenikliwy dźwięk wezwałby ich, ale Nefriki był tak pewien siebie, że podobna myśl nawet nie powstała mu w głowie. Podniecony, oczekiwał na moment, kiedy będzie mógł zabijać.

W ostatnich latach na górskie łańcuchy Grecji powróciły lwy i wilki. Nefriki poruszał się nie mniej cicho niż one. Kiedy posuwał się naprzód, widział jak w jego stronę zbliża się grupa pięciu mężczyzn. Jako pierwszy szedł zwiadowca skradający się z ogromną ostrożnością – trudniej było śledzić wzrokiem jego ruchy niż czterech pozostałych, podążających za nim. Jeden z tamtych był oczywiście dowódcą. Jechał na czymś w rodzaju maszyny z nogami, która skrzypiała cicho poruszając się naprzód. Pozostali trzej ciągnęli za nim z zawziętością i cierpliwością podwładnych. Rozsądnym posunięciem było zabicie dowódcy jako pierwszego.

Był to dumny mężczyzna. Rozglądał się arogancko, a jego ogolony podbródek wysunięty był mocno do przodu. Zauważył już, wyglądające jak zabawka, Doskonałe Miejsce. Głowę zakrywał mu hełm z maską, prawdopodobnie mającą chronić go przed szkodliwym promieniowaniem, które ciągle jeszcze obecne było w powietrzu. Przez jedno ramię przewieszony miał karabin.

Nad jego głową i nad sosnami kołowały złowróżbne ptaki, krzyczące wciąż swoje „Oddalcie się, oddalcie się".

Nefriki oparł się jedną ze swych silnych rąk o skałę, napiął mięśnie i czekał bez ruchu aż zwiadowca minie go o parę jardów. Wtedy założył strzałę na łuk. Uniósł się nieco i z całych sił naciągnął cięciwę.

Mały oddział zasłoniły na chwilę kaktusy. Gdy pojawił się znowu, Nefriki wypuścił strzałę. Gnała do swego celu wydając wściekły, znamionujący jej siłę, dźwięk. Przeszła przez cienki metal osłaniający pierś dowódcy i skonała między jego żebrami.

Mężczyzna umierał nie wydawszy jęku. Najwyraźniej był człowiekiem nie znającym wahań. Trafiony strzałą, nie namyślając się, spadł ze swojego pojazdu. Jego głowa uderzyła o ziemię, a z ust popłynęła mu krew wpływając pod hełm.

Nefriki wypuścił drugą strzałę i pobiegł do przodu nie sprawdzając, czy osiągnęła swój cel. Kiedy przemykał się między głazami, zarzucił łuk na ramię i wyciągnął krótki miecz. Ruszył na spotkanie z resztą wrogów.

„Oddalcie się" – krzyczały ptaki. Jeden z pozostałych przy życiu żołnierzy był zbyt przerażony, żeby strzelać. Drugi wymierzył swą samonastawną broń i wypalił. Sosna nad głową Nefriki wystrzeliła językami ognia. Nefriki ciął mieczem odrąbując prawe ramię mężczyzny. Pozostały przy życiu człowiek odwrócił się i zaczął uciekać. Dysząc ciężko Nefriki podniósł solidny, owalny kamień i cisnął nim za oddalającym się w dół wzgórza wrogiem. Usłyszał tępy dźwięk kamienia uderzającego w kość, a zarazem potem świst kuli przecinającej powietrze. To wracał zwiadowca.

Ponieważ zwiadowca strzelał bez przerwy, zdradzał tym swoją pozycję. Tym razem nie chodziło już o to, żeby atakować od tyłu i cicho, w zabawie wziął więc udział krótki miecz, którego skrwawione ostrze weszło gładko tuż nad żebrami zwiadowcy. Gdy ten upadł w pył drogi i umarł, Nefriki odwrócił się, żeby skończyć z mężczyzną, któremu wcześniej odrąbał rękę. Uśmiechał się.

Pomiędzy trupami stała maszyna, załadowana z tyłu ładunkami. Gdy Nefriki podszedł do niej odezwała się łagodnym głosem:

– Panie, będę ci służyć. Jestem stworzona do służenia. Nie niszcz mnie tak, jak zniszczyłeś tych ludzi. Mogę dla ciebie pracować przez wszystkie dni twojego życia.

Nefriki, nie odpowiadając, podszedł ostrożnie, żeby ją obejrzeć. Maszyna pomalowana była na matowy zielony kolor. Jej cztery nogi o wielu złączach kończyły się powyżej korpusu. Mogła się podnosić lub zniżać, upodabniając się do mniejszego lub większego zwierzęcia. W jej kwadratowej głowie obok oczu mieściły się wyloty dwóch karabinów. Były one wymierzone prosto w Nefriki w oczekiwaniu na jego odpowiedź.

W ułamku sekundy wymierzył jej potężne kopnięcie, trafiając maszynę w podbródek. Przez moment myślał, że złamał nogę, albo co najmniej palce, ale jego siła i sandały ochroniły go. Kiedy ból przeszedł, zobaczył, że zablokował głowę maszyny pod takim kątem, że jej karabiny były już bezużyteczne.

Przeniósł uwagę na znajdujący się z tyłu ładunek. Leżała tam przymocowana, zawinięta w folię, nieruchoma i jak przypuszczał, nieżywa, piękna dziewczyna. Gdy Nefriki stał, przyglądając się jej, otworzyła oczy i spojrzała na niego. Uśmiech zamarł mu na twarzy i Nefriki zaczął szarpać swoją złocistą brodę.

Potem zerwał paski, którymi dziewczyna była przymocowana, zdjął ją delikatnie z maszyny i postawił na ziemię. Podtrzymywał ją w pionowej pozycji obejmując jedną ręką w pasie. Potem zepchnął maszynę ze wzgórza, w kierunku odległego morza.

Usta dziewczyny poruszyły się:

– Oszczędź mnie – powiedziała, a z jej ust nie wydobył się nawet cień pary.

Usłyszeli strzały oddane w niewielkiej odległości. To nadchodzili inni strażnicy, wołając Nefriki po imieniu. Nie odpowiedział. Na wpół niosąc, na wpół ciągnąc owiniętą w folię dziewczynę, kierował się w kierunku płytkiej jaskini, której nie znał nikt poza nim. Wejście do niej zasłaniały gęste krzaki. Wgramolił się do środka wciągając dziewczynę za sobą. Leżeli obok siebie, dopóki krzyki pogoni nie ucichły, a szarość następująca po zachodzie słońca nie zlała się z szarością skał. Przez cały ten czas przyglądał się srebrnej twarzy swojej towarzyszki.

Kiedy wokół zapanował już spokój, Nefriki zaczął odwijać dziewczynę – najpierw delikatnie, potem coraz gwałtowniej, bo folia opierała się jego szarpnięciom. Kiedy była już wolna, wydała głębokie westchnienie i przeciągnęła się, podnosząc ręce ponad głową tak, że jej tunika odsłoniła uda. Włosy dziewczyny były ciemne i spadały prosto na ramiona. Była szczupła, a właściwie bardzo chuda. Połączenia jej ramion lekko zaskrzypiały, gdy podnosiła ręce do góry. Nefriki czuł, jak przechodzi przez nią niesłychanie delikatne drżenie i zrozumiał, że jej serce jest z plastyku. Leżał przestraszony. Oto był wróg, wyklęty przez Doskonałe Miejsce. Sztuczna istota. Kobieta nie będąca przedstawicielką rodzaju ludzkiego, ale stanowiąca jednocześnie ucieleśnienie kobiecości.

Leżąc czuł dotyk jej ciała. Silniki pracujące wewnątrz powodowały, że syntetyczna skóra była ciepła. Tak łatwo mógł ją zabić.



Nasza okładka: Ilustracja opowiadania R. Zelazny'ego „24 widoki góry Fudżi wg Hokusai" dla „Isaac Asimov's Science Fiction Magazine" VI/1985

o autorze czytaj na III stronie okładki

HISAKI YASUDA



– Dziękuję ci, żeś mnie uratował – powiedziała. – Nie musisz się mnie obawiać. Nie byłabym w stanie się obronić, gdybyś zechciał mnie zniszczyć. Wszyscy mężczyźni są moimi zdobywcami, wiem to – w jej głosie słychać było cień żalu.

– Mężczyźni, których zabiłem byli twoimi przyjaciółmi...

– Mężczyźni, których zabiłeś... – pozwoliła tym słowom pobrzmieć przez chwilę, po czym dodała. – Dla nich byłam tylko rzeczą. Mówiłam ci, nie musisz się bać.

– Bać się ciebie? Jak mógłbym się ciebie obawiać? Przecież widziałaś, jak sobie poradziłem z mężczyznami, którzy byli z tobą.

Kiedy nie odpowiadała, dodał.

– Nie boję się niczego.

Uniósł się i oparłwszy na łokciu, spojrzał w dół na jej twarz. Milczała nadal.

Gniewnie dorzucił:

– A czym ty w ogóle jesteś? Sztucznym stworzeniem. Nie rozumiesz nawet tego, co do ciebie mówię.

– Tak, jestem sztuczna. Jestem domowym androidem, zaprojektowanym, żeby zaspokajać męską potrzebę dotykania. Zabawką. – Było w jej głosie coś, czego nie rozumiał.

Tym razem to on nie odpowiedział.

– Stosunki między kobietami i mężczyznami są tak złe, że mężczyźni musieli wymyśleć mnie, żeby uniknąć prawdziwych kontaktów międzyludzkich – dodała.

– Czy możliwe jest mieć z tobą... prawdziwy kontakt?

Android z lekką kokieterią powiedział.

– To już ty musisz ocenić. I zależy to od twojego charakteru.

– Wyjdźmy stąd, chciałbym ci się przyjrzeć. I nie próbuj uciekać – powiedział tonem, któremu usiłował nadać władcze, męskie brzmienie.

Wyszła za nim z jaskini i stanęła w swobodnej pozie, z oczami zwróconymi ku morzu, mamroczącemu daleko w dole. Jej doskonale ukształtowana, anonimowa twarz przybrała zamyślony wyraz. Nefriki chwycił ją za nadgarstki.

– Rozbierz się.

– Chciałbyś zobaczyć mnie nagą? Wyglądam tak jak prawdziwa kobieta. Oczywiście rozbiorę się, jeżeli sobie tego życzysz, ale najpierw odpowiedz mi na parę pytań dotyczących ciebie.

– Dlaczego chcesz coś o mnie wiedzieć?

– To nas zbliży. A może boisz się tego? Powiedz, jak ci na imię.

– Nefriki, jestem strażnikiem tego miejsca. Widziałaś jakim dobrym jestem strażnikiem. Zabijam tych, którzy zbliżą się do Tolan. Jestem silniejszy i bardziej okrutny niż ktokolwiek inny w mieście. Mogę mieć każdą kobietę, jaką tylko zechcę. Wszystkie marzą, żeby się ze mną kochać.

Android odezwał się łagodnym głosem.

– Ja także chciałabym kochać się z tobą, Nefriki. Ale najpierw powiedz mi kim jesteś.

– Powiedziałem ci już. Jestem strażnikiem i najsilniejszym mężczyzną w Tolan. To jest Miejsce Doskonałe. Każdy tutaj boi się mnie i szanuje. Ostatnio zabiłem górskiego lwa gołymi rękami.

Usiadła, a jej twarz była ledwie widoczna w ogarniającym wszystko mroku.

– To wszystko przechwałki, Nefriki... Ale co znajduje się pod nimi. Powiedz mi, kim jest prawdziwy mężczyzna siedzący w tobie, i wtedy będziemy mogli się kochać.

Kucnął obok niej i gniewnie parsknął śmiechem.

– A czy to taki przywilej kochać się z maszyną? Też coś, wszystkie kobiety z Tolan pragną tylko tego i żadna nie pyta kim jestem naprawdę.

– Być może boją się pytać? A może boją się poznać prawdę? Czy wiesz, że istnieje garstka mądrych ludzi, którzy uważają, że Kataklizm nadszedł, ponieważ rządzący światem mężczyźni cierpieli na wspólny ich płci strach przed kobietami i lęki, że są kobietami? Musieli dowodzić swojej męskości, choćby nawet mieli zniszczyć planetę. A władzę dostali od ludzi, którzy myśleli tak samo jak oni. Kobiety wiedzą różne rzeczy.

– A co takiego wiedzą kobiety, czego nie wiedzą mężczyźni?

– Wiedzą, że mężczyźni pożądają ich ciał, ale boją się umysłów.

– Bzdury. Jesteś obłąkaną maszyną.

Pochyliła się bliżej ku niemu.

– Zanim odkryjesz jak bardzo potrafię być ludzka, Nefriki, wyjaw mi swoje najgłębsze sekrety, najbardziej skryte prawdy, powiedz mi, kim jest twoje najprawdziwsze ja... Nie pytam, żeby zdobyć nad tobą władzę, ale żeby cię wyzwolić.

Zbliżył się, wziął ją w ramiona i brutalnie zaczął całować w usta.

– Widzisz, nie czuję przed tobą lęku – roześmiał się. – A może to ty opowiesz mi swoje sekrety, jeżeli je w ogóle masz?

Położyła palec na ustach.

– Zdradzę ci mój największy sekret. Jest tak wielki, że uznasz go za błahy. Jestem jedynie lustrem. Mogę tylko odbijać mężczyzn mojego życia. Tak mnie zaprogramowano jako maszynę, ale mogę ci powiedzieć coś więcej. Odkryłam, że wiele kobiet rodzaju ludzkiego to także lustra. Same się w nie zamieniły. Ze strachu.

Tego typu rozmowa wcale mu nie odpowiadała. Nic z tego nie rozumiał. A poza tym był głodny.

Zerwał się na równe nogi i polecił kobiecie-androidowi, żeby poszła za nim. Skierował się prawie niewidoczną ścieżką w kierunku swego domu.

Antaridy nie było. Dom był pusty, drzwi otwarte. O tej porze nocy na pewno spoczywała w łóżku jednego z małych pałaców Tolan, leżąc pod jakimś nekrofitą z wyższych sfer.

Zapalił lampę, przyniósł chleb i mętne tolańskie wino. Poczęstował nimi dziewczynę, która stojąc tuż przy drzwiach, śledziła jego poczynania zmrużonymi oczami.

– Ja nie jem – odpowiedziała przyglądając mu się uważnie.

– Więc usiądź, gdy ja będę jadł. Denerwujesz mnie, gdy tak stoisz.

Podeszła do stołu, kołysząc biodrami. Została zaprojektowana, żeby sprawiać mężczyznom przyjemność każdym swoim ruchem, to było widać. Zastanawiał się, jak najłatwiej byłoby ją zabić.

– Jakie sekrety chciałabyś poznać. Ja nie mam tajemnic.

– Tak łatwo cię zranić, Nefriki – odpowiedziała łagodnie. – Można to poznać po tym, jak załamuje ci się głos pod koniec zdania. Uwielbiam to.

– Takimi głupstwami nigdy nie zdobędziesz mojego serca – odpowiedział napychając sobie usta chlebem.

– Ja nie chcę twego serca, tylko twojej duszy. Przyprowadziłeś mnie do tego domu, żeby mi odkryć jeden ze swych sekretów.

– Przyprowadziłem cię tutaj, bo chciałem coś zjeść. To jest mój dom, głupia gąsko, to wszystko. Mógłbym przetrącić ci ten twój plastykowy karczek.

Smutno pokręciła głową. Położyła obie ręce na stole i powiedziała:

– O nie, przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby poka-

zać mi, że żyjesz z kobietą. Czuję jej zapach w tym pokoju. Ale ty nigdy nie byłeś z nią w łóżku. Dlaczego mieszkasz z kobietą z którą nie sypiasz?

Walnął pięścią w stół.

– Ponieważ ona jest moją siostrą. A może uważasz, że powinienem sypiać z własną siostrą? Cokolwiek dzieje się w tym zniszczonym świecie, za taką nieprzyzwoitość płaci się śmiercią.

– Bo gdyby nie to... – powiedziała i pozwoliła słowom zawisnąć w powietrzu.

Pochylił głowę i jadł nie patrząc na nią, z ponurą miną wpychając sobie jedzenie do ust.

Wreszcie wstał, przeżuwając jeszcze ostatni kęs chleba.

– Noc jest piękna. Chodźmy popływać. A potem zobaczymy co dalej. Chyba umiesz pływać?

– Umiem, Nefriki. Umiem, podobnie jak inne kobiety, robić większość tych rzeczy, których mężczyźni oczekują.

Poprowadził ją w dół. Od czasu do czasu oglądał się, patrząc czy kobieta-android wciąż podąża za nim. Okazywała całkowite posłuszeństwo, ale nie ufał jej.

Jego obowiązkiem było ją zabić. Gdyby sędzia Ikanu odkrył, że darował życie intruzowi ze zniszczonego świata, Nefriki musiałby zginąć. Czuł wewnętrzny opór przed zrobieniem tego własnymi rękami. To stworzenie było potężną czarownicą, znającą mężczyzn w stopniu, który Nefriki uważał za niebezpieczny. Ale były inne sposoby na to, żeby się jej pozbyć.

Schodząc w dół w stronę brzegu minęli stojącą na stoku rezydencję Ikanu. Składała się ona z małych wież, w których tylko gdzieniegdzie widoczne były małe, kwadratowe okienka zaprojektowane tak, żeby nie wpuszczały do wnętrza światła słonecznego. Budynek przypominał kopiec mrówek. Gdy mężczyzna i kobieta-android mijali jego pochyły bok, w jednym z okien zobaczyli światło. Kiedy przechodzili jak najciszej koło frontowego wejścia, siedzący przy nim pies wydał groźny okrzyk „Pilnuj się".

Ale przynajmniej tym razem Nefriki był zbyt zajęty swoim zadaniem, żeby czuć lęk przed głównym sędzią miasta. Skoczył w dół, na piasek a tuż za nim dziewczyna.

Brian ALDISS

Znany jest ze swojej różnorodności – widać, że lubi eksperymentować z nowymi stylami i tematami. Jeżeli jednak istnieje temat stanowiący jego specjalność, to jest nim spotkanie dwóch zamieszkujących ten sam Kosmos ras istot (na różne sposoby) rozumnych: mężczyzn i kobiet. Znamy ten temat w ujęciu krwiożerczo feministycznym („Houston, Houston" J. Tiptree), kiedy kobiety wyrażają swoje marzenia o ostatecznym rozwiązaniu kwestii męskiej. Aldiss nie ustępuje feministkom w krytycznym przedstawieniu postawy karykaturalnie męskiej, ale robi to w imię ideału człowieka harmonijnego.

Ta konfrontacja pierwiastków męskiego i żeńskiego dokonuje się u Aldissa na tle dziwnego, postkatastroficznego społeczeństwa, którego fundamentalna obcość polega nie tylko na postawie antytechnicznej (to rzecz jakby oczywista i często wykorzystywana w brytyjskiej science fiction – Wyndham, Cooper i inni), ale i na kulcie śmierci, co przecież psychologicznie jest równie uzasadnione. A jednak tutaj Aldiss stoi prawie samotnie, może tylko obok Dicka i Zelazny'ego, którzy w powieści „Deus irae" ukazują kult inicjatora atomowej zagłady.

L. J.

Na plaży noc była jakby jaśniejsza. Nad głowami lśniły gwiazdy, a światło ich odbijało się w falach. Ciepła woda przy brzegu świeciła, jak pomalowana farbą luminescencyjną. Wzdłuż plaży przemykały robaczki świętojańskie, błyszczące jak miniaturowe żaróweczki. Nefriki zrzucił sandały, a potem, wahając się tylko przez moment, zdjął ubranie. Kobieta-android potulnie rozebrała się także. Stała przed nim zupełnie bezbronna, ze swym bezużytecznym biustem blisko jego piersi. Sam słyszał, że mówi zmienionym głosem:

– Wejdź pierwsza do wody. Ja pójdę za tobą.

Minęło dużo czasu od nocy, gdy jego najukochańsza Etsimita zaryzykowała wejście do tej samej wody, żeby znaleźć w niej śmierć. Nefriki nigdy od tego czasu nie ośmielił się zanurzyć w kuszące fale.

Stał na brzegu i oparłszy pięści o biodra patrzył, jak dziewczyna brnie posłusznie coraz głębiej.

– Stój! – nie mógł znieść już tego dłużej. Woda sięgała po delikatne łopatki. Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego. Nefriki parł w jej stronę, krzycząc coś niezrozumiale.

Złapał ją za ramię i wyciągnął na brzeg przedzierając się przez wodę.

– To jest niebezpieczne – wykrztusił. – Niebezpieczne. W wodzie są machiny...

Upadli na piasek. Nefriki obejmował dziewczynę i całował ją gwałtownie.

– Musisz mi wybaczyć, musisz mi wybaczyć.

– Czy to odwaga pchnęła cię, żeby wyciągnąć mnie z wody?

– Nie, nie – tulił twarz do jej syntetycznych włosów. – To był strach, nie chciałem cię stracić. Ofiarowałaś mi coś...

Oddychała głęboko.

– Nie, zostaw mnie. Chciałeś mnie zabić. Pozbyć się mnie.

Starała się wyrwać, ale nie mogła. Nefriki przyciskał twarz do jej twarzy prawie dotykając ustami jej ust. Widziała ból w jego rysach. Czuła na szyi jego mokrą brodę.

– Posłuchaj kobieto, dałaś mi szansę mówienia o sobie prawdy. Nie mogłem jej przyjąć – bo moje życie wypełnione jest kłamstwami. Miałaś rację, wszyscy mężczyźni są kłamcami. Lecz teraz znowu cię mam. Trzymam cię i powiem ci prawdę, a ty jej wysłuchasz.

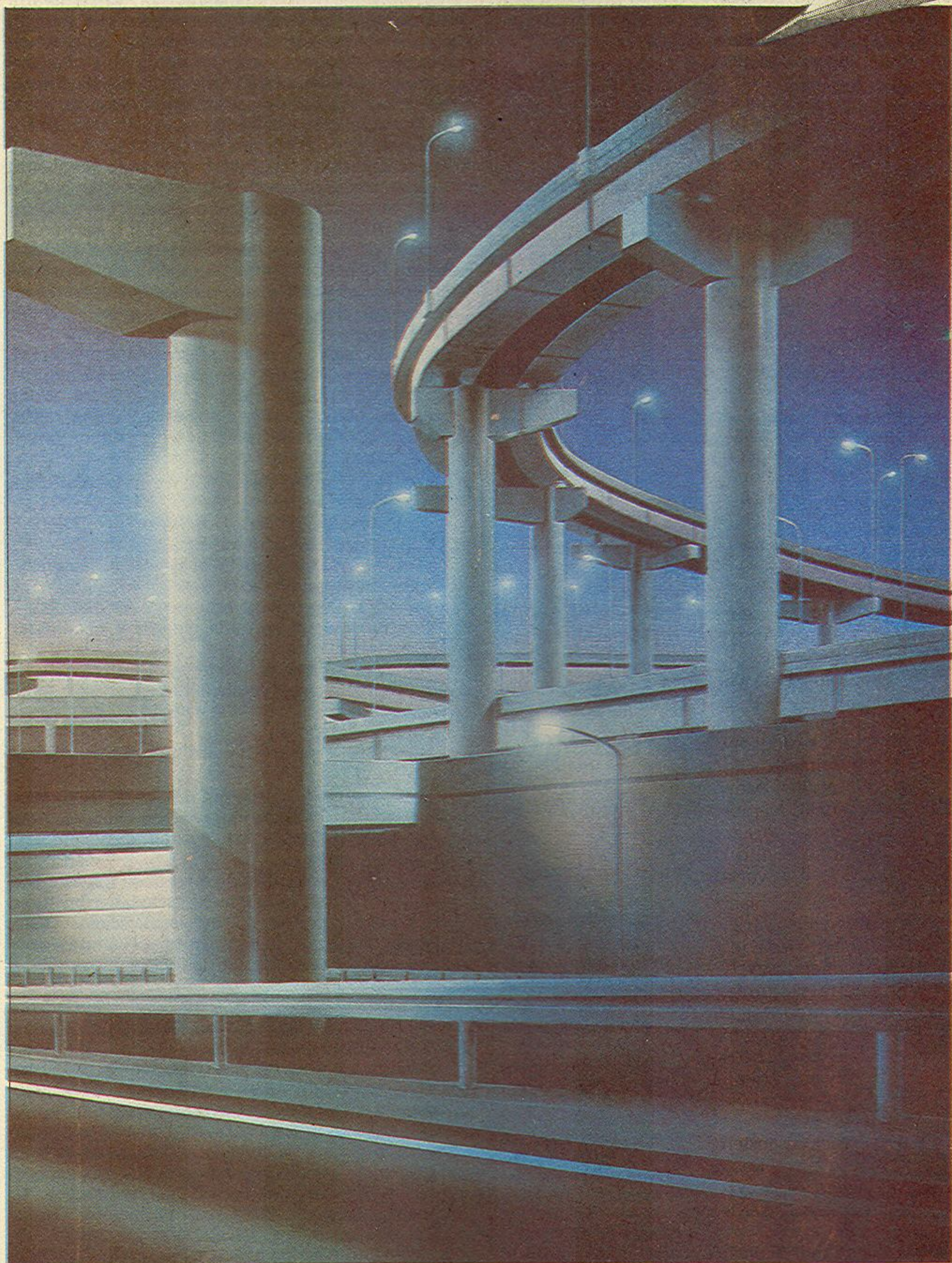
Odwróciła głowę w bok.

– To śmierć tak cię podnieca, prawda? Już jesteś gotowy znowu kłamać.

– Powiem ci prawdę, ale tylko wtedy, jeżeli mi uwierzysz, jeżeli mnie spokojnie wysłuchasz, jeżeli zaakceptujesz to, co ci powiem.

– Nie godzę się na żadne warunki – odpowiedziała. Możesz opowiedzieć mi to, co jak twierdzisz jest prawdą – wtedy ja ci powiem, czy można w to uwierzyć. Im bardziej będzie nienormalne to co wymyślisz, tym więcej zgadzać się będzie z koszmarną ludzką normalnością. Pojmujesz mnie, Nefriki, ty słabeuszu, ty głupcze. Zrozum to wreszcie, jedyne co ludzkość potrafi, to powtarzać koszmar i szaleństwo – szaleństwo narodzin i koszmar śmierci. A mężczyźni mają jeszcze swój lęk przed kobietami... Ten strach jest w każdym z was, ponieważ wszyscy macie te same chromosomy, ale jeden z nich dzielicie z rodem żeńskim. Mówię tu o mężczyznach Zachodu, tych którym stery wyrwały się z rąk, co sprowadziło na świat Kataklizm. Teraz Nefriki – mów, jeżeli musisz i wiedząc, że uwierzę ci tylko wtedy, gdy odsłonisz się jako nikczemnik.

Podczas gdy mówiła, udało jej się uwolnić i teraz klęczała nad nim. Trzymał ją kurczowo obiema



Miasto II (Tokyo Bay)

HISAKI YASUDA

rękami w pasie. Odezwał się niskim, zduszonym głosem.

– A więc dobrze. Nikczemność, podłość. Jestem całkowicie zniszczony przez Tolan. Jego obyczaje, jego społeczeństwo. Nie mam nikogo, kogo bym kochał. Nawet do mojej siostry czuję nienawiść... I być może rzeczywiście pragnę ją zbezcześcić po jej śmierci... Tak, jestem mężczyzną. Zawsze muszę być twardy. Gdy te fale zniszczyły moją najmilszą, nie wolno mi było płakać. Muszę być twardy – i dla siebie i dla kobiet. To mnie zatruwa. Kobieta. O tak, nienawidzę ich, ich słabości... A ich siły nawet bardziej...

Kobieta-android otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale uciszył ją przyciskając usta do jej uda.

– Nie mam wyjścia. A czyż ucieczka nie byłaby kobiecym rozwiązaniem? Jestem strażnikiem tego miejsca, mężczyzną między mężczyznami, tylko mężczyznami. Oczywiście, że nienawidzę kobiet i... tak, boję się ich...

– Dlaczego się ich boisz?

– Minęły lata... Żadnej nie dotknąłem... Miłość oznacza słabość, poddanie się. A prawdziwy mężczyzna, taki jak ja, musi być twardy. Miecz w dłoni, żadnych uczuć. Jeżeli tak bardzo chcesz, żebym ci powiedział, to dobrze, powiem ci, bo jesteś androidem. Nienawidzę kobiet, ponieważ im zazdroszczę. To wszystko.

Spojrzała na niego z góry, jej twarz była spokojna jak zwykle. Otworzyła usta, zawahała się i wreszcie powiedziała:

– To przez tę nienawiść, wrodzoną seksualną nienawiść świat uległ zniszczeniu. Szaleństwo mężczyzn odrzucających prawdziwe uczucia doprowadziło do Kataklizmu. A kobiety ze strachu zmieniły się w lustra.

Nefriki nie słuchał. Mówił dalej.

– Jak mogę uciec od mojego więzienia? Nienawidzę siebie, pragnę... pragnę być kobietą. Oto masz moją przeklętą duszę, o którą prosiłaś. Masz ją i bierz za tyle, ile jest warta.

Nefriki wybuchnął płaczem i upadł na piasek, w którym krył swoją twarz.

– To wszystko, nadal jest grą, Nefriki. Nie ofiarowujesz mi swojej duszy, tylko jej pozór, nic więcej. Jesteś zarażony, nie umiesz powiedzieć prawdy – nie poznałbyś jej nawet, gdybyś ją zobaczył. Mogę stwierdzić, że w tym co mówisz, jest jakieś ziarno szczerości, ale w większości to gra. Spowiadają się tylko ci, którzy oczekują litości lub uznania.

– Jesteś okrutna – powiedział nie podnosząc głowy.

– Mówiłam ci, że jestem tylko lustrem. Narcyz nie potrzebuje żywej kobiety, tylko swego odbicia. Właśnie dlatego mężczyźni stworzyli takie istoty jak ja. Nie dałeś mi nic. Nie zapytałeś nawet, jak mi na imię.

Zaczęła odchodzić plażą pozostawiając Nefriki, pozostawiając Tolan, Miejsce Doskonałe.

Krzyknął w ślad za nią.

– Chciałaś mojej duszy, przeklęta wiedźmo i ja ci ją dałem. Ofiaruj mi coś w zamian.

Piasek oświetliła nagle smuga światła i Nefriki zobaczył, że kobieta przystanęła. Odwrócił się, żeby sprawdzić skąd dochodzi światło.

Okrutny sędzia, Ikanu, otworzył na oścież frontowe drzwi swego domu i stał w nich dzierżąc w dłoni miecz. Obok niego biegł jego wierny pies, wykrzykując swoje „Pilnuj się" chrapliwym głosem. W drzwiach domu Ikanu stała kobieta trzymając ponad głową pochodnię. Nefriki zobaczył, że była to jego siostra. A więc chciała być świadkiem jego śmierci.

Przez chwilę Nefriki stał niezdecydowanie, przenosząc wzrok ze swojej siostry na sędziego i wreszcie na kobietę-androida. Pies minął swego pana i biegł skrzecząc swoim sztucznym głosem „Pilnuj się". Za nim podążał Ikanu, teraz już groźnie wznosząc w górę swój miecz. Odziany był w suknię, która wlokła się po piasku, a jego gołą czaszkę zakrywała rozwiana peruka, która przekrzywiła się, podczas gdy sędzia parł z mozołem w kierunku Nefriki.

Z ust tego ostatniego wyrwał się nagle niespodziewany dźwięk. Śmiał się niepohamowanie. Postać Ikanu, na wpół mężczyzny, na pół kobiety w jednej chwili uświadomiła mu całe teatralne szaleństwo Tolan. Melodramat odgrywany przez Ikanu, nekrofilię Antaridy, wyniszczający styl życia, do którego zmusiło odosobnienie obleganego miasta.

A śmiejąc się Nefriki zobaczył, że i on sam żyje w świecie kłamstwa. Nie potrafi nawet pokazać spójnego obrazu samego siebie kobiecie-androidowi – nie istniało nic trwałego, nic, w czym mógłby znaleźć oparcie. Jego życie emocjonalne zostało zamrożone. Śmiał się na myśl, że odgrywał swą rolę nawet o tym nie wiedząc.

Jego śmiech wzniósł się histerycznie i opadł w niskim zgrzytliwym dźwięku, bardzo przypominającym sztuczny głos psa.

Sędzia Ikanu usłyszawszy ten śmiech stanął, opuścił miecz i patrzył w zdziwieniu. Powoli jego obute w sandały nogi osuwały się po piasku. Tracąc równowagę upadł do tyłu. Jego pies skakał naokoło i lizał mu twarz, wołając cały czas „Pilnuj się, pilnuj się".

Nefriki odwrócił się. Nikłe światło padające od drzwi domu Ikanu, gdzie Antarida wciąż stała jak skamieniała, oświetlało plecy oddalającej się kobiety-androida. Wyglądała tak, jakby ciemność miała ją lada chwila pochłonąć.

Biegnąc wzdłuż plaży wołał do niej:

– Chcę poznać twoje imię. Chcę dać ci coś rzeczywistego.

Nie odwracając się i nie przestając iść plażą odpowiedziała.

– A czy posiadasz coś rzeczywistego?

Jej głos prawie nikł w szumie morza. Nefriki, biegnąc krzyczał dalej:

– Moją duszę. Czyż nie jej właśnie chciałaś? Ty nie posiadasz duszy. Pomóż mi odnaleźć moją, a wtedy może wszystko ułoży się lepiej. Dokąd idziesz?

Gdy nie odpowiedziała, zdesperowany krzyknął znowu:

– Dlaczego miałbym chcieć iść z tobą?

Tym razem przystanęła i na wpół odwrócona odpowiedziała:

– Zniszczony świat może przypominać piekło, ale być może właśnie piekło, nie Miejsce Doskonałe, jest odpowiednie dla ludzi. Przynajmniej piekło niczego nie udaje. Musisz wyrzucić z siebie kłamstwa, Nefriki. Jeżeli masz odwagę, żeby pójść ze mną, może pewnego dnia oczyścisz się całkowicie.

– Nienawidzę cię – powiedział.

A potem wziął ją za rękę.

Przełożyła **Dorota Malinowska**

Karl Michael Armer

OKRĄŻENIA

(Umkreisungen)

9 lipca, godzina 18.00

Jak w każdy piękny letni dzień serce Roberta Förstera było przepełnione goryczą. Kolory wydawały mu się zbyt jaskrawe, a ludzie za bardzo weseli. W takie dni jak ten szczególnie boleśnie odczuwał swoje siedemdziesiąt lat. Pancerz, którym oddzielał się od świata zewnętrznego pokrywały kolejne warstwy smutku i wściekłości.

Dzisiejszy dzień był nawet gorszy od innych. Pogoda i krajobraz odznaczały się tą nierzeczywistą pocztówkową perfekcją, jaką osiąga się tylko wtedy, kiedy wcale nie jest zamierzona. Niebo było tak wysokie, błękit tak głęboki, że życie stawało się jedną obietnicą. Wszelkie nadzieje, nawet te najbardziej złudne, wydawały się dziś możliwe do spełnienia. Oczywiście, o ile było się wystarczająco młodym. Białe jachty unoszone słabą, popołudniową bryzą krążyły leniwie po Chiemsee, niemal pozbawione siły ciążenia, jak obłoki na niebie. Pomiędzy nimi tańczyły wielobarwne żagle amatorów windsurfingu; wesołe punkciki przywodzące na myśl obrazy impresjonistów. Na cyplu wrzynającym się w wodę pasły się krowy. Metaliczny dźwięk ich dzwoneczków tworzył dyskretny, ale stały akompaniament do filmu wyświetlanego przed oczyma Förstera. W tle widniał precyzyjnie wytłoczony zarys łańcucha Alp, ukoronowanych błyszczącymi w słońcu, pokrytymi śniegiem wierzchołkami. Taki to był dzień.

– Gówno – odezwał się Förster.

I ponieważ to, co powiedział, spodobało mu się, powtórzył:

– Co za cholerne gówno!

Młoda kobieta, siedząca obok na nabrzeżnej ławce, spojrzała na niego ze zdziwieniem. Wyzywająco odparował wzrok. Było mu wszystko jedno, co sobie o nim pomyśli. Dla niej był i tak tylko starym dziwakiem.

– Nigdy nie mówi pani do siebie? – Zachichotał. – A ja tak. Przynajmniej rozmawiam wtedy z kimś, kogo lubię.

Wstała z ławki i odeszła. Miała ładne nogi i uroczy tyłeczek. Zupełnie jak Barbara przed laty, kiedy byli jeszcze młodzi. Na odludnej, greckiej wysepce znajdowała się niewielka zatoka. Wyłoniła się z turkusowej toni Morza Egejskiego, jej smukłe ciało połyskiwało w słońcu wilgocią. Odrodzenie Afrodyty, bogini miłości, kapłanki ich tajemnego kultu miodowego miesiąca. Była tak oślepiająco młoda, że wydawała się nieśmiertelna. Trzydzieści lat później popełniła samobójstwo. Co się nie udało? I dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?

Dłoń Förstera ścisnęła mocniej laskę, zamrugał powiekami, usiłując pozbyć się wilgotnej mgiełki przed oczyma. Spójrz tylko na siebie! Co z ciebie za sentymentalny, stary dureń! Bez stylu i godności. Kręcisz się tu tylko i obrażasz innych!

Jego rozmyślania przerwał Samson, warcząc głucho. Wielki bernardyn zbudził się ze snu i rozejrzał wokół pałającym wzrokiem. Wyglądał na zdezorientowanego. Po kilku chwilach wydał z siebie dźwięk przypominający do złudzenia ludzkie westchnienie, a następnie złożył na łapach swój olbrzymi łeb.

– I co, grubasie, znowu przyśniły ci się stare, dobre czasy, tak? – Pogłaskał psa po grzbiecie, zaskoczony przypływem sympatii, jaką nagle odczuł do niego. Jak bardzo przerzedziła mu się sierść. I na pysku był już prawie biały. Bernardyn miał już ponad jedenaście lat, co – tak przynajmniej mówią – odpowiada 77 latom u człowieka. To biedaczysko jest nawet starsze ode mnie, pomyślał Förster. Byli dwoma mamutami w tym świecie pełnym sprytnych, młodych ludzi, którzy na razie nie dopuszczali do siebie myśli, że kiedyś i oni będą pochyleni, zmęczeni.

– Odpadki, oto czym jesteśmy, Samsonie – powiedział. – Odpadki jakiegoś nędznego gatunku. Nic, co mogłoby zainteresować historyków i światłych biografów, jesteśmy przypadkiem jedynie dla śmieciarzy. Chodźmy stąd, zanim nas wywiozą na wysypisko!

Nachylił się po smycz, uwiązaną wokół metalowej nogi ławki, gdy wtem bernardyn skoczył jak oparzony i zaczął zaciekle ujadać. Stał teraz rozdygotany przed Försterem, jak przed niebezpiecznym wrogiem, rozdziawiając szeroko nabiegłe krwią ślepia.

Förster zatoczył sie, przerażony i zupełnie zbity z tropu. Poczuł zawrót głowy, jak przy chorobie morskiej. To było niesamowite. Co tu się działo? Coś rwało go w całym ciele, jak gdyby operowano go bez znieczulenia. A więc tak wygląda śmierć. Dziwne. Nogi ugięły się w kolanach. Opadł z powrotem na ławkę.

Raptem wszystko minęło.

– Spokojnie – odezwał się machinalnie Förster do psa. – Spokojnie... zawahał się przez chwilę, usiłując przypomnieć sobie jego imię – ...Samsonie.

W polu jego widzenia pojawiła się wykrzywiona kurczowo ręka. Ogarnęło go przerażenie, kiedy zorientował się, że to jego własna ręka, poruszająca się jakby samoistnie. Na jego oczach dłoń wykonała jakieś dziwaczne, skomplikowane gesty, jakby w jakimś tajlandzkim tańcu rytualnym. Odniósł wrażenie, jakby nie była to rzeczywistość, lecz film oglądany na monitorze – oglądany w sposób rzeczowy, z zainteresowaniem godnym naukowca.

Czyżbym zwariował?, zastanowił się Förster z nienaturalnym spokojem, idącym w parze z szokiem.

– Nie – odparł w jego głowie czyjś obcy głos.

I w ten oto sposób kontakt Förstera z przybyszem pozaziemskim był niezwykle krótki, bowiem momentalnie stracił świadomość.

9 lipca, godzina 18.20.

Od kilku minut Förster był znowu przytomny. Jego wzrok spoczywał nieruchomo na niewielkiej, białej chmurce, tkwiącej na niebie niczym niezrozumiałe pozostałości po jakimś sygnale dymnym. W głowie czuł nadal dźwięczącą ciszę, jaka zwykle nastaje po eksplozji lub ostatnim, szalonym crescendo symfonii, kiedy piersi rozrywa nadmiar uczuć i trudno jest zdecydować się na jedno z nich. Pustka przeciążenia.

Usiłował przypomnieć sobie to wszystko, co ów głos przekazał mu w ciągu ostatnich minut. – A więc jesteś przybyszem pozaziemskim – powiedział powoli. – Takim E.T. w moim mózgu. – W charakterystyczny dla siebie sposób zachichotał. – To doprawdy zdumiewające. Science fiction w programie na żywo.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wzruszył ramionami i całą swoją uwagę skierował ponownie na urlopową sielankę, której tak bardzo nienawidził. Krajobraz był egzotyczny, zaludniony młodymi, zdrowymi humanoidami. Nie miał z nimi nic wspólnego. I to już od wielu lat.

– No więc – odezwał się. – Witam w bractwie obcych.

Poczuł, jak uderza weń fala konsternacji. – Czyżbyś nie był człowiekiem z Ziemi? – zapytał go głos.

– Byłem nim przez kilka lat – odparł Förster. – Ale teraz jestem już stary, a starzy ludzie to obcy na tym świecie. Jesteśmy odizolowani tak dokładnie, że równie dobrze moglibyśmy mieszkać na innej planecie. Tamci wiedzą, że znajdujemy się gdzieś na zewnątrz, ale jest im to całkowicie obojętne. Życie toczy się nadal bez naszego udziału. Nie mamy żadnego wpływu na to, co się dzieje. Jesteśmy tylko widzami, wyobcowani z naszego własnego świata. Z tego powodu obaj jesteśmy obcy na tej planecie.

– Rozumiem – powiedział głos po krótkiej przerwie. – Rozumiem.

Förster mówił dalej, uniesiony gniewem. – Pomiędzy nami jest tylko jedna różnica: spotkanie przybysza z innej planety zwykło się określać jako spotkanie pierwszego stopnia, a starzenie się to najczęściej kontakt ostatniego stopnia.

– Jesteś rozgoryczony.

– Owszem, jestem. Starzenie się nie jest niczym wesołym.

– Ale przecież mógłbyś rozkoszować się tymi latami. Jesteś człowiekiem majętnym, wykształconym, mieszkasz w pięknej okolicy. Powinieneś czuć się szczęśliwym.

– Tak, powinienem. Ale tak nie jest. I to właśnie doprowadza mnie do szału. Chciałbym być szczęśliwy, ale to mi się nie udaje. Coś jest ze mną nie tak. Taki już ze mnie dureń, że nie potrafię być nawet szczęśliwy. – Rozpłakał się. – Popatrz na mnie! – krzyczał zrozpaczony, ocierając sobie twarz dużą, niebieską chustką. – Dawniej nigdy nie płakałem, a dziś mażę się na sam widok młodej pary z dzieckiem, gdyż to przypomina mi moją młodość. – Złożył z powrotem chustkę, niezwykle powoli, dokładnie. – Bardzo mi przykro.

– Już dobrze – odparł przybysz.

10 lipca, godzina 9.30

Pora była jeszcze wczesna, ale na taras kawiarni „Panorama", gdzie Förster spożywał śniadanie, spływał już z nieba żar. Lekka bryza chłodziła go od czasu od czasu, a jednak Förster pocił się. Parasolki były źle rozmieszczone i rzucały cień na drogę, podczas gdy stoliki wystawione były na pastwę prażących promieni słonecznych.

Jak zwykle Förster siedział sam przy stoliku. Usiłował ustawić parasolkę tak, żeby spełniała swe zadanie, ale brakowało mu sił, nie mógł ruszyć jej z miejsca. Nikt z obecnych nie przyszedł mu z pomocą.

Kiedy chwycił filiżankę z kawą, spostrzegł, że ręce drżą mu z wysiłku. Nie mógł nad tym zapanować. Był obserwowany.

– Nie troszcz się o mnie! – powiedział głos.

Förster zebrał myśli. – Wiem, że tu jesteś. Znajdujesz się we mnie. Używasz mojego mózgu jako encyklopedii. Wodzisz za mną wzrokiem, niezależnie od tego, co robię. To twoje „nie troszcz się o mnie" to po prostu niedołęstwo umysłowe.

– Nie pozwalaj sobie za dużo, ty nieokrzesany osobniku! – Głos stał się raptem mocny, agresywny. – Uważaj na to, co mówisz! – Ręka Förstera drgnęła, wylewając gorącą kawę z filiżanki na drugą rękę. Ból był piekący. – Znajdujesz się pod kontrolą, rozumiesz? A więc zachowuj się przyzwoicie. Spójrz na swego psa! On wie, co znaczy być posłusznym.

Ty przeklęty sukinsynu!, pomyślał Förster w nagłym przypływie gorącej nienawiści. Ty przeklęty sukinsynu z kosmosu. Ja nie jestem twoim bernardynem! Nie pozwolę, byś mnie tak traktował!

– Hau, hau – odezwał się szyderczo przybysz, po czym przerwał kontakt.

10 lipca, godzina 9.50

– No dobrze – wysłał Förster wiadomość do wewnątrz. – Może za bardzo poniosły mnie nerwy. Zapomnijmy o tym, co? Nie miałem nic złego na myśli. Porozmawiajmy sobie znowu!

Daremnie czekał na odpowiedź.

– Hej, ty... – Förster uświadomił sobie nagle, że nie zna imienia swego najeźdźcy. – Odezwij się!

Przybysz milczał w dalszym ciągu.

– Aha, supermózg galaktyczny dąsa się. Jakie to atawistyczne. A ja myślałem, że jesteś mądrzejszy, bardziej zrównoważony.

W tym momencie zarejestrował jakąś słabą emocję, której nie potrafił sklasyfikować, jakkolwiek wydała mu się znajoma. Była to jednak jedyna reakcja przybysza.

Ku swemu zaskoczeniu Förster poczuł ukłucie żalu. Zdał sobie nagle sprawę, że brakuje mu głosu wściekłego najeźdźcy. Wolał już spór niż całkowity brak komunikacji.

Nasłuchiwał teraz bacznie, ale po pewnym czasie dał za wygraną. Znowu był sam.

– W takim razie możesz mnie pocałować gdzieś – mruknął. Skinął na kelnera, ale ten udawał, że go nie widzi. Stara sztuczka. Wszystko jest jak dawniej.

Opuścił dłoń zawisłą niezgrabnie w powietrzu i nakrył nią drugą rękę. To była pozycja najbardziej bezpieczna, teraz drżenie ustało. Odchylił się do tyłu i przeniósł wzrok na wodę, po której przepływał właśnie łabędź. Dwie proste jak strzała linie jego śladu, układające się w literę V, połyskiwały na spokojnej, zielonkawej toni. Łabędź sprawiał wrażenie dumnego z siebie. Był młody.

10 lipca, godzina 19.30

Förster był wyczerpany. Od rana miał pełne ręce roboty – a właściwie nie on, lecz przybysz z Kosmosu, który nim sterował: telefonował, przeprowadzał konferencje, zawierał umowy, uzgadniał terminy. Godzinami Förster słyszał siebie mówiącego językiem, którego w ogóle nie rozumiał. To było przerażające. Zaczęło mu się wydawać, że jest po prostu schizofrenikiem.

Teraz siedział w wygodnym fotelu przy otwartym oknie, usiłując się odprężyć. Czuł się jak po ciężkiej operacji, słaby, rozdygotany, stary, bliższy śmierci niż życia. Jedyne odgłosy, jakie docierały do jego świadomości, to świergot ptaków w ogrodzie i regularne tykanie zegara stojącego w pokoju. Jak głośne było to tykanie! Förster zamknął oczy.

– Tak, dzień był ciężki – rozległ się cichy głos przybysza. Förster nie poruszył się nawet. – Daj mi spokój! – mruknął niewyraźnie. – Jestem zmęczony.

– Ja też!

Förster zamrugał oczyma, nie mogąc opanować zdziwienia. Nigdy by nie przypuszczał, że przybysze pozaziemscy mogą odczuwać zmęczenie. A ten wyglądał na tak wszechmocnego. Z pewnością był młody, wielostronnie badany specjalista do spraw kontaktów międzygwiezdnych. I nie miał ciała, jedynie duszę. Ale przecież dusza też mogła ulec zmęczeniu. Nikt nie wiedział o tym lepiej niż właśnie Förster.

– Dobrze ci tak, że jesteś zmęczony – powiedział, wydobywając mimo wyczerpania resztki gniewu z głębi. – W końcu nikt cię nie prosił, żebyś tu przyjeżdżał i załatwiał jakieś mętne interesy. A właściwie po co to robisz?

– To należy do moich obowiązków. Na mojej planecie jest niewielu ludzi, którzy potrafią przeskoczyć tę olbrzymią pustkę pomiędzy gwiazdami za pomocą projekcji myślowej. Jest nas tylko garstka, a praca wymaga dużo wysiłku. Ale ktoś musi ją przecież wykonać.

– Nie powiedziałbym, że zabrzmiało to niezwykle heroicznie.

Po raz pierwszy przybysz wydobył z siebie coś jakby śmiech, ale trudno było doszukać się w nim wesołości. – Bo to nie ma nic wspólnego z heroizmem. Jest to postępowanie bardzo żmudne i śmiertelnie nudne. Zresztą co szczególnego może być w tym, że jest się członkiem Międzyplanetarnej Służby Zagranicznej?

– Miedzyplanetarnej Służby Zagranicznej? – powtórzył Förster zbity z tropu. – To jest... Chciałem powiedzieć... z tej strony jeszcze na to nie patrzyłem.

– Tak, wiem. Jesteśmy dla was tym, czym dla Inków byli legendarni biali bogowie: poteżnymi istotami z innego świata, dysponującymi olbrzymią wiedzą i zadziwiającym sprzętem. W rzeczywistości jesteśmy tylko handlarzami, którzy wymieniają kilka szklanych pereł na cenne surowce. I na tym polega wasze szczęście, gdyż moglibyśmy być również żołdakami, którzy wolą plądrować niż płacić.

– Ale...

– Jesteś zaskoczony, nieprawdaż? Wyobrażałeś sobie, że jesteśmy supermózgami z kosmosu, znajdującymi się na bardzo zaawansowanym stopniu rozwoju naukowego i duchowego, czy tak? Wątpię, aby tak było w istocie. Jesteśmy tu tylko po to, aby załatwić interesy. I muszę zrobić to możliwie najszybciej i najskuteczniej, wtedy otrzymam wysoką premię. A więc nie narzekaj tu ciągle, że jesteś za stary i zmęczony, bo szkoda na to czasu.

Możliwie jak najszybciej i najskuteczniej, powtórzył w duchu Förster. Dziwne, tak mógłby powiedzieć Berghäuser, jego dawny szef sprzed kilkudziesięciu laty. Sprzedawanie jest jak boks, Förster. Wygrywa ten, kto jest szybszy, bardziej odporny i mocniejszy. Tak, panie Berghäuser. Nie, Barbaro. Nie dziś. Teraz jestem za bardzo zmęczony. Musiałem odwiedzić piętnastu klientów.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że przybysz milczy od dłuższego czasu.

– Nie miałem zamiaru cię obrażać – odezwał się wreszcie gość z kosmosu.

– Nie, nie – powiedział Förster. – Już dobrze, wszystko w porządku. To było bardzo... ziemskie. – Potrząsnął głową i zdobył się na uśmiech. – To niewiarygodne. Masz w sobie coś ze sprzedawcy. Potrafię wyczuć to na dziesięć metrów. Zbyt dużo rutyny i za daleko od domu. Coś ze sprzedawcy...

Głos przybysza był znowu stanowczy, autorytatywny. – Dosyć już! Następny kontakt nawiążemy ponownie jutro, punktualnie o godzinie siódmej. Na razie!

– Tak – odparł Förster. A po krótkiej chwili dodał: – Dobranoc.

11 lipca, godzina 14.00

Förster odsunął na bok pusty talerz.

– To było dobre. – Czuł się najedzony i tak zadowolony, jak rzadko kiedy dotychczas. Przez cały dzień załatwiał znowu interesy, częściowo w języku przybysza, częściowo po niemiecku lub angielsku. Było to bardzo wyczerpujące, ale sprawiało mu osobliwą satysfakcję. Znowu był aktywny i w pewnym sensie miał przed sobą cel. Od wielu już lat nie miał takiego uczucia.

– Proszę o capuccino! – powiedział do przebiegającego obok kelnera. Nie powiedział tego bardzo donośnie, ale w jego głosie zabrzmiała jakaś nowa nuta, która wzbudzała posłuszeństwo i na którą kelner zareagował natychmiast.

– Subito, signore.

– I jak, znowu na wierzchu, staruszku?

Nieskrywana agresywność w głosie przybysza zaszokowała Förstera tak, że zdobył się jedynie na mizerne, defensywne „tak, owszem".

– Cóż, to wspaniale! – powiedział tamten zgryźliwie. Potem nastąpiła cała gama emocji, a z tego całego rozgardiaszu można było wyłowić tylko jedną cechę: histerię.

Förster nie zwracał już na to uwagi. Był wściekły. Jakim prawem ten nędzny intruz psuł mu dobry nastrój? Właśnie wtedy, kiedy po wielu latach poczuł wreszcie znowu smak życia, ten sukinsyn usiłował mu to obrzydzić!

– Do diabła, tak! – wybuchnął przybysz. – Mój Boże, jak ja nienawidzę tego wszystkiego: nędzne planety, nędzne interesy, nędznych ludzi. Nie wytrzymam tego dłużej! Ale tak źle jak z tobą, nie było jeszcze nigdy. Syriański neurotyk i ziemski neurotyk; nie ma co, wspaniała para. I po co mi to?

Förstera ogarnęło wzburzenie. A sprawił to nie tyle ów wybuch uczuć, co raczej niejasne, niemal podświadome przekonanie, że przybysz stanowi odbicie jego własnej postawy. Symptomy były aż nadto wyraźne: użalanie się nad samym sobą i agresja. Zazdrość o szczęście innych ludzi, spowodowana swoim nieszczęściem. Försterowi nie podobało się własne odbicie.

– Już teraz jest dosyć ciężko, ale ty odbierasz mi resztki szans powodzenia – grzmiał nadal przybysz. – Wszyscy ludzie ziemscy, przejęci przez ludzi gwiezdnych, mają spotkać się na centralnych konferencjach w swoich krajach, aby zająć się koordynacją działań. Jeżeli o mnie chodzi, jestem jednym z nielicznych, którzy nie wezmą w tym udziału, gdyż...

Zawahał się przez moment, ale Förster wiedział i tak, co teraz usłyszy – i instynktownie wstrzymał oddech.

– ...gdyż jesteś zbyt stary i niedołężny. To długa podróż, za bardzo ryzykowna dla ciebie. Niezły kawał. Jestem rozbitkiem. Rozbitkiem w ciele umierającego.

Förster milczał długo. Wreszcie szepnął: – Dlaczego to powiedziałeś? To złośliwe i okrutne. – W spontanicznym odruchu zamówił butelkę czerwonego wina. Przybysz nie wtrącał się już do niego.

Kiedy mniej więcej po godzinie Förster opuszczał restaurację, był trochę pijany i dał kelnerowi o wiele za duży napiwek.

11 lipca, godzina 15.30.

Kiedy Förster otworzył drzwi, ujrzał Samsona leżącego na podłodze. W oczach psa widniało tyle bólu, że sprawiało to wrażenie ekstazy.

– Samson! – wykrzyknął Förster. – Co ci się stało?

Opadł na kolana, kładąc dłoń na głowie psa. I w tym właśnie momencie, jak gdyby bernardyn zużył wszystkie swoje siły, aby doczekać się tego ostatniego dotyku swego pana, Samson rozstał się z życiem.

– Nie, tego już za wiele! – jęknął Förster. – To nie może być prawda!

Wspominając nazajutrz te chwile, nie mógł się nadziwić, że w takim starym, wysuszonym człowieku jak on znajdowało się jeszcze tyle łez.

11 lipca, godzina 13.00.

Igła przesuwała się po papierze, kreśląc niespokojną linię, podobną do grzbietu górskiego z ostrymi wierzchołkami i głębokimi przepaściami. Drugi przyrząd wydawał ciche piski w dosyć regularnych odstępach czasu. Jeden z plastrów, przytrzymujących elektrody na ciele Förstera, podrażniał skórę, powodując swędzenie. Stojący w kącie analizator szumiał i wstrząsał probówką z krwią Förstera – sprawny Dracula najnowszej generacji.

Förster znosił comiesięczną kontrolę lekarską ze stoickim spokojem, ignorując niemal całkowicie upokarzającą procedurę, to grzebanie w jego ciele. Leżał na wznak, odziany jedynie w krótkie kalesony. Plastykowe prześcieradło na kozetce kleiło mu się do pleców, zdawało się wchłaniać go jak wygłodniała ośmiornica.

Oprócz niego w pokoju nie było nikogo. Żaden lekarz czy pielęgniarka nie zawracali sobie dziś głowy taką rutynową sprawą bardziej, niż było to konieczne. Do pacjenta podłączało się po prostu ileś tam przyrządów i całe badanie przeprowadzała już pani doktor Elektronika.

Wszystko w tym pomieszczeniu było białe, jasne i czyste. Jeżeli można wierzyć relacjom ludzi, którzy otarli się o śmierć kliniczną, delikwenci ulegają wówczas złudzeniu, jakby unosili się gdzieś w górę, ku oślepiająco jasnemu światłu. W tym aspekcie gabinet lekarski, ze swoją szumiącą, pozbawioną konturów jasnością, przywodził na myśl komorę treningową dla kandydatów na śmierć. Przedsionek śmierci.

Szybko otrząsnął się z tych myśli i znowu zatopił beznamiętne spojrzenie w sufit. Nie myślał o niczym, ale czekał na coś. Przybysz z kosmosu zachowywał się tak samo. Obaj stali tu, na Ziemi, na uboczu, byli odizolowani. Dwie czarne dziury, w które wpadały wszelkie smutki i melancholie naszego wszechświata.

11 lipca, godzina 23.00.

Jednym z nielicznych przywilejów starości jest to, że człowiek nie potrzebuje już wtedy dużo snu, pomyślał Förster, nalewając sobie po raz drugi kieliszek drambuie. Szkoda tylko, że i tak nie może wykorzystać zdobytego w ten sposób czasu.

Siedział w swoim ulubionym fotelu. Światła w salonie były zgaszone, on zaś spoglądał na drzewa widoczne za oknem, chwiejące się sylwetki o srebrzystych liściach, połyskujących w mlecznej poświacie pełni księżyca. Nie chciało mu się spać, był lekko podchmielony i brodził po kolana we wspomnieniach.

Nastrój chwili sprawił, że nastawił płytę. „Clair de lune" Debussy'ego. I podczas gdy romantyczne dźwięki perliły się, wypełniając stopniowo cały salon, myśli Förstera rozpoczęły swą wędrówkę. Sceny z jego życia wyłaniały się z mroku nocy jak podczas błysków flesza i ginęły z powrotem.

Smutne dzieciństwo spędzone w surowym, pozbawionym miłości domu rodzinnym. Okres szkoły i w tym czasie cały szereg zagadkowych chorób; psychosomatycznych, jak już dziś wiedział. Rozwścieczony ojciec. Pechowiec, słabeusz. Pierwszy rok na uniwersytecie. Brak orientacji, ustępujący powoli miejsca poczuciu wolności. Następnie wybuch II wojny światowej. Nagła przeprowadzka z sal wykładowych na front. Okres sześcioletni, w ciągu którego w ogóle nie myślał. Ciągle tylko bitwa, marsz do przodu i odwrót. Nie czuł do nikogo nienawiści, ale zabijał ludzi, żeby oni nie zabili jego. W jakiś sposób udało mu się pozostać przy życiu. Był jedynym z kompanii liczącej 120 żołnierzy, który przeżył wojnę. Zdarzało się już później, że we śnie słyszał znowu wybuch granatu i widział walące się ściany okopu i wyrzucane w powietrze, roztrzaskane ciała kolegów. Ciała bez twarzy, bez kończyn, ale nadal żywe. Mięso rzeźne dla nienasyconych władców wojny. Śnił mu się lodowaty ziąb rosyjskich równin, śnieg barwiony całymi kilometrami przez krew, głód, który sprawiał, że gryźli skórzane pasy. Śnił mu się obóz jeniecki na Syberii, gdzie spędził cztery lata. Rosjanie nie traktowali ich łaskawie, ale Förster rozumiał to w pełni. Kiedy w końcu wyszedł na wolność, kiedy po dziesięciu latach mógł powrócić znowu do normalnego życia, wisiał nad nim cień. Nie był neurotykiem ani psychopatą, nie, ale uśmiechał się bardzo rzadko i sprawiał wrażenie człowieka odcinającego się od wszystkiego i wszystkich. Zachowywał się jak ktoś, kogo obdarzono zbyt dużą dawką elektrowstrząsów i kto czeka teraz instynktownie na następny.

Nurt wspomnień ustał, kiedy umilkła muzyka. Förster drgnął, usiłując odnaleźć się w bezkresie pomiędzy rzeczywistością a wspomnieniami. Udało mu się to dopiero po dłuższej chwili.

Niesamowita cisza w salonie... i w jego myślach. Przybysz milczał. Z pewnością jednak przysłuchiwał się wszystkiemu z największą uwagą, co do tego Förster nie miał żadnych wątpliwości.

– No i co, czy zdobyłeś jakieś interesujące informacje na temat życia na Ziemi? – zapytał złośliwie.

– Owszem, zdobyłem – odparł przybysz. Chciał dodać coś jeszcze, ale najwidoczniej rozmyślił się. – Nastaw może drugą płytę – powiedział po chwili. – To nam dobrze zrobi. Ta muzyka była bardzo ładna.

Förster kiwnął głową. Wstał i nastawił Nokturn Nr 2 Es-dur Fryderyka Chopina. Wraz z muzyką napłynęły ponownie wspomnienia. Na początku lat pięćdziesiątych poznał Barbarę. Pobrali się, uczyniła go bardzo szczęśliwym. Rozpoczęła się jego kariera zawodowa. Zarabiał sporo pieniędzy. Zasadniczy przełom nie był mu jednak dany. Miał w sobie za mało charyzmatu, tak przynajmniej twierdzili jego przełożeni. Förster nie przejmował się tym. Wiódł piękne życie z Barbarą i dziećmi. Ale tamten cień nie opuszczał go, podążał za nim krok w krok. Był szczęśliwy, ale było to szczęście z drugiej ręki, gdyż pochodziło z rozumu, nie zaś z serca. Ustawicznie powtarzał sobie w duchu: Masz wszystko, czego ci trzeba, powinieneś czuć się jeszcze bardziej szczęśliwy. Wszystko na nic. W końcu pogodził się z tym. Przynajmniej był zadowolony.

Gramofon wyłączył się z cichym trzaskiem.

– Piękne – powiedział przybysz. – Wprost cudowne. Wydaje mi się, że muzyka to najpiękniejsza rzecz, jaką posiadacie na swojej planecie. Nastaw coś jeszcze!

Głos przybysza z kosmosu był tak łagodny i proszący, że Förster bez wahania wyciągnął z regału kolejną płytę.

– Dolega ci samotność, co? – zapytał.

– A komuż ona nie dolega – odparł tamten.

Förster skierował wzrok poprzez mroczny pokój na kąt, gdzie zwykle sypiał Samson.

– Tak, komuż ona nie dolega!

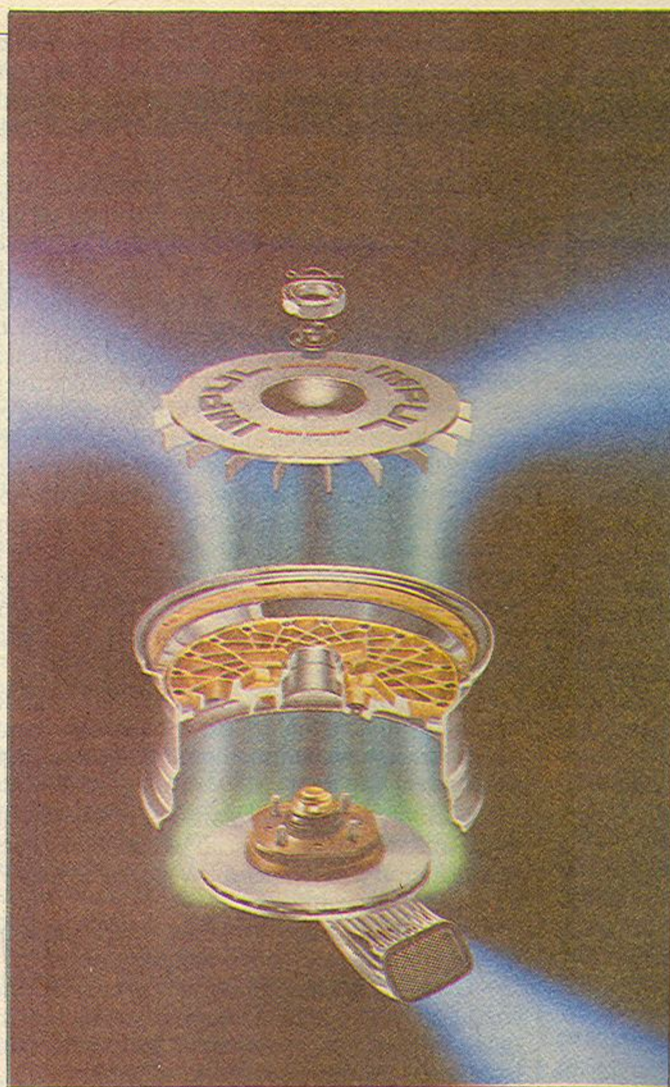
Igła spoczęła na płycie. „Strangers in the night". Barbara uwielbiała tę piosenkę. Ileż to razy tańczyła do jej rytmu! Förster nie umiał tańczyć, ale kiedy był razem z Barbarą, zapominał o tym. „Midnight Cowboy". Tę piosenkę słyszał po raz pierwszy późną nocą w swoim pokoju hotelowym. Ach, te samotne noce jego służby, spędzane w hotelach. Być ostatnim gościem przy barku. Niezdecydowanie kręcić w dłoni pusty kieliszek. Jeszcze raz to samo. Bardzo mi przykro, proszę pana, już zamykamy.

Karl Michael ARMER

Znany już jest naszym czytelnikom z kilku świetnych opowiadań, w których centralną zagadką jest zawsze człowiek. Tutaj bohaterem jest człowiek stary, a starzy ludzie – mówi pięknie Armer – czują się w świecie obco, jak przybysze, wprawdzie nie z innej planety, ale z innego czasu. Wprowadzenie do science fiction starości jest nowością: czy wiąże się to z dojrzałością literacką gatunku obejmującego coraz to nowe obszary doświadczenia ludzkiego, czy też jest to znak czasu, odbicie faktu, że kultura zachodnia od niedawna przestała zamykać oczy na temat starości i śmierci, a nawet zaczęła się nim jakby fascynować?

L.J.

HISAKI YASUDA



reklama przemysłowa (dekle do wozów sportowych).

Miasto III

Ach tak, no to dobranoc. Dobranoc panu. Potem leżeć na łóżku w ciemnym pokoju, niespokojnie, pocąc się. Na zewnątrz taki spokój! Wszyscy śpią. Wszyscy, ale nie ty. Przez radio nadają łagodną muzykę, zbawienie dla wszystkich, którzy nie mogą znaleźć żadnego innego pocieszenia. „Help me make it through the night". Przyjemnie jest leżeć w ciemnościach i słuchać takiej muzyki. Myśli płyną spokojnie. W twojej samotności kryje się gorzka słodycz. Wspominasz swoje dotychczasowe życie i powoli zasypiasz.

Obecność istoty pozaziemskiej Förster czuł teraz o wiele intensywniej. Tak jakby obcy przysunął się bliżej.

„Moonlight Serenade". Jeszcze jedna z ulubionych melodii Barbary. Prosiła o nią orkiestrę w każdym hotelu. Była dobrą tancerką. Sposób, w jaki tańczyła tango, sprawiał, że mężczyźni szaleli za nią. Förster rozkoszował się tym tak, jak umiał najlepiej. Ale to wszystko już minęło. Barbara nie żyła. A po to, by zatańczyć tango, potrzebna jest para.

Czuł się nędznie. Dokładnie tak samo czuł się przybysz. Chybotliwe, niepewne emocje docierały teraz do Förstera, zapewne jako telepatyczny ekwiwalent gwałtownego płaczu.

Förster nie wiedział, jak ma się zachować. – Przecież nie było znowu aż tak źle – powiedział bezradnie. I to była prawda. „Serenada księżycowa" przypomniała mu ich dziesiątą rocznicę ślubu. Tańczyli na tarasie luksusowego hotelu na Lazurowym Wybrzeżu. Gwiazdy błyszczały w całej swej śródziemnomorskiej krasie. Morze było ciemnym zwierciadłem, po którym czasem przesuwał się fosforyzujący grzebień fali. Gdzieś w pobliżu pluskała woda z wielobarwnie oświetlonej fontanny. Nieco dalej połyskiwała w ciemności biel przesłodzonej architektury hotelu. Tam na górze spała w swoim pokoju mała Sandra, szczęśliwa i zadowolona. On zaś tańczył z Barbarą, coraz dalej, coraz dalej. Jego stopy zdawały się unosić w powietrzu. Dzisiejszej nocy był Gary Grantem, a Barbara – Grace Kelly.

Tak.

– Nie było wcale aż tak źle – mruknął. – Nie, naprawdę nie było źle – powtórzył jakby ze zdziwieniem, po czym usnął.

Na jego ustach błąkał się nikły uśmiech.

12 lipca, godzina 15.00.

Urządzenie klimatyzacyjne w sali obrad nastawione było na maksimum. Zimno. Białe ściany, biała skóra. Zimno. Wymuskany typ w garniturze w jodełkę, o oczach jak szklane kulki. Zimno.

Pertraktacje z doktorem Hellmannem – tak nazywał się uśmiechnięty businessman – utknęły w martwym punkcie. Förster nie rozumiał wprawdzie nic z rozmowy, jaką prowadził w nieznanym sobie języku, orientował się jednak, że nie posunęli się do przodu ani na krok.

Czuł, jak narastają w nim gniew i rozpacz; emocje, które nie zrodziły się w nim samym, lecz wydobyły się z hermetycznie zamkniętej zazwyczaj duszy istoty pozaziemskiej, niczym z przegrzanego kotła.

Bezsilność wszechmocnego przybysza początkowo bawiła Förstera, ale po pewnym czasie echo frustracji stało się tak silne i podobne do jego własnych depresji, że zakiełkowało w nim spontaniczne poczucie solidarności. Zapragnął nagle pomóc swemu pozaziemskiemu sublokatorowi, uznał bowiem, że nikt nie powinien być tak upokorzony.

Wykorzystując chaos emocjonalny i utratę kontroli ze strony przybysza, Förster – nie namyślając się długo – po prostu wstał i podszedł do drzwi.

I wtedy wydarzyły się dwie rzeczy.

Usłyszał we wnętrzu swojej głowy coś w rodzaju histerycznego śmiechu, a jednocześnie poczuł ulgę.

Doktor Hellmann zerwał się z miejsca i poleciał za nim, obsypując go lawiną słów. Widocznie jego pozycja przetargowa nie była tak dobra, jak ją usiłował przedstawić.

I w ten sposób przybysz zdołał dobić targu na warunkach, jakie mu odpowiadały. Kiedy opuścili już budynek biura i wyszli na rozgrzaną ulicę, powiedział zupełnie spokojnie: – Dziękuję, Robercie.

Był to pierwszy raz, kiedy przybysz zwrócił się do Förstera po imieniu.

12 lipca, godzina 23.30.

Również tego wieczoru Förster nastawił te płyty, które akurat wpadły mu w rękę: Czajkowski, Gershwin, średniowieczne madrygały, afrykańskie pieśni plemienne i dużo Mozarta. W pokoju panowała niemal całkowita ciemność, problemy nękające świat były teraz tak odległe... Wszystko składało się wyśmienicie.

Szukając kolejnej płyty Förster zwrócił uwagę na boczną półkę. Uśmiechnął się.

– No, proszę – zawołał – tu mamy coś innego. The Rolling Stones. „2000 light years from home" („2000 lat świetlnych od domu"). Coś dla ciebie. I Beatlesi. „When I'm sixty-four" („Kiedy będę miał 64 lata"). To dla mnie.

Jednak gdy ujął płytę, jego ręka zadrżała. Uświadomił sobie, że popełnił ciężki błąd. Nagły smutek wkradł się w jego myśli, jak woda na dziurawy statek. A zapowiadało się tak dobrze!

– Co się stało? – zapytał przybysz.

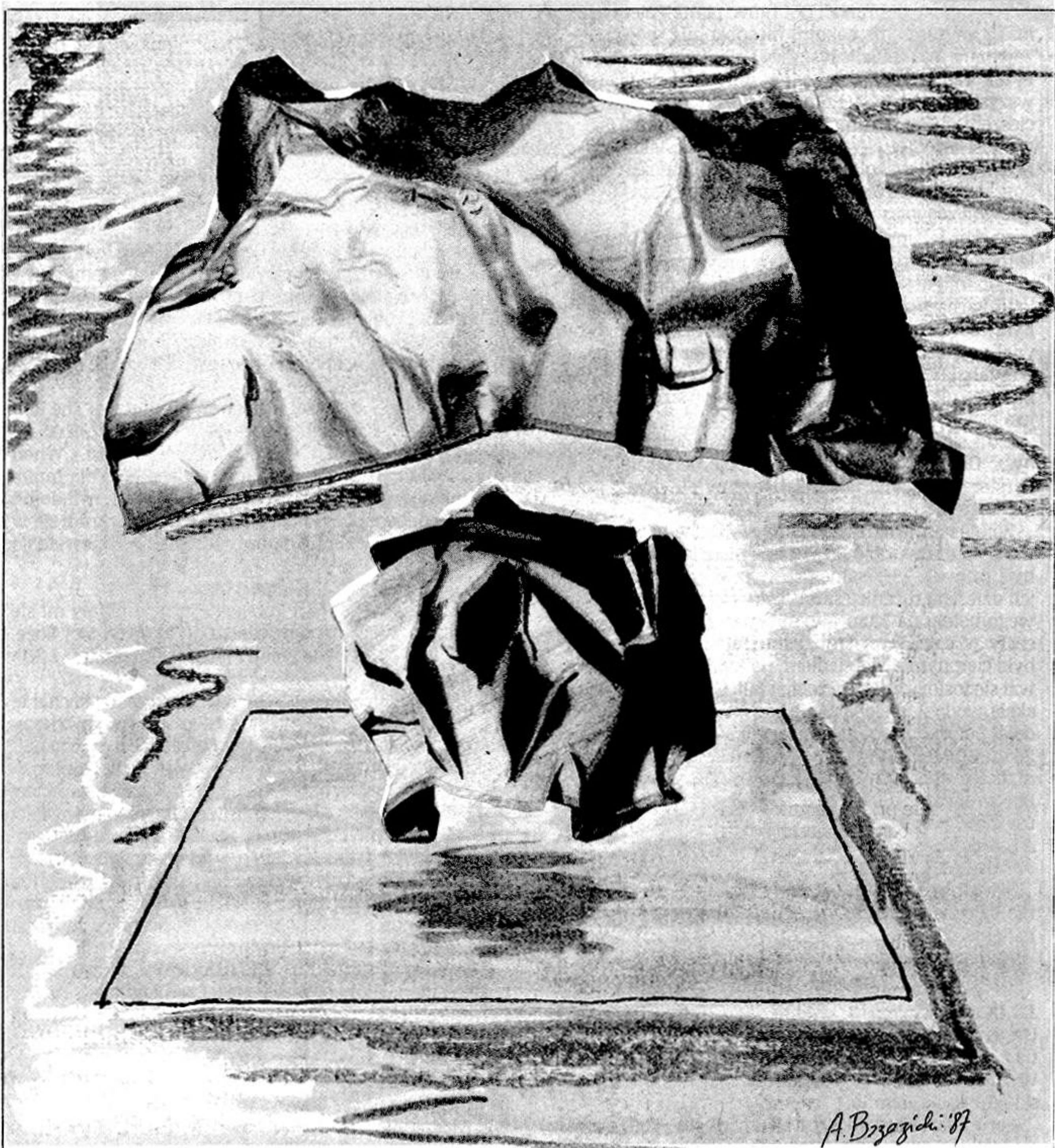
– Moje dzieci – odparł Förster. – Przypomniały mi się moje dzieci. Kiedyś podarowałem im te płyty. Mój Boże, ileż to już lat! Chyba ze dwadzieścia. Sandra i Ryszard...

Sandra była ich pierwszym dzieckiem. Jakże kochał tę kruszynę! Kiedy jej drobna dłoń ścisnęła po raz pierwszy jego wyciągnięte ku niej palce, był to dla niego chyba najpiękniejszy moment w życiu. Jej cichy szczebiot, przepełniający dom magiczną harmonią. Pierwsze słowa, pierwsze niezdarne kroki, zakończone nieuchronnym bęc! na owiniętą w pieluchy pupkę. I ta fascynacja, z jaką spoglądał na odkrywanie świata przez jego maleństwo, które podziwiało i śmiało się z rzeczy nie zauważanych już przez niego. Sandra nauczyła go wtedy bardzo dużo: nowej skromności, nowej otwartości na liczne cuda życia. Jakie to proste, być szczęśliwym.

Teraz Sandra ma już swoje dzieci. Wyszła za mąż za faceta, którego Förster nie cierpiał i zamieszkała z nim w Berlinie. Niestety nie mogę przyjechać, tato, Heinz ma tyle pracy! Z dziećmi też mamy wiele problemów, a do tego ta długa podróż. Może innym razem. Dobrze, Sandro, innym razem. Klik. Nie miałbym nic przeciwko temu, że mnie okłamujesz, gdybyś przynajmniej była szczęśliwa. Ale tak nie jest. O, Sandro! Tyle miłości, która nigdy nie została odwzajemniona.

A Ryszard? On był jeszcze bardziej dziwny. Jako dziecko był zawsze trochę grubawy i ociężały, ale niezwykle pogodny i zrównoważony; pucołowaty aniołek, któremu nikt nie potrafił się oprzeć. Förster przypominał sobie przede wszystkim dwa wydarzenia, zakorzenione na dobre w jego pamięci. Było to w zoo. Ryszard miał wtedy trzy lata. Po raz pierwszy w życiu kupił sobie lody, płacąc za nie odliczonymi uprzednio przez ojca monetami. Tak był z tego dumny, że nie myślał wcale o lizaniu lodów. Nieprzerwanie spoglądał na nie – pierwsze własnoręcznie kupione lody – a kolorowe kulki topniały i kapały, brudząc mu ręce i rozpromienioną z radości twarz. Rok później, w przejmująco zimną niedzielę grudniową, Ryszard wszedł do jego gabinetu, trzymając w ręku połamany samochodzik i poprosił: – Napraw to, tatusiu. Ty to potrafisz. Ty umiesz wszystko. – Förster ujrzał w oczach dziecka bezgraniczną ufność i poczuł, że oblewa go pot, wiedział bowiem, że nie potrafi naprawić tej zabawki. Był to moment tak intensywnej dumy, a zarazem bólu, że poruszał go jeszcze dziś, mimo upływu tych wszystkich lat.

Obecnie Ryszard jest cenionym chirurgiem szczękowym, szczupłym, opalonym, dynamicznym mężczyzną.



Andrzej Brzezicki

Miał idealny dom i idealną żonę. Wszystko, czego dokonał, było idealne. Był nawet idealnie nieszczęśliwy. Ale karty z życzeniami urodzinowymi i świątecznymi przychodziły od niego zawsze na czas.

Dopiero teraz Förster uświadomił sobie, że stoi nadal przed gramofonem, trzymając w dłoni płytę. When I'm sixty-four. Z wszystkich możliwych dróg życia obiera zawsze tę najgorszą. Jego zasada retrospekcji autobiograficznej.

Machnął bezradnie ręką i usiadł z powrotem. Życie wypełnione walką i dążeniami – po to, by osiągnąć tak mizerny wynik? Kiepski kawał.

Głos przybysza, o którym zupełnie zapomniał, rozległ się znowu w jego głowie. Był niezwykle delikatny i pełen współczucia.

– Robercie Förster, jesteś dobrym człowiekiem. Bardzo cię lubię. – Zastanowił się przez chwilę. – Twoje wspomnienia zadziwiają mnie każdorazowo od nowa. Okazuje się, że nasze życie ma wiele punktów zbieżnych. Zwalczać złe szanse, dawać to co najlepsze i kończyć jako zwycięzca z poczuciem straty. Znam to doskonale. – Przez umysł Förstera mignął kalejdoskop egzotycznych, niezrozumiałych scen, wspomnienia z odległej planety. – Dziwne, jak życie we wszechświecie toczy się zgodnie z regułami uniwersalnymi.

W jego słowach Förster dostrzegł prawdziwe ciepło i nagle przybysz przestał wydawać mu się obcy. Współczucie istoty pozaziemskiej było tak zaskakujące jak nieoczekiwana wizyta przy łóżku chorego i tak samo krzepiące.

– Dzięki – powiedział. – Dziękuję ci, ee...

– Ssassakan – powiedział przybysz. – Na imię mi Ssassakan.

13 lipca, godzina 7.00.

Ziemię otulała jeszcze poranna cisza, słońce wyłoniło się dopiero zza wierzchołków drzew. Jego ukośnie padające promienie rzucały groteskowo wyciągnięte cienie i rozświetlały krople rosy. Gładką toń wody przecinały tylko od czasu do czasu śmigłe ryby. Chłodne, rześkie powietrze owiewające balkon sprawiało, że brzęk sztućców śniadaniowych rozbrzmiewał głośniej i radośniej, niż zwykle.

– A więc jesteśmy teraz przyjaciółmi – powiedział Ssassakan. – Podczas moich podróży służbowych zdarza się

to bardzo rzadko. Najczęściej uznają mnie za ciemiężcę, okupanta. Tu, na Ziemi, nie jest inaczej, o ile informacje, jakie otrzymałem, są prawdziwe. Ty stanowisz wyjątek.

– Czy rzeczywiście?

– Tak. Mimo własnych problemów osobistych byłeś nadzwyczaj przystępny. Większość ludzi reaguje histerycznie, kiedy... do nich przychodzę. Ty zaś zachowywałeś się od pierwszej chwili zupełnie spokojnie.

– Może dlatego, że jestem stary. Wiele widziałem w życiu. Wiem, że nie ma rzeczy niemożliwych. Czy jest coś, co zdołałoby mnie zaskoczyć? – Förster upił z filiżanki łyk kawy. – Zresztą ty sam ułatwiłeś mi wszystko. Respektowałeś mnie, przynajmniej po pewnym czasie. Większość z was, gwiezdnych ludzi, jest chyba agresywna. Dlaczego ty jesteś inny?

– Nie jesteśmy grupą homogeniczną. Pochodzimy z różnych planet i dlatego różnimy się między sobą pod względem zachowania. Wiesz, my, Syriańczycy, mieliśmy u siebie niedawno straszliwą wojnę. To doświadczenie sprawiło, że miłujemy pokój bardziej niż inne rasy.

– Rozumiem. Tak, wojna zmienia ludzi. – Myśli Förstera rozpoczęły swoją wędrówkę. Umierający ludzie, unurzani we krwi. Martwe dzieci w ruinach, ciała pozbawione kończyn, nieważne w obliczu wielkich spraw. O Boże!

– Widzę, że myślisz dużo o tych sprawach, Robercie.

– Tak, one zmieniły moje życie.

– Często myślisz też o Barbarze – powiedział Ssassakan, zmieniając temat.

– Po prostu nie potrafię o niej zapomnieć – Förster wpatrywał się w łyżeczkę od kawy, jakby miał przed sobą jakiś egzotyczny owoc. – A przecież nie żyje już od dziesięciu lat.

– Od dziesięciu lat? – powtórzył ze zdumieniem Ssassakan. – Nie przypuszczałem, że minęło już tyle czasu. Ona jest tak bardzo... obecna w twoich myślach.

– Nie przypuszczałeś – zdziwił się z kolei Förster. – Ale przecież powinieneś to wiedzieć, potrafisz odczytywać wszystkie moje myśli.

– To nie jest takie proste. Twoja dusza jest dla mnie jak olbrzymia biblioteka. Mogę uzyskać tam wszelką potrzebną informację. Ale najpierw muszę zajrzeć. Do niektórych książek na regałach w ogóle się nie sięga.

– A, to o to chodzi. – Förster uśmiechnął się w typowy dla siebie sposób, z rezerwą. – A więc jestem w stanie zachować przed tobą jakieś drobne tajemnice?

– Oczywiście. – Ssassakan mówił teraz z namysłem. – Polubiłem cię od tego momentu, kiedy odczytałem twe myśli na temat Barbary. Tak olbrzymia miłość do siostry z Ziemi wywarła na mnie duży wrażenie.

– Siostra...? – wykrzusił Förster. – Czy chcesz przez to powiedzieć... czy to znaczy, że jesteś kobietą?

– To właśnie miałam na myśli.

Förster przełknął ślinę. – To zmienia bardzo dużo. Jesteśmy w takim razie na najlepszej drodze do nawiązania romansu międzygwiezdnego, czy nie tak?

Oboje roześmiali się jakby trochę za głośno.

13 lipca, godzina 18.00

W nocy przeszła burza, pozostawiając po sobie bardziej czyste i chłodne powietrze. Dzięki temu rutynowy spacer Förstera po bulwarze sprawił mu większą przyjemność niż zazwyczaj. Pogoda była umiarkowana, widoczność tak dobra, że mógł dostrzec nawet najbardziej oddalone wierzchołki gór. Poza tym miał przy sobie przyjaciela.

Wraz z Ssassakan przyglądali się sprzedawcom upominków, którzy składali swoje stoiska z pocztówkami i kiczowatymi, plastykowymi pamiątkami. Pływacy i miłośnicy windsurfingu wracali na brzeg i pakowali swoje rzeczy. Młodzi, harmonijnie zbudowani ludzie, opaleni tak intensywnie, że na tle ciemnych twarzy ich wargi sprawiały wrażenie bladych. Wsiadali do swoich bronco, pajero, jeepów, golfów i odjeżdżali na jakieś ważne spotkania. Młodzi, gorliwi hedoniści, zawsze w pogotowiu. Försterowi wydawali się nadal bardziej obcy niż Ssassakan, ale przynajmniej przestał ich nienawidzieć.

– Piękny mamy dziś dzień – powiedział.

– Owszem.

Z drugiego brzegu dobiegały strzępy jakiejś zabawy. Förster wsłuchiwał się przez chwilę w dudnienie kapeli dętej.

– Masz może chęć na jakąś muzykę dziś wieczorem?

– O tak – odparła Ssassakan. – Nawet bardzo.

– Proponowałbym w takim razie koncert organowy... – Urwał nagle, nie wiadomo dlaczego zirytowany. – Czy coś jest nie tak?

– Wracam jutro do siebie. – Głos Ssassakan był beznamiętny, przywodził na myśl informację przekazywaną przez wokoder. – Moje zadanie zostało wykonane. Komiwojażer udaje się w dalszą podróż. Chyba to rozumiesz.

– Ale... – wyjąkał Förster. – ... akurat teraz... – Nie mógł wypowiedzieć ani słowa więcej. W uszach czuł szum krwi, serce waliło jak młot. Dopiero po chwili dokończył: – Właśnie teraz, kiedy odzyskałem trochę nadziei.

– Życie jest jak sadysta – skonstatowała Ssassakan.

Förster nie odpowiedział. Opadł na ławkę, postarzały nagle i bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem. Mimo słonecznej pogody trząsł się jak w febrze.

14 lipca, godzina 15.30.

Z trudną do opisania satysfakcją Förster rzucił słuchawkę na widełki. Właśnie odwołał swoją cotygodniową wizytę u lekarza. „Niech pan zarabia pieniądze na jakimś innym starym durniu, doktorze. Ja jeszcze nie jestem tak niedołężny, abym musiał stale przesiadywać u pana. Zamelduję się znowu, kiedy będzie mi pan potrzebny".

Zachichotał. „Zamelduję się znowu, kiedy będzie mi pan potrzebny". To mu się udało. Z pewnością zaskoczył tego sprytnego półboga w białym kitlu.

Pod każdym względem był to dzień godny uwagi. Kiedy jadł śniadanie w kawiarni „Panorama", przysiadł się do jego stolika młody, korpulentny mężczyzna. Sprawiał wrażenie speszonego i zatroskanego. W toku rozmowy, jaka wywiązała się między nimi, okazało się, że młody człowiek odziedziczył firmę, która cieszyła się dobrą sławą, nie mogła jednak konkurować z tanim importem z Dalekiego Wschodu. Sytuację poprawiłyby nowoczesne nakłady inwestycyjne, spadkobierca nie dysponował jednak odpowiednimi środkami finansowymi, a banki nie chciały udzielić żadnego kredytu. W tej sytuacji firmie groziło bankructwo – i to w ciągu najbliższych tygodni.

– Sprawa jest prosta, młody człowieku – poradził mu Förster. – Jedyna rzecz, jakiej pan potrzebuje, to kontrakt na sprzedaż i dzierżawę zwrotną. Wygląda to tak: sprzeda pan swoją fabrykę firmie dzierżawnej. Za to otrzyma pan masę pieniędzy. Jednocześnie wynajmie pan od owej firmy ten sam budynek fabryczny. Będzie więc pan mógł pozostać i produkować nadal, mając jednak ciche rezerwy finansowe. Dzięki tej gotówce będzie pan mógł zainwestować i postawić firmę z powrotem na nogi. Kiedy zgarnie pan wystarczająco duży zysk, powiedzmy po kilku latach, odkupi pan z powrotem swoją fabrykę.

Jego rozmówca zakrztusił się. Kasłał tak intensywnie, że twarz nabiegła mu krwią. – To nieprawdopodobne! – sapał. – To wspaniałe! Jak mam panu dziękować?

– Ależ, mój panie – uśmiechnął się Förster. – Dla mnie była to czysta przyjemność. Może w przyszłości będzie pan myślał trochę inaczej o ludziach starych. Dużo lat oznacza bowiem również dużo doświadczeń. – Podał mu nad stołem swoją wizytówkę. – Proszę do mnie zadzwonić, gdyby wyłonił się jakiś problem!

– Uczynię to z całą pewnością – wykrzyknął rozpromieniony młodzieniec i wypadł z kawiarni jak na skrzydłach.

Förster spoglądał za nim zadowolony. A więc jednak nie był jeszcze zniedołężniałym starym durniem! To samo odczuł na własnej skórze kelner, który swoim zwy-

czajem nie zaregował na wezwanie. Förster udał się natychmiast do właściciela, ten zaś z miejsca wyrzucił kelnera. To już piąta albo i szósta skarga na pana w tym tygodniu, Schulz! Mam tego dosyć! Jest pan zwolniony!

Prawidłowo. Tak, ludzie, Förster jest znowu w formie. Lepiej uważajcie i nie wchodźcie mi w drogę! Nie będę już wszystkiego tolerował!

Dzień przebiegł dosyć gorączkowo. Ssassakan miała jeszcze dużo spraw do załatwienia przed opuszczeniem Ziemi. Nie kryła swej irytacji. „Jakie to typowe! Inni mogą tu jeszcze pozostać przez jakiś czas, ale my, Syriańczycy, musimy wykonać swoje zadanie w rekordowym czasie. Zawsze to samo!"

Förster nie przejmował się tym. Wprost przeciwnie, wzmożona aktywność sprawiała mu nawet przyjemność. Wolał już to, niż przesiadywanie w ponurym nastroju na ławce w parku i przyglądanie się zabawie z zewnątrz.

Może właśnie dlatego zareagował tak szybko w hotelu „Pod Łabędziem". Skończył akurat naradę z jednym z partnerów handlowych Ssassakan i czekał w hallu na taksówkę. Na ulicy szalała letnia, gwałtowna burza. Deszcz huczał za oknami jak wodospad. Wtem do środka wbiegła jakaś kobieta z olbrzymim nowofundlandczykiem, przemoczona do suchej nitki. W tej samej chwili w biurowiec mieszczący się po drugiej stronie ulicy uderzył piorun. Potworny huk poprzedzony oślepiającą błyskawicą wypełnił najdrobniejszy zakątek hotelu.

Pies wyrwał się z rąk swej pani i ujadając zawzięcie pognał przerażony przez hall. Wyglądał jak agresywny, niebezpieczny potwór.

Förster był jedynym z obecnych, który zareagował. Kiedy nowofundlandczyk przebiegał obok niego, chwycił za smycz i zawołał ostro: – Siad!

Pies był tak dobrze wychowany, że mimo strachu posłuchał natychmiast. Förster pogłaskał go po grzbiecie. – No, już dobrze, Samson, już dobrze! – uspokajał go. – Wszystko w porządku. Już dobrze.

Z oczu psa zaczęła znikać panika. Do Förstera podeszła właścicielka nowofundlandczyka.

– Bardzo dziękuję – powiedziała spokojnie.

Förster spojrzał na nią i uświadomił sobie natychmiast, że jest to wyjątkowy moment w jego życiu. Znowu była przy nim Barbara. Oczywiście nie ta prawdziwa, ale tak właśnie wyglądałaby Barbara, mając 60 lat. Krótkie, siwe włosy o niemal metalicznym odcieniu, ostrzyżone na pazia, szare oczy, reagujące z rozbawieniem na jego uporczywy wzrok, żywa twarz, nie kryjąca rzeczywistego wieku, a mimo to promieniejąca młodzieńczą witalnością. Proste, ale drogie ubranie.

– Zareagował pan z niezwykłą przytomnością umysłu – powiedziała. – Jestem naprawdę bardzo wdzięczna, panie...

Förster nadal nie mógł oderwać od niej wzroku. Jej wygląd, sposób, w jaki mówiła... To chyba cud! Uświadomił sobie nagle, że przez te wszystkie lata, przygnieciony gniewem i melancholią, czekał właśnie na tę chwilę, tak jak świeca na zapałkę, która by ją zapaliła.

Przypomniał sobie, że nie odpowiedział jej jeszcze na pytanie. – Förster – poprawił się. – Robert Förster.

– Jestem Katarzyna Erhard – uśmiechnęła się. – A pan jest chyba reporterem? Wygląda pan na dosyć ciekawskiego.

– Ależ nie, bardzo przepraszam, ja... – Ku swemu zdumieniu objął ją machinalnie ramieniem i spontanicznie zaproponował: – Jest pani cała mokra. Proszę zdjąć płaszcz i podejdziemy do barku. Przyda się pani kieliszek whisky na rozgrzewkę.

Uśmiechnęła się ponownie, powiedziała „dobrze", a potem siedzieli w przyciemnionym, wyłożonym boazerią barku, długo, nie mogąc się nagadać. Powietrze przesycone było czystym zapachem drzewa, skóry i tytoniu, zmieszanym z wytwornym aromatem jej perfum.

Förster był szczęśliwy.

14 lipca, godzina 21.00.

Od wschodu na niebo wkradała się noc. Na zachodzie dzień żegnał się dziwacznymi formacjami chmur, płynącymi w stronę nurzającego się w złocie, czerwieni i purpurze widnokręgu.

Förster stał na tarasie zamku Herrenchiemsee podziwiając piękno parku, wchłanianego powoli przez mrok. Strumyk z dużej fontanny, wykonywał pełne gracji, coraz to nowsze figury taneczne. Z sali lustrzanej, znajdującej się za Försterem, padało na taras silne światło. W środku płonęły setki pochodni, a ludzie w strojach wieczorowych oczekiwali niecierpliwie na rozpoczęcie koncertu.

A Katarzyna czekała na niego. Przypomniał sobie przejażdżkę parowcem, który przewiózł ich przez jezioro na wyspę, gdzie znajdował się właśnie zamek Herrenchiemsee. Przez cały czas stali oparci o reling, w milczeniu, chociaż w głowach kłębiły się myśli. Wieczorny wiatr przynosił woń sitowia. Förster wsłuchiwał się w astmatyczne sapanie starego parowca. Ileż rzeczy, których przez ostatnie lata w ogóle nie dostrzegał, widział teraz i czuł.

W sposób zupełnie naturalny ujął jej dłoń i pocałował ją. Zetknięcie ich warg było tak łagodne, tak cudownie delikatne, jak to można spotkać jedynie u małych dzieci, odkrywających właśnie w sobie dar dawania. Potem wrócili do innych pasażerów i napili się szampana, aby uczcić ponowne otwarcie życia Förstera.

– Jestem bardzo szczęśliwa – powiedziała Ssassakan – że mój pobyt na Ziemi kończy się tak pięknym dniem. Teraz będę cię musiała opuścić, Robercie.

Förster kiwnął głową. Była to smutna chwila, wiedział jednak, że musiała nadejść.

– Ssassakan – powiedział. – Chciałbym powiedzieć ci tak wiele, że nawet nie wiem jak...

– Nie musisz nic mówić – usłyszał głos Ssassakan. – Wiesz przecież, że cię przenikam.

– Rzeczywiście. – Förster roześmiał się. – Co za nieprawdopodobna historia! Istota pozaziemska pomaga mi wrócić do życia.

– Właściwie to sam sobie pomogłeś – powiedziała Ssassakan. – Ja tylko przerwałam twoją rutynę, tak jak ty przerwałeś moją. Wiele nauczyliśmy się wzajemnie od siebie.

– Tak. Wielka szkoda, że musisz już odejść.

– Przecież masz teraz Katarzynę.

– Na szczęście tak. Gdyby nie ona, nie zniósłbym tego, że cię tracę. – Coś mu nagle przyszło go głowy. – Hej, zaczekaj chwilę! Katarzyna... ten młody człowiek z firmy zagrożonej bankructwem... Katarzyna jest bardzo podobna do Barbary. Dużo zbiegów okoliczności jak na jeden dzień! A to, że już po minucie objąłem Katarzynę, nie leży w moim zwyczaju. Ty zaaranżowałaś wszystko i potem pociągałaś trochę za sznurki, czy nie tak?

– Może tak, może nie – odparła Ssassakan. – To nieistotne. Najważniejsze, że jesteś szczęśliwy. To ułatwia pożegnanie.

– Ty szatanie – szepnął Förster. – Lubię cię. Niech to diabli, lubię cię!

– Ja też ciebie lubię, Robercie. Bądź zdrów. Trzymaj się.

– Bądź zdrowa, Ssassakan. I dziękuję za wszystko.

I Förster pozostał znowu sam. Zatopiony w myślach wpatrywał się w park, jego wargi poruszały się, mamrocząc coś bezgłośnie. Następnie odwrócił się i skierował do jasno oświetlonej sali lustrzanej. Już na progu odwrócił się i spojrzał za siebie, na niebo.

Wiele szczęścia, Ssassakan, gdziekolwiek jesteś.

Powoli zapalały się gwiazdy.

Przełożył
Mieczysław Dutkiewicz

obrócił się na pięcie i skierował ku środkowi barki, tam gdzie w uległej pozie czekał Jednooki. Być może spodziewał się nagrody lub choć gestu pochwalającego jego podłość. Lecz strażnik obrzucił go gwałtownymi obelgami.

*

Barka dobiła do Me-Ghir po dwóch dniach żeglugi i bez żadnych innych zajść. Pilnowani przez straż więźniowie zeszli na ląd w strugach deszczu. Całą grupę przejął jakiś wyższy rangą żołnierz i poprowadził pod ponure zadaszenie, dające jako takie schronienie przed deszczem. Dwie rozczochrane, nędznie odziane staruchy krzątały się wokół wielkiego, dymiącego kotła. W kącie oczekiwała już inna grupa zesłańców.

Gavor chciwie wychłeptał gorącą zupę i przełknął gotowany boczek i pory, mimo ich obrzydliwego smaku. We wszystkich strawach czuł straszliwą wilgoć, a całym jego ciałem wstrząsał dreszcz przenikliwego chłodu, na przemian z napływającymi falami gorąca.

Przerwa nie trwała długo. Pod prowizoryczne schronienie podjechał rząd wozów i więźniowie zostali wepchnięci do ustawionych na nich klatek. Na szczęście strugi deszczu przemieniły się w drobną mżawkę, która jednak niemiłosiernie siekła ciała, aż do zupełnego zwiotczenia mięśni.

Konwój przejechał między dwoma rzędami osmalonych resztek domostw wyludnionej osady, z chylącymi się murami i resztkami kominów, i zagłębił się w dębowy las, tak ciemny, że zdało się, jakby zapadła noc. Słychać było uporczywe nawoływanie sójek, zagłuszone niekiedy wysokim i stanowczym krakaniem kruków. Podróż przeciągnęła się przez całe popołudnie, bez krótkiej choćby przerwy. O zmierzchu, po przebyciu zalesionego obszaru, wozy dotarły na skraj trawiastej równiny. W miarę posuwania się naprzód, trawa stawała się coraz rzadsza i stopniowo ustępowała twardemu i kamienistemu podłożu.

W złudnym świetle zachodzącego słońca wzgórza Me-Ghir wznosiły się niby porośnięte mchem czaszki z pustymi, bielejącymi oczodołami: były to pozbawione roślinności wyrobiska.

Wozy zatrzymały się przy pierwszych podjazdach, w długiej wąskiej kotlinie, porośniętej trawą i suchymi szkieletowymi krzewami.

Po zachodniej stronie kotliny ciągnęło się długie na pięćdziesiąt łokci, wsparte na słupach schronienie dla wozów, które nieustannie krążyły między kamieniołomami w Me-Ghir a ościennymi rejonami, zaopatrując je w kamienne płyty i tłuczeń. Po stronie południowej widok na wzgórza przesłaniał zaniedbany, masywny budynek. Nieliczne okna wzmocnione były solidnymi kratami, a skrzydeł potężnej bramy strzegły skomplikowane zasuwy. Nie opodal znajdowały się dwie mniejsze budowle: pierwsza to zapewne magazyn, druga mieściła kwatery strażników.

Gavor wraz z więźniami został brutalnie popchnięty w stronę centralnego budynku, mieszczącego skazańców. Jeden ze strażników odryglował drzwi i szeroko otworzył oba skrzydła. Drugi strażnik zniknął wewnątrz, oświetlając pomieszczenie niewielką latarnią i po krótkim przeglądzie zakrzyknął:

– Tutaj jest miejsce dla trzech.

Trzech skazańców popchniętych zostało w tamtym kierunku.

– Tutaj czterech – krzyknął strażnik. – Tutaj jeden, tutaj trzech, tutaj dwóch...

Gavor znalazł się mniej więcej na środku budynku, który dawniej musiał być stajnią, jak można było sądzić po żłobach, umieszczonych wzdłuż bocznych ścian pomieszczenia.

Odór ekskrementów i moczu był nie do wytrzymania, gęsta, czarniawa ciecz zalegała dwa równoległe kanały, ciągnące się przez całą długość budynku. Gavor ujrzał ludzkie cienie przykucnięte nad nimi w najbardziej groteskowych pozycjach, okryte łachmanami, skrawkami zniszczonego płótna z żółtymi plamami.

Strażnik szybkim ruchem przykuł mu rękę do przytwierdzonego do żłobu kółka. Gavor opadł na ziemię, starając się zgarnąć jak najwięcej słomy, gdyż znalazł się na gołych kamieniach posadzki, a jego wycieńczone ciało potrzebowało suchego miejsca, żeby osuszyć się po wielu godzinach przebywania na deszczu.

W parę minut strażnicy uporali się ze wszystkimi więźniami i odeszli klnąc i złorzecząc.

Gavor natychmiast zasnął.

LINO ALDANI
DANIELA PIEGAI

Znak białego księżyca

(Nel segno della luna bianca)

Przełożył **Radosław Kłos**

„Znak białego księżyca" jest jedyną dotychczas powieścią spółki autorskiej Lino Aldani – Daniela Piegai. Lino Aldani, ur. w 1926 roku, autor dwóch powieści fantastyczno-naukowych („Quando le radici", 1977; „Eclissi 2000", 1979) oraz wielu opowiadań jest najczęściej tłumaczonym włoskim pisarzem SF (przekłady na języki: angielski, francuski, niemiecki, rosyjski, hiszpański, rumuński, holenderski, japoński). Jest redaktorem naczelnym i założycielem czasopisma „Futuro". Daniela Piegai ma w swoim dorobku powieści oraz opowiadania SF (m.in. za opowiadanie „La dama delle sette lune" otrzymała nagrodę Mary Shelley, 1979).

Zamiarem autorów było stworzenie opowieści w stylu swobodnej średniowiecznej heroic fantasy. Lecz efektem współpracy autorów o dociekliwym usposobieniu jest dzieło znacznie poważniejsze, nie pozbawione głębszej symboliki, której sednem jest idea wolności.

R.K.

Rozdział I

Gavor zasiadł w cieniu gigantycznego wiązu i spokojnie obserwował pasące się nad brzegiem stawu źrebaki. Rozleniwione wśród listowia ptactwo zamilkło w południowym skwarze i niepodzielnie panowało szalone cykanie świerszczy.

Gavor ziewnął i przetarł oczy, żeby odegnać ogarniającą go senność. Lecz po chwili drgnął, wyczulonym słuchem wyławiając odgłos kroków za plecami.

Odwrócił się gwałtownie. Jakiś mężczyzna zmierzał przez polanę wprost do stawu. Gavor rozpoznał go bez trudu: kołyszący się chód, czerwona kita piór, krzywe i owłosione ogromne nogi należeć mogły jedynie do Grumaka, kapitana straży.

– Witaj, chłopcze – dobrodusznie pozdrowił go kapitan. – Jak widzę, siedzisz sobie beztrosko w cieniu.

– Drzewo jest duże i starczy pod nim miejsca dla wszystkich – odparł Gavor z cieniem irytacji w głosie. Grumak nie był złym człowiekiem, ale zbyt często naprzykrzał się pytaniami, które prawie zawsze wprawiały w zakłopotanie.

Kapitan zdjął z ramienia łuk i kołczan i rzucił je na ziemię. Potem odpiął miecz i ściągnął zakurzone buty.

– Chcę się ochłodzić – powiedział i skierował się do stawu. Kiedy mężczyzna znalazł się na brzegu, dwa źrebaki odskoczyły spłoszone. Grumak zrzucił z siebie kaftan, zanurzył czubek stopy w wodzie i zaklął, gdyż woda przypominała ciepłą zupę i wcale nie zachęcała do odświeżenia się. Zanurzył się jednak i zaczął oddalać od brzegu, aż woda sięgnęła mu do pach. Wówczas zaczął miotać się niby oszalała kura, wznosząc bryzgi piany.

Gavor obserwował go rozbawiony. Grumak uspokoił się na chwilę.

– Hej, chłopcze, co w tym śmiesznego?

– Twój kapelusz – odparł Gavor. – Założę się, że nie zdejmujesz go nawet, gdy kładziesz się spać.

– Właśnie tak – odburknął kapitan, który niechętnie odsłaniał swoją łysą jak kolano czaszkę.

Tymczasem Gavor podniósł z ziemi łuk, nałożył strzałę i wodził to w jedną, to w drugą stronę, jakby w poszukiwaniu ukrytych celów.

– Odłóż to – spokojnie odezwał się Grumak. – Nie dla ciebie taka zabawka.

– Mogę trafić w jabłko z dziesięciu kroków – dumnie zapewnił młodzieniec.

– Też mi sukces! – zadrwił kapitan. – Dobry łucznik potrafi rozłupać orzech z dwukrotnie większej odległości...

Gavor obruszył się:

– Gdybym tak mógł poćwiczyć... – westchnął. I po chwili: – Zostaw mi łuk, Grumak, a nim minie miesiąc, pokażę ci, jak trafić ziarno grochu z trzydziestu kroków.

Kapitan straży zaśmiał się: – Fanfaron z ciebie! W każdym razie... dobrze wiem, że nie masz prawa posługiwać się bronią. Dość już z tobą żartowałem, tego łuku nie powinieneś był nawet dotykać.

Ale Gavor nie słuchał tego, co mówił wychodzący z wody Grumak. Patrzył na blady brzuch kapitana, wydatny i nabrzmiały niczym worek, i szybkim ruchem skierował w jego stronę łuk:

– Gdzie mam wbić ci strzałę? W pępek? A może wolisz między oczy?

Grumak potrząsnął z rozdrażnieniem głową.

– Jesteś młody i głupi – zawyrokował. Mamrocząc jakieś przekleństwa, strząsnął z siebie pijawki, które przyczepiły mu się do piersi i łydek, zebrał swoje rzeczy i zaczął się ubierać.

– Jesteś jak dzikie zwierzę – ponowił. – Same mięśnie i nic rozumu. Znajdzie się coś do picia?

Gavor odłożył łuk i poszedł pod drzewo po bukłak. Grumak wlał do gardła parę długich łyków, powoli, bez zachłanności. Wierzchem dłoni osuszył wąsy.

– Zastanówmy się, chłopcze. Twój ojciec twierdzi, że za parę dni kończysz dwadzieścia lat i sam zdecydujesz. Coś mi się jednak widzi, że propozycja przeniesienia się do zamku i wstąpienia w służbę Khavla, naszego pana, nie nęci cię zbytnio.

Gavor wzruszył ramionami i gniewnie zmarszczył brwi.

– Kto lub co cię powstrzymuje? – ciągnął kapitan. – Może twój wuj Obher nie jest z tego zadowolony?

drugi usadowiony pod ochronnym daszkiem w środku pokładu. Zjawił się przewoźnik i przy wtórze przekleństw i ogólnym gderaniu rozdzielił suchary i suszoną rybę.

– Nie poddam się – mówił Zobra, szczerząc zęby. – Nie zobaczą mnie w Me-Ghir: kiedy tylko nadarzy się sposobność rozwalę ten zbutwiały kołek i skaczę.

– Utoniesz – ostrzegał Gavor. – Rzeka jest pełna pułapek, wirów i zdradliwych prądów.

Wskazał brodą na łuczników, pilnujących barki.

– Podziurawią cię jak sito. W Me-Ghir spokojnie będzie można pomyśleć, jak uciec.

– Nikomu nie udało się jeszcze zbiec z Me-Ghir – wymamrotał olbrzym. – Umrzemy tam okropną i powolną śmiercią. Ja spróbuję wcześniej, przy pierwszej okazji.

Po posiłku więźniowie zaintonowali żałośnie smutną pieśń, podczas gdy przewoźnicy dokładali starań, by tykami i wiosłami utrzymać barkę w głównym nurcie rzeki. W ciepłych promieniach słońca, które niby jaskrawe oko wzbijało się na kryształowe niebo, Gavor zapadł w absurdalny półsen, pełen zjaw i wspomnień, okropności i kuszących syren.

Wstrząsnął nim nagły wrzask. Uniósł się na łokciach i otępiałym jeszcze spojrzeniem ogarnął towarzyszy niedoli, którzy przycupnięci wzdłuż burty, przy ogólnej wesołości, załatwiali do rzeki swoje cielesne potrzeby. Przykuci na środku pokładu nie mogli dostać się do burty, klęli więc głośno i grozili wszczęciem zamieszania. Zobaczył Jednookiego bezczelnie sikającego dookoła. Wreszcie przewoźnicy uwolnili najbardziej potrzebujących, umożliwiając im załatwienie naturalnej potrzeby, jednak pokład zdążył zamienić się już w śmierdzący ściek.

Zobra wykorzystał zamieszanie i rozwalił kołek, którym przygwożdżony był do pokładu, i z powrotem położył się na plecach, badając wyrwany łańcuch.

– Gotowe – wyszeptał olbrzym, wydłużając szyję w kierunku ucha Gavora. – Słuchaj teraz uważnie, przyjacielu. Widzisz to zakole, tam dalej, gdzie rzeka jakby znikała pod ziemią? Prąd musi być tam silny i przesunięty ku brzegowi. Spróbuj odwrócić na chwilę uwagę łuczników, a ja wślizgnę się do wody i zmykam.

Gavor niespokojnie potrząsnął głową, nie wierząc w powodzenie tego zamiaru. Zobra jednak nalegał niemal błagalnie.

– Zgoda – powiedział wreszcie Gavor. – Powodzenia, przyjacielu. Niechaj bogowie cię strzegą.

Kiedy barka znalazła się w pobliżu zakola, Gavor nagle wstał i zaczął krzyczeć co sił w płucach:

– Tam w dole, patrzcie, Wielki Gruggar, tam, na zachodnim brzegu! – i przedramieniem osłaniał wzrok, jakby przejęty grozą.

Przewoźnicy skupieni na trudnym manewrze zesztywnieli z uniesionymi wiosłami, człowiek przy sterze puścił na moment drąg sterowy, tak że barka obróciła się na lewą burtę i zaczęła niebezpiecznie się przechylać. Więźniowie zaczęli wrzeszczeć przeraźliwie i unosząc się na kolanach, wytężali wzrok, wypatrując Wielkiego Gruggara, legendarnego węża rzek. Także i dwaj łucznicy, z łukami opuszczonymi, patrzyli na zachód, przesłaniając dłońmi oczy.

Zobra wśliznął się do wody niczym węgorz. Jednooki nie dał się jednak zwieść. Może śledził każdy ruch Zobry od chwili, gdy olbrzym roztrzaskał pachołek, a może z wiatrem dotarły do niego półgłosem wymawiane słowa.

Piskliwym krzykiem, w którym czuło się nienawiść i żądzę zemsty, zwrócił uwagę strażników. Wyciągniętą ręką wskazywał punkt na rzece, w którym niby napełniony pęcherz, wynurzała się łysa czaszka Zobry.

Łucznik, stojący obok strażnika, w oka mgnieniu wypuścił strzałę, która utkwiła między łopatkami olbrzyma. Zobra wydał desperacki gardłowy okrzyk, uniósł nad wodę obciążone łańcuchem ramię, a całe jego ciało obróciło się w wodzie i zniknęło pod falami. Kiedy na jedną chwilę raz jeszcze się wynurzył, twarz miał skierowaną ku rufie barki, źrenice białe niczym jajka i szeroko otwarte, domagające się powietrza usta. Znajdował się o jakieś trzy tuziny ruchów ramion, ale niezawodny łucznik drugą strzałą przeszył jego szeroko rozwarte usta.

Gavor osunął się na pokład. Nie słychać było ani jednego słowa, wszyscy wstrzymali oddech. Łucznik podszedł do niego i utkwił w nim wzrok z dłonią opartą na rękojeści miecza. Zabije mnie, pomyślał Gavor z szalonym biciem serca. Żegnaj świecie, żegnaj Duno, żegnajcie wszyscy. Ale, o dziwo, strażnik

– Jest i dla ciebie – powiedział, zwracając się do Gavora, kiedy zaspokoił już pierwszy głód.

Gavor ze zniecierpliwieniem wzruszył ramionami. Spoglądał na najmłodszego z więźniów i wydawało mu się, że ten płacze. Podszedł do niego, omijając cuchnące ekskrementy.

– Co ci jest, chłopcze?

Chłopiec płakał naprawdę. Poruszał głową ledwie dostrzegalnymi ruchami, a całym jego ciałem wstrząsał dreszcz, nad którym nie potrafił zapanować.

– Co ci jest? – powtórzył Gavor. Ponieważ nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi, zwrócił się do dwóch pozostałych więźniów, którzy leżeli nie opodal, bez spodni.

– Co się wtrącasz? – krótko uciął potężniejszy z nich mocnym, barytonowym głosem. – Chłopak płacze, bo chce, jest płaczliwy jak kobieta. Odczep się, bo chcemy spać...

Ale drugi, nerwowy chudzielec z orlim nosem i czarną opaską na oku, zaczął się śmiać.

– Gdyby miał brodę i wąsy – odezwał się ostro – nic by mu nie było. Ale widzisz, jaką ma gładką i delikatną skórę. Przeklęty! Już od trzech miesięcy nie dotykam kobiety i kiedy dzisiaj straż wrzuciła tu tę łanię, okrąglutką i bez kolców, nic poza nim nie widziałem...

Nie zdążył jednak dokończyć. Zobra schwycił go za strzępy ubrania i uniósł jak gałązke, wcisnął głową do kotła i wrzeszcząc zaczął go niemiłosiernie kopać.

Drugi więzień zerwał się na równe nogi, zamierzając dopaść Zobrę od tyłu, ale Gavor podłożył mu nogę i ten potoczył się wśród resztek z kotła i ekskrementów.

W otworze mignęło czerwone światło. Jakiś wzburzony głos budził straże, ale nim te przybyły, Żelazna Ręka zdążył już złamać kark napastnikowi i pogruchotać żebra jednookiemu.

Gavor spędził noc bezsennie, rozdrażniony fetorem pomieszczenia, szlochaniem chłopca, jękami poturbowanego i śpiewem pijaków ucztujących nad rzeką.

Natomiast Zobra chrząkał niczym wieprz.

Rozdział XIII

W Me-Ghir, rzecznym porcie okręgu Kongarabh, ładowacze wywodzili się spośród ludzi najróżnorodniejszego pokroju, wielu z nich pochodziło z bardzo odległych prowincji. Na uliczkach i zaułkach przewijali się byli galernicy, uciekinierzy, awanturnicy, złodzieje i prostytutki, przemytnicy, jasnowidze, paserzy i pozbawieni skrupułów handlarze. Schronili się oni do strefy, w której nadzór był łagodny i panowała duża tolerancja.

Kiedy Gavor i reszta więźniów zostali wyciągnięci z ponurych kazamatów, w porcie już wrzało. Niekończąca się karawana mułów stała wzdłuż ścieżki do holowania barek, tratwy to dobijały do nabrzeży, to kierowały się na środek szlaku rzecznego.

Zjawił się dowódca straży, z oczami jeszcze zaspanymi i twarzą czerwoną po nocnej hulance.

– Jeden z was skręcił kark więźniowi Grenko – powiedział jakby stłamszonym głosem. Utkwił wzrok w muskularnych ramionach Zobry.

– Z całą pewnością ty – dodał. – Powinienem cię za to powiesić, gdyż pozbawiłeś nas pary rąk, potrzebnych w kamieniołomach Me-Ghir. Ale jeśli cię powieszę, stracę następną parę rąk i to jeszcze lepszych. Masz szczęście, łysa pało. Nie mam nawet czasu, żeby cię wychłostać: barka do Me-Ghir już przybiła i lada moment wyrusza.

Obrócił się w stronę chłopca.

– A ten? Co tutaj robi ta laleczka? Zabieraj się stąd! Wyślijcie go do kuchni, niech skrobie zieleninę. Coś takiego w kamieniołomach Me-Ghir jest zupełnie zbędne.

I oddalił się, ciskając przekleństwami. Straż powlekła Gavora, Zobrę i Jednookiego przez placyk i dalej w dół, schodami prowadzącymi na nabrzeże, gdzie oczekiwała już ogromna barka.

Na pokładzie Gavor naliczył dwudziestu czterech więźniów, sztywnych z zimna po nocy spędzonej pod gołym niebem. Wszyscy byli przykuci do solidnych pachołków łańcuchami obejmującymi ich w kostce lub za nadgarstek. Jednookiego umieszczono na wolnym miejscu pośrodku barki, Zobra i Gavor znaleźli się na prawej burcie, w części rufowej.

Dwaj łucznicy ze strzałami na cięciwach stali na straży, jeden okrakiem na wydłużonej dziobnicy,

A może z powodu córki pastucha krów Lokisa?

– Duna nie ma z tym nic wspólnego – pośpiesznie zapewnił Gavor. – Prawda jest taka, że nie chce opuszczać mojego domu, czuję się bardzo przywiązany do rodziny, lubię rozmawiać z wujem Obherem, a przede wszystkim lubię zajmować się końmi...

– Ależ oczywiście! – z ironią przerwał mu Grumak. – Lubisz zajmować się końmi, ale lubisz także strzelać z łuku i władać mieczem. Musisz wybrać, mój chłopcze. W zamku, poza dobrym żołdem, czekają na ciebie najlepsi mistrzowie wojennego rzemiosła, kobiety i uczty, wszystkie konie, jakie tylko zechcesz, i wszystko to, czego może zapragnąć krzepki młodzieniec. Z twoimi muskułami i tymi dziwnymi żółtymi iskrami w oczach z pewnością zrobisz furorę, a kiedy ja będę już stary... kto wie, może zajmiesz moje miejsce. A jeśli zostaniesz tutaj, skończysz niańcząc twoich staruszków. Powtarzam ci, Gavor, dość już z tobą żartowałem. By cię zachęcić, pozwoliłem nawet wypróbować ci moją broń, choć w myśl prawa nie powinieneś jej nawet tknąć. Ale zabawy się skończyły. Jeśli nie zamierzasz zaciągnąć się do straży, trzymaj się z dala od mieczy i łuków, wiesz, jaka czeka za to kara.

Gavor zacisnął usta, próbując powstrzymać narastającą złość. – Miałbym jeszcze mój sztylet – powiedział ostro. Gwałtownym ruchem wyjął broń, której rękojeść wystawała mu ponad lewym ramieniem.

– O tak – zgodził się Grumak. – Sztylet to broń krótka i masz do niej prawo. Ale sztylet to narzędzie zbirów i pachołków, prawdziwy mężczyzna nosi łuk na ramieniu i miecz u boku.

Grumak raz jeszcze przechylił bukłak, po czym wyprostował się. – Twój ojciec chyba podkuł mi już konia – odezwał się głosem już obojętnym.

Wydało się, że rozmowa jest zakończona, ale Gavor skorzystał i z tej okazji, żeby dociąć kapitanowi:

– W zamku macie chyba dobrych kowali. Dlaczego zawsze przychodzisz do mojego ojca?

– Tak, kowali mamy wybornych, ale ja wolę twojego ojca. Jest najlepszym kowalem w całej prowincji, a twój wuj, Obher, to najlepszy siodlarz w okręgu. A poza tym... przychodzę, by pomówić z tobą, dzika bestio... Nie sposób nazwać cię inaczej.

Zebrał broń i skierował się w swoją stronę, ale po stu krokach odwrócił się i krzyknął:

– Kiedy się zdecydujesz, staw się pod północną wieżą i pytaj o mnie. Jeśli przyjdziesz, żeby zostać, każę grać trębaczom i wydam najwspanialsze przyjęcie.

*

Później, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, Gavor zgromadził wszystkie konie i zapędził je za ogrodzenie, gdzie pod skromnym dachem ze słomy i gałęzi znalazły schronienie przed wilgotnym chłodem nocy.

Przemierzył polanę i ścieżką skierował się do domu. Duna, jak każdego wieczoru, oczekiwała na niego w połowie drogi, pod Dębem Gromu.

– Ten człowiek znowu tu był – powiedziała dziewczyna. W głosie jej wyczuł zawziętość. – Spostrzegłam go, gdy wypasałam jałówki po zachodniej stronie wzgórza...

– Tak, wrócił, ale nie dałem mu posłuchu.

– Nienawidzę tego człowieka...

– Grumak nie jest zły – próbował oponować Gavor. Dziewczyna była jednak zbyt wzburzona, a w jej ciemnych oczach kryła się zaciętość i gniew.

– Nienawidzę go – powtórzyła Duna. – Przychodzi tutaj, żeby odciągnąć cię od nas, uwodzi cię i schlebia na tysiąc sposobów, bo chce mieć ciebie w zamku jako żołnierza.

– Powiedziałem ci już, że nie dałem mu posłuchu.

– Dzisiaj! Ale Grumak jest jak pies i nie wypuści kości. Będzie wracać, aż ustąpisz.

Gavor już jej nie słuchał. Przygarnął ją, a jego dłoń zagłębiła się w rudych włosach dziewczyny, zdecydowaną, niemal natarczywą pieszczotą. Duna uwolniła się z objęć chłopca i odsunęła o parę kroków.

– Dziś wieczór nie mogę zostać... Urodziła się para cieląt, z krową jest źle i jestem potrzebna...

Chciał ją zatrzymać, ale dziewczyna czmychnęła niczym młody jelonek i w mgnieniu oka zniknęła za zakrętem ścieżki.

*

Już w domu Gavor w milczeniu zjadł zupę z rzepy, ale kiedy matka wniosła pieczonego królika, wydał okrzyk zdziwienia. Widocznie jego młodszemu bratu, Thurno, poszczęściło się przy wymyślnych sidłach, które z uporem, acz zazwyczaj bezskutecznie, zakładał.

Jego ojciec Raklo i wuj Obher żuli, nie podnosząc oczu znad miski, natomiast jego siostra Agla i młody Thurno oblizywali palce, a ich radosne okrzyki były oznaką zaspokojonego łakomstwa.

Przez otwarte na oścież wejście wpadał mroczno-czerwonymi, nikłymi cieniami, blady blask zachodzącego słońca. Od ściany do ściany niepewnie przeleciał nietoperz, a na dworze psy ujadały do wschodzącego księżyca.

Matka zapaliła kaganek i zaraz ćmy całą chmarą zaczęły krążyć po izbie. Nikt się nie odzywał, żeby nie wspominać Grumaka, który pod wieczór przyszedł podkuć konie, knując swoje intrygi. Po pewnym czasie wuj Obher mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Chodź do mnie, Gavor. Chcę pokazać ci mapę... prawie już ją skończyłem.

Obher uniósł się i powłócząc kaleką nogą wyszedł z izby. Gavor ruszył za nim prawie na oślep sienią do pomieszczenia, w którym wuj szył siodła i naprawiał obuwie. Na progu starzec zawahał się chwilę, nie dłużej jednak niż potrzeba mu było na rozjaśnienie pomieszczenia, po czym zamknął drzwi i powiedział niemal szeptem:

– Napijemy się, ale tego dobrego.

Gavor uśmiechnął się. Wino było słabością wuja Obhera, zawsze dbał, żeby w skrzyni w jego warsztacie nie zabrakło własnych, skrzętnie chowanych zapasów, przeciwko czemu nikt z domowników nie śmiał protestować.

Obher wcisnął mu kaganek do ręki i opróżnił stół z licznych narzędzi. Pachniało dziegciem i skórą. Gavor zawsze lubił ten zapach; pamiętał go jeszcze z dzieciństwa, kiedy gnany ciekawością zjawiał się po kryjomu wśród stert butów i koziołków pod siodła.

Obher napełnił dwa kielichy z polerowanej cyny:

– Do dna – zachęcił z chytrą iskierką w oku. – Wino to najlepsze lekarstwo na wszelką dolegliwość, pomaga w rozwikłaniu wszystkich problemów, a jeśli nawet ich nie rozwiąże, jest przynajmniej najlepszym pocieszeniem.

Przez chwilę trwali w milczeniu, popijając i zerkając to na światło kaganka na środku stołu, to na gigantyczne cienie falujące na murach pokrytych osadem saletry.

– A mapa – odezwał się w końcu zniecierpliwiony Gavor. – Czy naprawdę ją skończyłeś?

– Prawie. Brak mi tylko paru szczegółów w części południowej.

Ze skrzynki wyjął zwinięty pergamin i ostrożnie rozłożył go na stole. Gavor poczuł dreszcz podniecenia. Mapa okazała się labiryntem czerwonych, czarnych i zielonych znaków. Były tam rzeki i zamki, zarys gór i dolin, czaszki i sztylety, nieodłączne symbole śmierci i niebezpieczeństwa.

– Narysowałem ją – wyjaśnił Obher – tak, jak dyktowała mi pamięć mojej młodości, kiedy to krążyłem po świecie, nim pewien rozszalały koń strzaskał mi nogi.

Gavor zapytał, czy istnieją jakieś inne ziemie i inne miasta poza tymi zaznaczonymi na pergaminie.

– Sądzę, że tak – z nutą żalu odrzekł Obher. – Tylko że po tamtym wypadku nie miałem ani sił, ani odwagi, żeby je poznawać.

– Bardzo jest ładna – powiedział Gavor wygładzając pergamin. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w nią z zachwytem, przebiegając szlaki niezwykłych przygód. I nagle zrozumiał.

– Powiedz prawdę, wuju Obher. To dla mnie narysowałeś tę mapę!

Spojrzenie starego błysnęło dziwnym światłem. Obher ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził. Pewną ręką ponownie napełnił kielichy, ale Gavor nalegał z coraz większym przekonaniem.

– Dla mnie ją narysowałeś, czy tak?

– Mnie na pewno nie jest ona potrzebna – odpowiedział wreszcie Obher zmęczonym głosem. – Świat znam już jak własną kieszeń, powiedziałem ci przecież. I mogę cię zapewnić, że nie zamówił jej u mnie

moczu po głowach stojących wokół klatki dzieci. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy jakaś kobieta o smutnych oczach wrzuciła na wóz parę marchewek i duży kawał pokrytego pleśnią sera.

Podzielili tę odrobinę jedzenia ze skrupulatnością i dokładnością kupców korzennych i posilili się bez słowa, jako tako schronieni przed natręctwami gapiów.

Wreszcie woźnica wyszedł z gospody. Sprawdził klatkę, parę razy beknął i nie zaszczyciwszy ich nawet jednym spojrzeniem, wdrapał się na kozioł.

Droga była teraz lepsza: wóz toczył się gładko. Kamienie i wyboje ustąpiły miejsca miękkiemu, porośniętemu mchem podłożu dróżki, ciągnącej się wzdłuż gęstych zarośli bzu.

Zobra zasnął w pozycji na wznak i z rękoma pod głową sapał niczym miech. Czarna chmura kruków przesunęła się na niebie ku północy, nagle jednak ptaki zmieniły kierunek i zaczęły krążyć dokładnie nad wozem, towarzysząc mu przez pewien czas. Wreszcie, jakby posłuszne nieznanemu rozkazowi lub zwabione nieznaną przynętą, znów utworzyły zbity szyk i zniknęły za wysokimi krzewami.

Gavor zamknął oczy i też zapadł w sen, pełen dziwnych obrazów. Była w nim mapa wuja Obhera, przybita niczym tarcza do pnia dębu; ohydni rycerze okryci mrocznymi płaszczami wprawiali się wokół drzewa, wypuszczając strzały w niekończącej się próbie sprawności. Mapa wyglądała jak sito najeżone wielobarwnymi piórami strzał. Wokół otwierały się przepastne jamy, pochłaniające śmiejących się szyderczo rycerzy. Ziemia wypluwała ogromne grzyby, które rosły w oczach i wybuchały z przeciągłym jękiem jak śmiertelnie ranione zwierzęta. I ktoś ukryty w listowiu śmiał się chichotem starej wiedźmy, piskliwym i złowrogim.

Kiedy się obudził, było już prawie ciemno. Był zziębnięty i wszędzie czuł rwący ból. Z kierunku, w którym zmierzał wóz, dochodziły błyski czerwonych i żółtych latarni, hałas kołowrotków i przesuwanych bloczków oraz nieustanny zgiełk, okrzyki i nawoływania ludzi, przemieszane z porykiwaniami zwierząt.

Zobra stał za plecami woźnicy i wykrzykiwał mu do uszu obelżywe przekleństwa.

– Dokąd nas ciągniesz, ty psi synu! – i wyciągał ręce za drągi w daremnej próbie oplecenia jego szyi. – Co dasz nam dzisiaj do jedzenia? Łajno twoich koni?

Zdawało się, że woźnica nawet go nie słucha. Nagle jednak obrócił się i biczyskiem mocno zdzielił Zobrę w przedramię. Olbrzym wycofał się, pomrukując niczym byk, i ze spuszczoną głową skulił się w swoim kącie targany ślepym gniewem.

– Uspokój się – stanowczo odezwał się Gavor. – I trzymaj język za zębami, bo ten dobry człowiek wpadnie w gniew i gotów jest nie dać nam nic.

Wyraźnie widać już było czerwone i żółte latarnie zatknięte wzdłuż popękanych murów niskich domów, o dachach pokrytych błyszczącymi płytami z czarnego kamienia.

Wóz zatrzymał się w głębi wioski, tuż przed rozległym placem, który niby grzebień licznymi pomostami otwierał się na rzekę. Dobra setka ludzi krzątała się gorączkowo, obracając kołowrotami, przeciągając paki towarów na tratwach stojących na ołowianej, zalatującej rybami i łojem wodzie.

Zjawiło się dwóch strażników z przewieszonymi łukami i krótkimi lancami.

– Ci dwaj jadą do Me-Ghir, do kamieniołomów – zaśmiał się ordynarnie woźnica.

– Tratwa do Me-Ghir przypłynie jutro o świcie – powiedział jeden ze strażników. – Na noc zamkniemy ich w kazamatach za magazynami, razem z innymi.

– To już wasza sprawa – skomentował woźnica, wzruszając ramionami. – Ja dostarczyłem ich całych, zrobiłem, co do mnie należało. Wy róbcie, jak chcecie.

*

W słabym świetle prześwitującym przez otwory strzelnicze Gavor dostrzegł w kącie dzban z wodą i duży miedziany kocioł z opartą o brzeg chochlą.

W pomieszczeniu znajdowało się trzech innych skazańców. Jednym z nich był młodziutki chłopiec o delikatnych, dziewczęcych rysach i wątłych ramionach.

Zobra dopadł kociołka niczym zgłodniały wilk, zanurzył w nim chochlę i zajadał, siorbał, połykał bez chwili wytchnienia.

Slugar razem z tym drugim schwycili go pod ramiona i wyciągnęli z celi, potem, dalej przez niekończące się korytarze więzienia aż na dziedziniec, ten sam, na którym dzień wcześniej rozładowywali kamienie.

Znad muru przebłyskiwało pierwsze poranne światło. Brama w murze była otwarta i nad ciemnym wrzosowiskiem leżał ciężki dywan mgły. Pośrodku dziedzińca stał wóz zaprzężony w dwa czarne jak smoła, ciężkie i z gęstą sierścią fhomery. A na wozie umocowana drewniana klatka z solidnych jesionowych drągów, grubych jak ramię.

Slugar splunął mu trzykrotnie w twarz.

– Ruszasz do Me-Ghir i tam zdechniesz w kamieniołomach – zarechotał szyderczo. – Tak postanowił komendant wartowni, nie dał mi nawet czasu na lepsze poznanie się z tobą. Jesteś wielki i silny, ale nie łudź się, długo tam nie pożyjesz.

Jak worek cebuli wrzucono go na wóz, do klatki. Slugar zamknął ją i zabezpieczył, dwa razy oplatając łańcuchem. Konie ruszyły, ponaglone przez niewidocznego woźnicę i wóz zaczął podskakiwać na kamienistej, zrytej drodze. Naraz chwyciły go mdłości, przez żołądek obejmując całe wnętrzności.

Gavor parokrotnie wypluł z siebie gęstą, żółtawą ciecz. I dopiero wtedy, odwróciwszy się na bok, dostrzegł w klatce jeszcze jednego więźnia, olbrzyma o nabrzmiałej twarzy, brodatego i z krzaczastymi brwiami, kontrastującymi z woskową bladością zupełnie łysej czaszki. Podobny był do Grumaka, lecz w odróżnieniu od kapitana straży z Thune jego towarzysz niedoli nie miał takiego brzucha, a nogi jego były harmonijne i dobrze rozwinięte.

Wydawał się pogrążony we śnie, z rękoma splecionymi pod głową, oczami przymrużonymi w ostrych promieniach wschodzącego słońca. Od czasu do czasu, kiedy wóz mocniej podskakiwał, mruczał i wzdychał, lecz bez przekonania, może tylko po to, żeby poddać się rytmowi wozu.

Gavor przyglądał mu się uważnie. Wkrótce jednak odwrócił się na drugi bok i wcisnął w drągi klatki. Iglaste gałęzie i czerwone wiechy sumaków z suchym szelestem obijały się o wóz i przesuwały do tyłu, pozostawiając zapach wrzosu, soczystej trawy, pyłków i delikatny aromat wypalonego ścierniska. Poczuł wówczas nagły przypływ nostalgii. Przez chwilę poczuł się przygwożdżony wspomnieniem swoich stu źrebaków wokół stawu, ujrzał ognie na klepisku, posłyszał srebrzysty śmiech swego brata Thurno, trzymającego królika. Na moment zniknął ból w ręce, muskającej gęste włosy Duny pod wielkim Dębem Grzmotu.

*

Kiedy słońce uniosło się na trzy pięści nad horyzont, wóz zatrzymał się w środku maleńkiej wioski. Woźnica zeskoczył z kozła, sprawdził łańcuch przy klatce i pogwizdując skierował się do jedynej gospody na placyku. Był to niski człowieczek, szpetny i kulejący, w czapce z zielonej wełny i spodniach z czerwonej skóry, za dużych na jego wątłe ciało. Kopniakiem rozpędził koty, które leniwie tłoczyły się pod progiem, i zniknął w środku.

– Ta mała ropucha napełni sobie kałdun – westchnął jego towarzysz podróży – a my... my musimy tkwić tutaj i zaciągać pasa.

Uniósł się, ukazując swą masywną i ogromną postać i z całej siły zatrząsł klatką, przeklinając. Również Gavor uniósł się z trudem i oparł o drzwi klatki.

Zatrzymał spojrzenie na poharatanej twarzy łysego olbrzyma:

– Kto cię tak urządził?

– Jak to kto? – olbrzym wzruszył ramionami. – Slugar. Ale przyjdzie dzień, kiedy odpłacę temu wieprzkowi, ukręcę mu szyję jak kurczakowi, słowo Zobry, zwanego Żelazna Ręka.

– Mnie też jeszcze popamięta – powiedział Gavor, obmacując zranioną wargę. – Słowo Gavora, syna Gavora.

Tymczasem wokół wozu zebrała się grupka ciekawskich. Jakiś obmierzły starzec z zaropiałymi czerwonymi oczami wepchnął do klatki zaostrzony drąg do poganiania wołów i, popiskując niczym szczur, próbował dźgać olbrzyma w pośladki.

Zobra wściekł się. Schwycił drąg i połamał go na tysiące kawałków, rozpiął spodnie i puścił strugę

żaden kupiec. Powiedzmy więc, że ta mapa to prezent na twoje dwudzieste urodziny. Przyda ci się, zobaczysz.

Gavor zamyślił się, obracając w dłoni kielich.

– Grumak chciałby mieć mnie w zamku – odezwał się, przygnębiony. – Duna chce zatrzymać mnie tutaj, a ty... ty podsuwasz mi trzecie wyjście: rzucić wszystko i ruszać w świat. Czy myślisz, że nie miałbym ochoty? Noszę w sobie pewne marzenia, od kiedy miałem jeszcze mleko pod wąsem, zamiary, które zawsze odkładałem przez szacunek dla ojca, dla ciebie i dla was wszystkich, bo jesteśmy jedną rodziną. Dobrze wiem, że życie jest jedno, a młodość przemija w mgnieniu oka...

Obher przyglądał mu się bacznie, napięty jak struna.

– Każdemu jest przeznaczony jego los – zawyrokował, starając się zachować spokój. – Zreperowałem tysiące butów, tysiące trzewików, pantofli, sandałów. Spędziłem życie, przycinając zelówki i nabijając guzami siodła. I zawsze, gdy uderzałem młotkiem i szyłem, gdy nabijałem i polerowałem siodła, moje myśli krążyły wokół starego problemu: tego, co jest i tego, co mogłoby być lub nie być. Te buty, pytałem siebie, lub to siodło... Dokąd zaprowadzą tego, kto je założy lub kto w nim usiądzie? Pytanie niemal bezsensowne. Każdy pantofel kończy swój żywot drepcząc wokół rozpalonego pieca lub po klepisku, podobnie wszystkie sandały zużywają się, jeśli wciąż depczą stopnie świątyń i posadzki klasztorów. Niektóre buty nie przekroczyły nigdy promienia jednej mili, a siodła posłużyły jedynie do grzania zmęczonych pośladków jeźdźców, którzy docierali najwyżej raz w roku do Górnej Mediny. Gdyż ludzie są słabi, mój chłopcze. Prawie wszystkich czeka mizerny, nic nie znaczący los. Wszyscy przychodzimy na świat po to tylko, by wiele wycierpieć, mało się cieszyć i by nieustannie być prześladowanym i zmuszanym do posłuchu. Ale twoje życie może wyglądać inaczej. Czeka cię wielki los, Gavor. Może bogowie przeznaczyli dla ciebie spełnienie dzieł wielkich i nieosiągalnych.

Gavor słuchał go, oszołomiony.

– Co ty możesz o tym wiedzieć, wuju Obher? Nie jesteś ani czarnoksiężnikiem, ani jasnowidzem. Jesteś najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znam, nieskończenie mądrzejszym od kapłanów... Nauczyłeś mnie czytać i pisać, ale nawet i ty nie możesz widzieć przyszłości...

– Czeka cię wielki los – powtórzył Obher. Może to wino uderzyło mu do głowy i pchało na meandry pozbawionych sensu kazań.

Gavor wolał przerwać wątek tego absurdalnego fantazjowania: – Ja jestem Gavor – powiedział – syn Rakla kowala i bratanek siodlarza Obhera, i może skończę jako żołnierz na zamku Khavla, naszego pana, a może jako mąż Duny, córki pastucha krów Lokisa. Ale o moim losie, wielkim czy małym, zadecyduję sam... Twoja mapa jest jedynie nic nie znaczącą zabawką.

Obher spiorunował go palącym spojrzeniem.

– Ruszysz w świat – powtórzył. – A ta mapa będzie dla ciebie jak drogowskaz. Ruszysz i będziesz szukać, dopóki nie znajdziesz...

– Ale czego, na bogów!

Obher wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem. Twój ojciec pomówi z tobą za parę dni. I ja też jeszcze z tobą porozmawiam, a ty będziesz słuchać, chłopcze. Będziesz słuchać, chyba że twoje serce jest martwe.

Rozdział II

Młody Thurno schwytał dwa króliki i parę jeżozwierzy. Agla, po deszczowej nocy, poszła szukać ślimaków i zebrała cały koszyk, tych ogromnych i obślizgłych, w ciemnych prążkowanych skorupkach.

Kelmo i Sjebe, dwaj najwierniejsi przyjaciele Gavora, przybyli z jagnięciem i dzikiem. Były też solone ryby, oliwki, przepiórki, pulardy, słodkie placuszki z ryżu i bułeczki z miodem. I obfitość wina, które uznano godnym uświetnienia uczty dopiero po wielokrotnym i skrupulatnym skosztowaniu przez wuja Obhera.

Pastuch krów, Lokis, którego zaproszono wraz z całą rodziną, już wcześniej przysłał połówkę cielaka, przyprawionego i gotowego do nadziania na rożen.

Na klepisku wrzało: dziewczęta skakały od ognia do ognia, najmłodsi znosili chrust i rozdmuchiwali żar, a mężczyźni w poważnym skupieniu oprawiali zwierzynę.

Tymczasem Duna i Agla opróżniły przestronną szopę, zestawiły stoły i przygotowały długie ławy z bali wspartych na pospiesznie zbitych stojakach.

W południe, przechodząc od rożna do rożna, wuj Obher sprawdził ostrzem sztyletu czy mięso jest już dobre.

– Ej, ludzie! – zawołał radośnie. – Wszystko jest upieczone jak należy. Możemy zaczynać.

Gavor rozejrzał się. Ocenił ilość zwierzyny nadzianej na rożny, ilość miejsc za stołem, porównał z ilością gości, całym mnóstwem placków, chlebów i koszyków napełnionych łakociami i pierożkami, jakimi zastawiony był stół.

– Nadmiar dobra – westchnął potrząsając głową. – Możemy pęknąć z przejedzenia jak ropuchy.

– Co mówisz! – zganił go Obher. – Jedzenia nigdy za dużo.

– Tego jest za dużo – z naciskiem powtórzył Gavor. Przywołał Kelma i powiedział mu:

– Posłuchaj, przyjacielu, zejdź do wioski i zbierz starców i dzieci. Powiedz, że dla wszystkich starczy u nas jedzenia.

– Do stołu! Do stołu! – poganiał wuj Obher, jakby obawiał się, że jadła mogłoby naraz zabraknąć.

I wszyscy zajęli miejsca, rzucając sobie podejrzliwe spojrzenia z obawy, że tam, gdzie się znaleźli, stół nie był tak suto zastawiony. Na dobre dwie godziny zamarły wszelkie rozmowy i słychać było jedynie rytmiczny i zwierzęcy odgłos przeżuwania, wzdychania, popiskiwania, mlaskania i łapczywe gulgotanie wlewanych w siebie jednym haustem napojów. Rytuał obfitości, pokonanego głodu, mógł wreszcie zatriumfować całą swoją zjadliwą mocą, nie zezwalającą nawet na chwilę odprężenia.

Pierwszy wymiotował Nurko, brat pastucha krów Lokisa. Za nim kolejno niemal wszyscy goście, procesją, która ruszyła za ogród, do gnojowiska. Po chwili jednak, z wytrzeszczonymi i otępiałymi oczyma zajmowali swoje miejsca i z zapałem opychali się dalej.

Gavor, walczący z udkiem jagnięcia, z zadowoleniem patrzył na dzieci, które obżerały się słodkimi placuszkami. Obok niego Agina, najstarsza w wiosce kobieta, zagłębiała zakrzywione palce w kawałkach mięsa, rwąc je na strzępy, które natychmiast znikały w jej bezzębnych ustach. A Sjebe swoimi mocnymi jak u potężnego psa zębami kruszył nawet kości. Wuj Obher wydawał się już syty i bardziej pilnował wina niż potraw. Ktoś spał z głową w misce, pozostali ziewali i popuszczali pasy. A kiedy dało znać o sobie wino, z jednego końca stołu na drugi zaczęły latać przerzucane pieczone przepiórki, owoce, ciasteczka, którymi nawzajem obdarowywali się goście.

Stara Agina beknęła słodko:

– Pięknie jest jeść! – i dwie radosne łzy popłynęły po jej pomarszczonej twarzy.

– Tak, pięknie jest jeść – jak echo zawtórował Gavor. – Ale po jednym dniu obfitym przychodzi sto dni wyrzeczeń i biedy.

Na środku stołu nadal królował dzik, nienaruszony, jakby wszyscy za cichym porozumieniem oczekiwali aż ferwor uczty ponownie rozgorzeje, żeby móc dobrać się do niego z nowym zapałem. Sjebe wziął do ręki tablà, pokręcił trochę kołkami, naciągając struny i żwawo zaczął je szarpać. Kobiety z miejsca ruszyły na środek klepiska i zaimprowizowały taniec, najpierw powolny i ociężały, po chwili coraz zwinniej i zręczniej. Mężczyźni, zwabieni fruwającymi spódnicami, wyszli z szopy z zaczerwienionymi twarzami i rozgorączkowanymi oczami. Ktoś przyklaskiwał, ktoś inny ściągnął koszulę i podrygiwał, naśladując błaznów i jarmarcznych kuglarzy. Najodważniejsi przysunęli się do kobiet i zachłannymi rękami obmacywali je bez umiaru. Lecz w tym radosnym nastroju każdy gest nabierał znamion instynktownych i prostych. Dzień wytchnienia nawet od najsurowszych zakazów.

Wuj Obher też tańczył, pomimo ułomności, a dzieci trzymając się za ręce utworzyły na podwórzu krąg.

W pewnej chwili po drugiej stronie płotu dał się słyszeć tętent końskich kopyt.

– Przybywa się naprzykrzać – zasyczał Raklo, nadymając się ze złości.

Tablà Sjeby naraz zamilkła. Wszyscy znieruchomieli i niby winowajcy spoglądali na Grumaka, który minął właśnie furtkę i wszedł w obręb podwórza.

– Dzisiaj nie pracuję – z miejsca powiedział Raklo. – Dzisiaj jest święto Gavora, który kończy właśnie dwadzieścia lat. Kuźnia jest zamknięta nawet dla ciebie, Grumak.

Kapitan uśmiechnął się.

biegł jednak nawet trzydziestu kroków, kiedy za jego plecami rozległ się wysoki, piszczący krzyk: to drugi więzień wzywał straże, żeby uniknąć oskarżenia o spisek lub co najmniej o sprzyjanie mu.

Chwilę później, tak przynajmniej zdawało mu się, gdyż w tej szaleńczej ucieczce czas jakby stanął, miał ich już na karku. Posłyszał tętent kopyt na dziedzińcu i po chwili, tuż nad głową, chrapanie dwóch ludzi. I sieć, która spadła na niego jak wyrok bez odwołania.

Potoczył się, niby ryba znienacka wyciągnięta z wody. Sieć oplotła go szczelnie: lepka pajęczyna, która odebrała mu możność wykonania najmniejszego nawet ruchu. Kiedy konie zawróciły, poczuł dotkliwy ból w kręgosłupie i silne uderzenie w kark. Całe jego ciało krzyczało z bólu, kiedy ciągnięto go z powrotem w obręb murów. Przez tę niekończącą się chwilę poczuł bezlitosną rzeczywistość gruntu, jego rwące wyniosłości, ostre kamienie, krzemienne zadry, wpijające się w ciało.

Jak worek rzucono go pod mur kazamaty, zamkniętego w kokon z sieci, pokrytego kurzem i krwią.

– Wrzućmy go do lochu – zaproponował jeden ze strażników.

– Należałoby go zabić, natychmiast – zauważył strażnik z rudymi wąsami. – Ale lepiej zaczekać aż wróci Slugar, niech on zdecyduje!

Godziny mijały z powolnością bliską obłędowi. Z okienek kazamaty, umieszczonych ledwie dwa łokcie przed nim, dochodziły podniecone, to znów spokojne głosy strażników, którzy rozbawili się już na dobre: głośne wybuchy śmiechu, bekania, sprośne żarty i odór wymiotowanego wina.

Dużo, dużo później, kiedy słońce już zachodziło, powrócił Slugar. Zmęczony, rozpalony, ale z dziwnym blaskiem w oczach. Rzucił pytające spojrzenie w kierunku skulonego Gavora.

– Próbował uciekać – wyjaśnił strażnik z rudymi wąsami – ale natychmiast go złapaliśmy.

– A my schwytaliśmy buntownika Zobre. Jutro rano wyruszy do Me-Ghir, skończy swoje dni w kamieniołomach. To było najwspanialsze polowanie w moim życiu! A teraz chcę jeść i pić, muszę się upić...

– A co z nim? Zabić od razu, czy rzucić z powrotem do lochu?

– Zanieście go do odrębnej celi – chrapliwym głosem powiedział Slugar. – Jutro się z nim rozliczę.

Posłał mu mocnego kopniaka, ale Gavor ani drgnął.

– Co ci, gołąbeczku? Śpisz?

Gavor zadrżał z wściekłości.

– Zabiję cię, Slugar – powiedział z trudem wymawiając słowa.

– Zwariowałeś! – zaśmiał się strażnik. – Jesteś chyba obłąkany!

I obracając się zdzielił go płazem głowni prosto w usta.

Gavor stracił świadomość: leciał w ciemną przepaść, jakby jakiś wampir nie z tego świata wysysał z niego życie.

„Nie tak – pomyślał resztką świadomości – nie tak... mam jeszcze tyle do zrobienia..."

Rozdział XII

Przez całą noc pozostał bez ruchu, rzucony na gołą ziemię ciemnej celi. Oczy paliły go niemiłosiernie. Nie miało sensu oszukiwać się, że bolesny, ogromny skrzep wokół górnej wargi jest tylko złudzeniem. Krew pulsowała mu w szaleńczym rytmie, ramię miał obrzmiałe, bark płonący niczym stos, a przez żebra przepływał potok rozpalonego żelaza.

Wśród skał echem niosło się pianie kogutów, posępne, tajemnicze i trudno było powiedzieć, czy łagodziło czy wzmagało ono jego cierpienie. Kiedy wreszcie jego wycieńczone ciało zapadło w półsen i odnajdywało ulgę nieświadomości, wśród krat okienka pojawiły się zwiastujące świt węże i przeniknęły do środka.

Drzwi zaskrzypiały w przerdzewiałych zawiasach i na posadzce rozbrzmiały kroki strażników. Było ich dwóch, rozmawiali oschłym gardłowym dialektem z Kongarabh. Rozpoznał głos Slugara.

– Na nogi, bałwanie!

Gavor chciał zerwać się wyprostowany, żeby uniknąć serii kopniaków, które niechybnie wylądowałyby na jego obolałym ciele. Ale członki jego były zupełnie sztywne, samemu nie dałyby rady się unieść.

– Ja ukradłem jagnię – odezwał się głos w drugim kącie lochu.
– A ja oszukałem na wadze zboża, jakie należało się panu mojej wsi – powiedział jeszcze ktoś, blisko niego.
– Ja nie zszedłem z drogi jakiemuś plugawemu kapłanowi...
– Ja nie zwróciłem długu...
– Ja nie padłem na twarz, kiedy przejeżdżał pan Kongarabh.
– Ja naszczałem pod murem świątyni...
Gavor zaśmiał się, pomimo bolesnych ukłuć w żebrach.
– A ja znalazłem się tutaj tylko dlatego, że chciałem zasięgnąć wieści – oświadczył. – Powiedzcie, czy to występek pytać o czyjś adres?
W półmroku słychać było stłumione głosy. Z nieokreślonego miejsca podziemia uniósł się jeden wyraźniejszy głos:
– Zależy, kogo szukałeś.
– Szukałem kupca imieniem Rangar...
– A więc szukałeś kłopotów – skomentował głos bez twarzy. – Rangar był heretykiem i kapłani dołożyli starań, żeby go zgładzić. Radzę ci wszystkiemu zaprzeczyć i zapewnić, że go nie znałeś, w przeciwnym razie możesz skończyć tak jak on. Tutaj, w Kongarabh, nie żartuje się z heretykami.
Gavor umilkł i obmacywał siniaki i nadwerężone żebra. Żelazne wrota lochu znów zaskrzypiały w zawiasach i ukazał się strażnik z sumiastymi i gęstymi rudymi wąsami.
– Przybył wóz z Me-Ghir – odezwał się twardym i gardłowym głosem. – Potrzebuję dwóch silnych ludzi do rozładowania kamieni.
Rozejrzał się, natężając wzrok.
– Ty... i ty! – rozkazał pośpiesznie. Gavor był jednym z wybranych, ale zrozumiał to o chwilę za późno, kiedy dosięgnął go solidny kopniak w biodro.
Z trudem uniósł się i razem z drugim więźniem podążył za strażnikiem – korytarzem prowadzącym na zewnątrz.
Wóz stał pośrodku dziedzińca, niedaleko kazamaty, mieszczącej również oddział strażników. Po przeciwnej stronie dziedzińca znajdowały się stajnie, przed wrotami stały dwa uwiązane konie, osiodłane i gotowe do drogi. Wszystko otaczał mur, z bastionami i barbakanem, ale brama stała otworem, oczekiwano być może następnych wozów.

Głazy, po zrzuceniu z wozu, miały być przeniesione w pobliże muru, w miejsce mocno już nadwątlone, wymagające szybkiego naprawienia. Za każdym razem Gavor przechodził bardzo blisko koni, uwiązanych do belki podtrzymującej strop. Wóz zasłaniał go tam przed wzrokiem strażników, którzy siedzieli u wejścia do lochu. Wskoczyć na grzbiet konia i uciec, to zamysł, który wykonać mógł w mgnieniu oka. Po krótkim namyśle zaniechał jednak tego: hałas kopyt na wybrukowanym dziedzińcu natychmiast przywołałby uwagę strażników, i płonna była nadzieja, że ich zgubi, mając ledwie parę sekund przewagi. Jedyną szansę dawało mu wymknięcie się niepostrzeżenie, korzystając z chwili, kiedy strażnicy znikną na chwilę wewnątrz budynku.

Za walącym się murem, równolegle do niego, biegł w dół ślepy zaułek, na końcu zagrodzony żelazną bramą. Z drugiej strony przejście to skręcało łagodnym łukiem wokół frontowej baszty twierdzy, ale wyjście zagradzała wysoka krata z żelaznymi prętami, zaostrzonymi niczym lance.

Jeśli zamierzał uciec, mógł to uczynić jedynie przez bramę, którą wjechać miały wozy. Zamiar zuchwały, niemożliwy do wykonania. Lecz Gavor spróbował. Obawiał się nie samych tortur, które obiecywał Slugar, ale przesłuchania i oskarżenia o herezje i kresu wszelkiej nadziei. Lepiej postawić wszystko na jedną kartę, natychmiast.

Cierpliwie odczekał na odpowiedni moment. Wreszcie jeden ze strażników podniósł się, być może chcąc ugasić pragnienie wewnątrz kazamatów. Drugi zawahał się chwilę i poszedł w ślady towarzysza.
Teraz! Ledwie parę sekund na ucieczkę. Bezszelestnie przemierzył dziedziniec i kiedy znalazł się już w bramie wjazdowej, zaczął biec tak szybko, jak pozwalały mu na to jego posiniaczone nogi. Nie prze-

– Nie zjawiam się z zamiarem podkucia koni, ale z chęci przyłączenia się do waszego święta, jeśli pozwolicie.

I zdecydowanym krokiem, nie czekając nawet na odpowiedź ani na gest zachęty, skierował się w stronę szopy, a za nim jego przyboczny, z wyraźną niechęcią dźwigający ogromny bukłak.
– To mój udział – wyjaśnił Grumak, zwracając się do wuja Obhera. – To najlepsze wino, jakie mamy w zamku. Zbliżcie się, ludzie! Ten bukłak to namacalny dowód łaskawości Khavla, naszego pana. Niech uczta trwa dalej!

Ludzie wymienili podejrzliwe spojrzenia. Ale nieufność powoli znikała niczym mgła w promieniach słonecznych. A więc Grumak zjawił się w pokojowych zamiarach. Dziwnym zrządzeniem bogów tego dnia wilk i owca mogły współistnieć obok siebie, sokoły i gołębie skrzyżowały swoje loty. Dzieci, które skryły się pod stołem i za kurnikiem, opuściły swoje zaimprowizowane kryjówki i pokazały się, najpierw nieśmiało i bojaźliwie, a po chwili już odważnie i coraz bardziej natrętnie.

Sjebe jakby cały stopił się ze swoim instrumentem, wydobywając z niego nieprawdopodobne dźwięki i pełne werwy rytmy. Uczta rozgorzała z nową mocą, niepowstrzymana radość zapanowała na podwórzu i w szopie.

Tymczasem Grumak zasiadł pośrodku stołu. Raklo podzielił dzika i poczęstował kapitana solidną porcją. Ten jednakże ledwie spojrzał na mięso.
– Wszystko jest w najlepszym porządku – pośpieszył zapewnić Lokis, ojciec Duny, wskazując na potrawy i pieczenie, znajdujące się jeszcze na stole. – Połówkę cielęcia, które zarżnąłem wczoraj, oddałem do zamku, zgodnie z nakazem...
– Dzik zaś – dodał Kelmo – został ubity na wolnym terenie, z dala od borów Khavla, naszego pana.

Grumak potakiwał. Nie przybył tu węszyć, chciał jedynie wypić za pomyślność Gavora, który kończył dwadzieścia lat.

Wuj Obher napełnił puchar i Grumak uniósł go uroczyście. Także i Gavor wzniósł swój puchar, a w ślad za nim współbiesiadnicy.
– Chcę opowiedzieć wam pewną historię – zaczął Grumak, ściszając głos. – To historia o pewnym śmiałku, który wypasał konie, aż pewnego dnia los zetknął go z wielkim panem, bogatym i potężnym. „Chodź do mnie na służbę", zachęcał go pan, „a twoje życie odmieni się niby ołów w złoto". Lecz młodzieniec odwrócił się od niego, gdyż był dziki i nieokrzesany jak konie, które hodował. Ale nadszedł czas straszliwego głodu i cały kraj przemienił się w pustynię wynędzniałych i dogorywających upiorów. Cóż więc czyni nasz młodzieniec? Pośpiesza do zamku, gdzie oliwy i zboża jest pod dostatkiem i pada na kolana u stóp pana. „Weź mnie do zamku", błaga, „choćby na najniższego z twoich sług". Ale pan wybuchnął tylko gromkim śmiechem. „Za późno", powiedział mu. I przepędził go grzmiącymi słowami.
Grumak potoczył wzrokiem po współbiesiadnikach:
– Co myślicie o tej historii? Czyż nie jest ciekawa?
Wuj Obher cisnął puchar wprost na słup podtrzymujący strop.
– To zupełnie inna historia – zagrzmiał wściekle. – Młodzieniec wypasający konie odwrócił się od pana i ruszył w świat, a kiedy przeszedł go wzdłuż i wszerz, powrócił obładowany złotem i drogimi kamieniami i zawładnął zamkiem, w którym tymczasem wszyscy pomarli od zarazy. Tak kończy się historia, mówię wam.

Grumak uśmiechnął się bez cienia zjadliwości, jak zwykle spokojny i opanowany.
– Przesadziłeś, siodlarzu. Czyżbyś rzeczywiście chciał, by Khavlo, nasz pan, padł ofiarą zarazy?
– A ty – odparł Obher – czyżbyś chciał byśmy wszyscy pomarli z głodu?

Kapitan zmarszczył czoło z wyrazem, który w każdej chwili groził gniewnym wybuchem. Lecz raz jeszcze twarz jego rozpogodził uśmiech.
– Dajmy spokój – odezwał się pojednawczo. – Bajki nie ranią nikogo, to próżne słowa, które wiatr w lot rozwiewa. Napijmy się raczej.
Jego przyboczny ponownie napełnił puchar. Grumak opróżnił go jednym łykiem i dalej obyło się już

bez zatargów. Młody żołnierz przeniósł się do grupy dziewcząt i zaczął żartować z Duną i Aglą, z nikłym jednak rezultatem, kapitan zaś rozglądał się melancholijnie, to stukając palcem w rytmie tablà, to gładząc wygolone główki dzieci, które stłoczyły się wokół niego, podziwiając miecz.

Grumak nie pozostał długo. Opróżnił jeszcze ze dwa razy puchar, wyraźnie nieswój w obecności Rakla, Obhera i Gavora, którzy milcząc wpatrywali się w niego.

– Pilnujcie się – powiedział jeszcze zagadkowym tonem.

Skinął na żołnierza i razem z nim przemierzył podwórze i znalazł się na drodze. Gdy przechodził, kobiety znajdujące się na zewnątrz niezdarnie pochyliły się przed nim, a mężczyźni zdjęli czapki z uszanowaniem.

– Widzieliście – wybuchnął wuj Obher, zaledwie tylko tętent kopyt oddalił się. – Nawet gdy przychodzą odziani w skórę baranka, są gotowi rozszarpać kłami niby wilki.

– Grumak nie jest złym człowiekiem – zaoponował Gavor. – Trzy dni temu Thamur, pierworodny syn kotlarza, został przyłapany z łukiem na terenach łowieckich zamku. Zgodnie z prawem powinna zostać mu obcięta prawa dłoń, ale Grumak wstawił się za nim i Thamur wywinął się dwudziestoma batami...

– Baty to też nie pieszczoty – odparł wuj Obher. – A zresztą wydaje mi się, że mylisz dobroć z interesem. Oszczędzono Thamurowi dłoń, zgoda. Ale dlaczego, myślisz, to zrobiono? Kiedy trzeba oczyszczać rowy, kiedy trzeba zwieźć bloki kamienne do zamku... co czyni Khavlo, nasz pan? Wzywa ludzi z Thune i wybiera najsilniejszych mężczyzn. Pomyśl, chłopcze. Gdyby Khavlo, nasz pan, poucinał dłonie wszystkim, którzy naruszają prawo, bardzo szybko pozostałby mu lud bezrękich, niezdatnych do niczego.

– Nie psujmy tego święta – wtrąciła się Hedrina, by załagodzić spór. – Do zmierzchu tylko dwie godziny, a potraw tyle, że całe wojsko mogłoby zaspokoić głód. Weselmy się, ludzie. Obcy odszedł, możemy więc radować się dalej.

Z dzikiem poradzono sobie szybko, przy wydatnej pomocy starców, którzy prawą ręką wkładali kąski do ust, a lewą ukradkiem zgarniali do sakw. Agina uniosła rogi fartucha, śmiała się i od czasu do czasu wrzucała do niego owoce i ciasteczka. Dzieci, stłoczone po kątach, przymykały oczy, ociężałe i napchane niczym pisklęta, a ich małe ogolone główki zwisały niczym dojrzałe jabłka, gdy lada chwila mają oderwać się od gałęzi.

Ciężkie czerwone wino przelewało się przez ciągle wyschnięte gardła. Wszyscy byli już pijani, tak mężczyźni jak i kobiety. Duna przysunęła się do Gavora, oparła głowę na jego ramieniu i tak znieruchomieli, wpatrzeni w łeb dzika, jedyną pozostałość po potrawach, jaka zachowała się jeszcze na środku stołu.

– Wygląda jak Grumak – uśmiechnęła się dziewczyna, wskazując na czerwoną ozdobną kitę z piór sterczącą z uszu.

Sjebe próbował jeszcze wydobyć jakieś dźwięki z instrumentu, ale tablà okazała się oporna jak kamień. Półmrok szopy na dobre opanował już przeciągły i przytłumiony koncert beknięć, ziewania, pomrukiwania i westchnień. Ktoś chrapał pogrążony w niewinnym śnie.

Jedzenie skończyło się, dzień też dobiegał końca. I końca dobiegło niezapomniane być może święto. Stopniowo biesiadnicy w milczeniu wstawali, zataczając się. Każdy unosił do domu swoje łachmany, starając się nie myśleć o znoju dnia, jaki ich czekał.

Gavorowi ciążyła głowa jak kamień, a pobłyskujący kurz mroczył wzrok. Wokół wszystko, ściany i belki szopy, drżało jakby widziane przez lekką zasłonę z wody.

– Jestem pijany – wymamrotał przepełnionymi ustami. Fioletowe światło księżyca sączyło się pod stropem, chmarami krążyły ćmy, błędne świetliki to wynurzały się, to znów chowały i niepodzielnie panowało tajemnicze cykanie świerszczy, prawdziwych panów zapadłej już nocy.

– Jestem pijany – powtórzył z trudem, podtrzymując rękoma głowę. Stół, jeszcze zastawiony naczyniami i bezładnie rozrzuconymi pozostałościami uczty, wydawał mu się nieskończenie długi, dłuższy od ogona Wielkiego Gruggara, mitycznego węża północnych rzek.

Wuj Obher zapalił kaganek. Ojciec z misą poszedł do studni po wodę i polewał mu głowę.

– To było piękne święto, czy nie? – w kółko powtarzał Gavor. – Jedzenia starczyło dla wszystkich,

Ona się śmiała, uśmiechem łagodnym i promieniejącym, a zarazem tak twardym, że mógłby sk[illegible] skałę. „Nie pozwól sobą kierować, nie próbuj się kryć, nie unikaj burz – mówiła mu – lecz śmiało st[illegible] czoła życiu, z podniesionym czołem i szeroko otwartymi oczyma: tylko wtedy życie przyjdzie do [illegible], pełne wigoru i aromatu, najeżone podniecającymi niebezpieczeństwami. Za każdym razem będzie[illegible] czuł, jakbyś kładł na szalę wszystko. I grać masz właśnie o życie, nie znajdziesz drogi wyjścia w[illegible]czce, ani w żaden inny sposób".

Lecz zapach Uljany nagle zniknął i wokół Gavora pozostał tylko fetor lochu.

★

Po pewnym czasie szczęk krat obwieścił nadejście strażnika.

– To Slugar – zadrżały przerażone głosy.

Gavor zobaczył, jak ciała więźniów w przestrachu kuliły się pod ścianami, chcąc uciec jak najdalej od nadchodzącego człowieka.

Slugar, dowódca straży, był wyjątkowo rosłym mężczyzną, o malutkich, blisko rozstawionych o[illegible]czach, z nosem spłaszczonym i zajęczą wargą.

– Chcę zobaczyć nowego więźnia – odezwał się piskliwym, jakby podpitym głosem. – Powiedziano mi, że nawet wiedźma Ciemnych Zaułków pofatygowała się ze swoją serenadą dla niego.

I utkwił wzrok w Gavorze, którego wypchnęło dziesięć par rąk na raz, a wszyscy nieszczęśnicy odetchnęli z ulgą, wyczuwając, że tego dnia uwagę Slugara przyciągnął ktoś inny.

– Hm – wymamrotał Slugar. – Nie widzę w tobie nic szczególnego, może poza wzrostem i skłonnoś[illegible] do wpadania w tarapaty.

Zwrócił się do pozostałych więźniów.

– Wiecie, co strzeliło mu do głowy, przygłupowi? To obcy, i ledwie znalazł się w mieście, poleciał [illegible] targ i z miejsca zaczął namawiać do buntu, zgadał się z jakimś wieśniakiem, stawił opór straży. Powiedzcie sami, czy nie zasłużył na solidną chłostę?

Więźniowie milczeli ze spuszczonymi głowami. Slugar zbliżył się do Gavora i palcem uniósł je[illegible] podbródek.

– Jesteś młody i krew w tobie zbyt gorąca, warto ją uśmierzyć. Trafiłeś w najodpowiedniejsze d[illegible] ciebie miejsce, znajdziemy tutaj doskonałą kurację na twoją gorączkę. Zapewniam cię, że kto wychod[illegible] spod moich rąk, jest spokojny... bardzo spokojny... i zimny, mój chłopcze, bardzo, bardzo zimny.

W tym momencie jakiś strażnik pojawił się u wejścia i głośno zawołał Slugara.

– Co się dzieje? – fuknął dowódca straży.

– Buntownik Zobra uciekł, kiedy odprowadzano go do lochu, i ukrył się w lesie, niedaleko miasta. Proszę o posiłki, nim zacznie się polowanie.

– Siodłaj konia, idioto! – wrzasnął Slugar z dzikim płomieniem w oczach. – Muszę tam być, za całe złoto świata nie przepuszczę takiej nagonki.

Znów odwrócił się do Gavora.

– Poznamy się nieco później – zaśmiał się szyderczo. – Kiedy skończy się polowanie na Zobrę, mój czas poświęcę tobie.

– Dzisiaj możesz być spokojny – zapewnił go więzień skulony po jego prawej stronie. – Kiedy Slugar złapie uciekiniera, zabawi się z nim; dla ciebie nie będzie miał czasu.

– Tak, ale jutro przyjdzie kolej na mnie. Ten Slugar jest rzeczywiście tak okrutny, na jakiego chce wyglądać?

Więzień nie odpowiedział, Gavor zaczął więc inaczej:

– Dlaczego znalazłeś się tutaj? Co takiego zrobiłeś?

– Pierwszy raz jesteś w więzieniu?

– Tak, pierwszy.

– Zapamiętaj więc jedno: nigdy nie pytaj więźnia, dlaczego go zamknięto. Mogę jednak zaspokoić twoją ciekawość: raniłem strażnika, gdy dobierał się do mojej żony...

– Ja kłusowałem – powiedział więzień z lewej. – Znalazłem się tutaj z powodu jednego zająca, i to niezbyt tłustego.

czuć proch, którym przywołuje złudzenia i tworzy halucynacje, niezdolne do przetrwania nawet chwili...

Wszyscy przyśpieszyli kroku i nikt nie miał już ochoty szydzić z więźnia, ani go dręczyć.

Gavor nie wiedział, co o tym myśleć. Całe zjawisko było nierealne, co do tego nie miał wątpliwości. Ale w słowach staruchy, dwuznacznych i tajemniczych, kryła się krztyna prawdy.

I dlaczego wspomniała o księżycu?

Chwilami ból odbierał mu zdolność myślenia. A chuda i obdarta, stanowiła część tego dręczącego, długiego koszmaru.

Rozdział XI

Arras był nietrwały jak sen, ale jego rysunek ukazał mu się z oślepiającą wyrazistością, możliwą tylko we śnie. Nawet kamienne pomieszczenie, w którym tkała Uljana, zdało mu się ogromne i podporządkowane nienaturalnej i koślawej perspektywie.

W arrasie zespoliły się motki różnych kolorów, a każdy kolor oznaczał inną kategorię ludzi i inne miejsca. A on... Nie wiedział, jakim sposobem, ale we śnie ogarnął znaczenie zawiłej symboliki, jaką tchnął arras.

Było tam Thune koloru słomianego. Była maleńka kobieta w kolorze zachodzącego słońca. I była Wieża Południka w Samarabh, utkana czerwono-miedzianymi nitkami. Byli zieloni wieśniacy, krzątający się po polach z niewielkimi motykami i bronami. Byli krzepcy drwale, ciemni jak kora dębów. Byli też mistrzowie cechowi, kotlarze, kupcy koloru malwy, fioletowi rabusie i kobiety w morelowych spódniczkach. Byli stalowi żołnierze, błękitne tancerki gibkie niczym węże i promieniejący rycerze utkani złotymi nićmi.

W ten to sposób każdy cech i każdy rodzaj ludzi wyraźnie różnił się od pozostałych. Rzeczą dziwną był jednak fakt, że wędrowni śpiewacy, czarownice i jasnowidze mieli w osnowie ten sam, identyczny kolor i niewielki półksiężyc na głowie, przez co tworzyli małe ogniste wizerunki na tle posępnego turkusu, jakby łączyło ich coś głębszego od zwykłych przyziemnych losów. I ten ognisty akcent wił się przez cały arras, tworząc odrębny rysunek, nad którym górował ogromny księżyc utkany srebrną nicią.

Sen był dziwaczny, ale i wspaniały, niepokojący i tajemniczy, lecz także oczywisty w aluzjach. Nim jednak zdążył raz jeszcze zatopić się w nim, wizja rozpadła się pod głuchymi i zduszonymi przekleństwami, nerwowymi pomrukiwaniami, chrapliwymi astmatycznymi oddechami.

Był już świt – rzeczywistość wzięła górę, wchłaniając kruchą świetlistość arrasu.

Znajdował się pod ziemią, tak przynajmniej sądzić można było po cuchnącym mule, jaki zalegał na posadzce. Światło dostawało się tam jedynie przez dwa małe okienka wzmocnione solidną żelazną kratą. Ogromne szczury i jakieś inne gryzonie o szarym futerku i długim ogonie przemykały po przyporach i gzymsach, a nawet po posadzce: ich rubinowo-czerwone ślepia płonęły wrogością i głodem.

– Starzy wrogowie – mruknął jeden z więźniów. – Co dzień dzielimy się z nimi okruchami chleba. Jeśli nie będziesz uważny, gotowe są wyrwać ci je z ręki.

I w ten sposób Gavor zauważył, że poza szczurami w podziemiu znajdowali się także i ludzie – wszyscy ci, których wziął za sterty gałganów lub grę cieni na murach. To ich jęki i urywane oddechy zakłóciły głęboki sen, w który zapadł ledwo znalazł się w tym miejscu.

W półcieniu spowijającym szarością ponure podziemie Gavor zdołał jeszcze na pewien czas wyłączyć się z otaczającej go rzeczywistości i zachować w wyobraźni złudzenia i przywidzenia, jakie poprzedziły przebudzenie się jego świadomości. Być może, kiedy umysł jest przyćmiony i otępiały z bólu, nieprzekraczalny próg dzielący przeszłość od teraźniejszości staje się bliższy, a czas upodabnia się do węża, próbującego ugryźć własny ogon, czy do talii furkoczących kart tarokowych, z której wyciągnąć można tę jedną, upragnioną.

Jeszcze przez chwilę Gavor widział siebie nie w wilgotnych lochach Kongarabh lecz w kamiennym pomieszczeniu wróżki Uljany: ona doglądała ognia, a motki jedwabnych nici oplatały wokół siebie światło kominka. Wiatr przewiewał ośnieżone i odludne wąwozy północy, docierał do serca puszczy i wstrząsał listowiem, unosząc tumany śniegu. A on wciąż tam był: w gościnie u pięknej, surowej czarownicy i szeptał jej o swoich wątpliwościach i o obawie, że nie sprosta próbie, na jaką wystawia go los.

starców, dzieci, a nawet dla tego świni Grumaka, choć nie tknął on żadnej potrawy, bo takie świnie jak on obżerają się każdego dnia.

– Tak, to było piękne święto – zgodził się z nim Raklo ospałym z przejedzenia głosem. – Teraz jednak słuchaj nas uważnie, chłopcze. Twój wuj i ja musimy z tobą porozmawiać.

– Jutro... – mówił Gavor między jednym a drugim ziewnięciem. – Teraz chodźmy spać jak wszyscy. Jesteśmy pijani.

– Musimy z tobą porozmawiać – nalegał Raklo. I wylał mu na głowę to, co pozostało jeszcze w naczyniu. – Posłuchaj, chłopcze. Jutro, gdy umysły nasze będą trzeźwe, ani ja, ani twój wuj nie zdobędziemy się na odwagę powiedzenia ci wszystkiego. Lepiej teraz, kiedy wino skryć może zakłopotanie i podsunąć odpowiednie słowa.

Gavor potrząsnął ociekającymi wodą ramionami.

– O co chodzi? Może chcecie, żebym zastanowił się nad bajkami Grumaka? A może zamierzacie opowiadać mi tutaj o mapie?

– Dość bajek – ostro zapewnił Raklo. – Tym razem opowiemy ci prawdziwą historię, dotyczy ona ciebie, twojego pochodzenia i losu, jaki cię czeka... Zacznij ty, Obher.

Wuj Obher pociągnął nosem. Jego oczy zwęziły się i pozostały jedynie dwie skośne szparki, usta mu drżały, ale jego sucha dłoń zdawała się przyklejona do ucha dzbana.

– Najpierw dajcie mi się napić – wymamrotał ochrypłym głosem. Napełnił puchary i z grymasem pociągnął spory łyk. I zaczął.

– Przed dwudziestu laty nasza rodzina mieszkała w Samarabh. Mieliśmy zagrodę nieco za miastem, na wysokości krzyżujących się traktów, którymi zmierzały karawany kupców i pielgrzymów kierujące się do Bhakry, miasta świątyń. Dla kowala i siodlarza nie brakowało tam pracy. Raklo dopiero co ożenił się z Hedriną, ja zakończyłem już moje włóczęgi i rad byłem, że – sam już kulawy, znalazłem bratową chętną do zaopiekowania się także i mną. Ejże, chłopcze, co z tobą? Śpisz?

– Słucham – zapewnił Gavor. – Mów dalej.

– Pewnej nocy, kiedy nabijałem guzami siodło, które następnego dnia miało być gotowe, na podwórze wpadł jeździec cały ubrany na czarno i zaczął tak gwałtownie dobijać się do drzwi, jakby miał je wyważyć. I byłby to uczynił, gdybym nie pośpieszył otworzyć. Zdesperowanym głosem powiedział, że jest ścigany i że nie ma już dla niego nadziei: jego głowa była już tylko krwawą bryłą, między szyją a ramieniem widniała rana, przerażająca dziura, z której sterczała strzaskana kość. Niemal siłą wszedł do domu, rozwarł płaszcz i wyjął zawiniątko: było to dziecko, niemowlę, zawinięte w zakrwawione płótno, sine, z pępowiną byle jak przewiązaną wstążką. „Mój syn", powiedział. „Jego matka zmarła przed godziną wydając go na świat, tu niedaleko, w lesie. Nie zdołałem jej nawet pochować, nie starczyło mi czasu ani sił, i jutro stanie się łupem myszy i kruków". Tak właśnie powiedział, po czym rzucił na stół garść złotych monet. „To złoto", powiedział, „zapewni wam dobrobyt i spokój na całe życie. Zaopiekujcie się dzieckiem, wychowajcie je, jakby było waszym synem, niechaj nauczy się czytać i pisać, gdyż kiedy dorośnie, będzie musiało wykazać mądrość i roztropność, żeby odnaleźć swoje korzenie i obudzić w ludziach nadzieję". Hedrina chciała opatrzyć mu ranę, ale jeździec odepchnął ją szorstko. „Dla mnie nie ma już nadziei", powiedział. „Najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej się oddalę, nie chcę, żeby dziecko dostało się w ręce moich prześladowców". Dał nam amulet, powiedział jeszcze inne zadziwiające rzeczy i nocą opuścił nasz dom, dosiadł konia i pojechał umrzeć.

– I co dalej? – wykrzyknął Gavor unosząc się. Raklo schwycił go za ramię i wypchnął zza stołu.

– Ruszajmy do domu – postanowił. – Niech nawet świerszcze nie będą świadkami tego, co mamy jeszcze do powiedzenia.

Zataczając się weszli do domu. Raklo niosąc kaganek, wuj Obher zaś dzban i kielichy. Siedli wokół stołu siodlarza, wypili i czas pewien spoglądali na siebie w milczeniu i obco podpuchniętymi, żądnymi snu oczyma.

– Nie jest łatwo mówić dalej – ziewnął Raklo.

– Nie ma już potrzeby – gorzko uśmiechnął się Gavor. – Rzecz najważniejsza jest już jasna. – Nerwowo uderzył pięścią o otwartą dłoń. – Życie płata dziwne figle – powiedział – człowiek osiąga wiek dojrzały, przygotowuje ucztę dla najbliższych, dla przyjaciół, dla krewnych, a kiedy uczta dobiega końca,

dowiaduje się, że jest tylko podrzutkiem. I jest to smutne, bardzo smutne, aż serce zamiera...

– Musisz koniecznie poznać jeszcze inne rzeczy – próbował kontynuować Raklo.

– Jutro. Jutro szczegóły – spróbował się uśmiechnąć, ale twarz nagle mu poszarzała, a z gardła dobył jedynie chrapliwy i stłumiony głos:

– Idźcie już. Zostawcie mnie samego z moimi myślami.

Rozdział III

Dwa dni później, o świcie, Gavor osiodłał Ucięte Ucho, najszybszego ze swoich koni i wyruszył w kierunku Samarabh.

W wewnętrznej kieszeni kaftana skórzany futerał ochraniał mapę wuja Obhera, a pod guzami siodła ukrył siedem złotych monet. Na szyi, na cienkim skórzanym rzemieniu zawiesił amulet.

Gavor długo mu się przyglądał, cały dzień obracał go w ręku z odczuciem irytacji i niepewności: znaczenie tego wisiorka, jego tajemnicza symbolika wykraczały daleko poza jego wyobraźnię. Był to metalowy, płaski krążek, niby moneta, okolony niezrozumiałym napisem. Na jednej stronie znajdował się wyryty z niespotykaną precyzją wizerunek ptaka z rozłożonymi skrzydłami i zakrzywionym dziobem, na drugiej – prostokąt draperii, znaczonej poziomymi liniami, z jaśniejącymi w rogu punktami jakby gwiazd.

– Ten amulet – powtarzał Obher do znudzenia – pozwoli ci odnaleźć twój los. I dzięki niemu ci, którzy oczekują ciebie, będą mogli poznać w tobie Gavora, syna Gavora. Ojciec twój nosił takie samo imię.

Potem Obher siodlarz kazał mu powtórzyć sto razy dziwne, pozbawione znaczenia słowo, żeby na zawsze utkwiło mu ono w pamięci: Meklür!

– Kiedy już cię rozpoznają, powiesz im, że przybywasz w imieniu Meklüra. Zapamiętaj to słowo. Nie zapomnij go nawet za całe złoto świata. I jedno jeszcze dobrze pamiętaj. Świat pełen jest oszustów, szalbierzy, ludzi, którzy na tysiąc sposobów starać się będą ukryć przed tobą twój cel, zmylić ci drogę i odwieźć od przeznaczenia, ku któremu zmierzasz. Zawierzyć możesz jedynie tym, którzy mówić będą o białym księżycu.

Zaczął się śmiać, lecz wuj Obher nie żartował. – Gdyby ktoś miał cię zapytać, jakiego koloru jest księżyc, masz odpowiedzieć, że białego, zrozumiałeś?

– Ale przecież księżyc jest fioletowy!

– Fioletowy, zgoda. Ale ty masz mówić, że biały. A gdybyś nie otrzymał takiej odpowiedzi, masz zakończyć rozmowę i odejść. Takie wskazówki pozostawił dwadzieścia lat temu twój ojciec, nim zmarł ścigany przez siepaczy, będących na usługach kapłanów.

Raklo klepnął go po ramieniu i mocno przycisnął do piersi.

– Thurno i Agla o niczym nie wiedzą – powiedział jednym tchem. – Będą czekać na ciebie jak na prawdziwego brata.

– I jako brat wrócę – obiecał Gavor. – I jako syn. Ponieważ ty byłeś najlepszym z ojców, a wuj Obher najlepszym nauczycielem.

Uczepiona strzemienia Hedrina z oczami pełnymi łez odprowadziła go kawałek. Pochylił się, żeby musnąć jej posiwiałe włosy, potem nagle z gniewem spiął konia.

Jego cień majaczył jeszcze szaro we wzniecony obłoku kurzu, przypominającym chmurę nadchodzącej burzy.

*

Z Thune do Samarabh było około tysiąca i sześciuset mil szerokim traktem północnym, który w połowie drogi przecinał miasto Gurabh. Gavor obrał jednak mniej uczęszczaną drogę, zbaczając już na początku na zachód, w stronę wód rzeki Da-Ghur.

wszyscy wokół rzucili się do ucieczki. Gavor dostrzegł, że Hozas na czworakach wpełzł w ciemny zaułek, on sam jednak natychmiast został otoczony i choć zręcznie unikał ostrzy, które szukały jego brzucha, stało się jasne, że znalazł się w potrzasku.

– Chcę go żywego! – szczęśliwie dla niego zakrzyknął strażnik, na którego Gavor się rzucił.

I stało się, że ledwo w godzinę po wejściu do Kongarabh Gavor był już związany jak pęto kiełbasy i prowadzony do miejskiego lochu.

– Wpadłeś w tarapaty, chłopcze! – szydził strażnik. – Zobaczymy, co z tobą będzie. Nasze więzienia pełne są niespodzianek...

– Kłopoty nachodzą człowieka i odchodzą, a ja wybieram je, jak mi się podoba – odparł Gavor wzruszając ramionami. Dobrze mu się dostało i wciąż czuł się otumaniony. A w górze fioletowy księżyc jakby drwił sobie z niego.

Przez głowę błyskawicznie przemknął mu wir wspomnień. Później czuł już tylko ból, który wzmagały razy, jakie spadały na niego wśród szyderstw żołnierzy.

Zatknięte na murach pochodnie roztaczały nad miastem niepewną i groźną atmosferę. Mieszkańcy, o ile w ogóle istnieli, skryli się za dobrze zaryglowanymi wrotami, zamykając okna, kiedy przechodził hałaśliwy oddział najemnych zbirów, podnieconych świadomością bycia panami życia i śmierci.

Nagle, z ciemności wysunęła się zgarbiona postać i zagrodziła strażnikom drogę. Powoli i cicho zaczęła mamrotać coś, co brzmiało jak litania.

– Nakazuję: błyskawico rozbłyśnij! Wodo spłyń z nieba!

Pochodnia rzuciła blask na staruszkę w łachmanach, która bez przerwy wymachiwała rękoma z dłońmi uniesionymi ku niebu. Oniemiały Gavor usłyszał odległy grzmot i poczuł, jak nieoczekiwany i orzeźwiający deszcz przemywa mu rany.

Zadrżał, choć deszcz ten był jedynie złudzeniem. Żołnierze zesztywnieli w obliczu czarownicy, która z gniewem tupała, stojąc w pokrytej warstwą lodu kałuży.

– Choćby jedno okno, kiedy czas ku temu! – wymamrotała. – Potrzebuję przeźroczystej wody, a nie zmętniałej pod lodem. Rzeczy zbyt szybko się toczą.

Po chwili wyprostowała się, smukła niczym dziewczyna, a czarne gałgany, którymi była okryta, powiewały targane wiatrem ledwo co wzbudzonej nawałnicy.

– Śnieg i chłód, zabijcie owoce jabłoni – mruczała, unosząc zakrzywione palce w białych tumanach wirujących w powietrzu.

W końcu spojrzała na Gavora niewidzącymi, skrytymi grubą, białawą zaćmą oczami i mamrotała dalej:

Nasienie człowieka z gwiazdy odległej,
z glishas płaszcz, czytaj w źrenicy żółtej,
o tobie niejedna kobieta marzyła,
wszystkie opuszczone, któraż uległa?
Gdyż innej barwy księżyc zaświecił,
wpierw miłość zabrał, potem ją zwrócił.

Gavor utkwił w niej zaskoczony wzrok. Ona westchnęła i znów się odezwała:

Nasienie tułacze z gwiazdy odległej,
z glishas płaszcz, czytaj w źrenicy żółtej,
gdy księżyca z wiarą szukać będziesz,
po nieszczęście i szczęście wnet sięgniesz.

Nikt nie śmiał oddychać. Wszyscy jak oniemieli utkwili wzrok w tej dziwnej scenie, którą rozjaśniały drgające iskry pochodni. Powoli, jakby bezwolnie, stara czarownica odwróciła się i zniknęła w ciemności. Ale jej głos niby uwięzione echo pobrzmiewał tuż nad jego uchem:

– Złotych snów, chłopcze. Stare podanie mówi, że w porannych majakach jest więcej prawdy niż sądzimy... Złotych snów.

Powietrze znów stało się rześkie i powrócił fioletowy wiosenny wieczór, bez śladu śniegu.

– Przeklęta czarownica i jej iluzje, nie warte złamanego solda! – zaklął jeden ze strażników. – Jeszcze

przed nim dziewczyna sprzedająca kury i jajka miała okrągłe, bezczelnie prowokujące biodra i rozchylone uśmiechem czerwone usta.

Co powiedziała Uljana? „Gdziekolwiek poniesie cię twoja tułacza dusza, zawsze znajdziesz jakąś kobietę gotową przyjść ci z pomocą".

– Dlaczego nie? – powiedział w duchu Gavor, rzucając ze znużeniem wyzwanie swoim bezrozumnym wspomnieniom. – Od kogoś muszę zacząć. Nie będzie chyba źle, jeśli zacznę od tej pięknej handlarki.

Ale kiedy zapytał ją o niejakiego Rangara, kupca z Tharab, dziewczyna mocno zacisnęła piękne usta i zamilkła, udając, że jest bardzo zajęta wpychaniem kur do drewnianych klatek.

– Czy jesteś pewna, że nigdy o nim nie słyszałaś? – nalegał Gavor. Był pewien, że coś wiedziała – zbyt szybko zaprzeczyła, zdradził ją zresztą błysk strachu w oczach, kiedy usłyszała imię kupca.

– Nie mam czasu na próżne gadanie – odpowiedziała dziewczyna ze zniecierpliwieniem w głosie. – Czy nie widzisz księżyca? Moje kury powinny już spać, albo jutro nie będzie jaj. Zostałyśmy dzisiaj dłużej, bo mamy święto Władcy Władców z Kongarabh i dużo zarobiłyśmy, gdyż zewsząd zjechały się tłumy ludzi. Ale już czas wracać.

Barwny targ zaczął zamierać. Przy nikłym świetle pochodni mężczyźni i kobiety składali do tobołków swoje towary.

– Błagam cię, pewien jestem, że znasz Rangara. Przed takimi oczami jak twoje nic nie może się skryć. Powiedz, gdzie go szukać?

Dziewczyna, miotając się między pochlebstwem a strachem, nerwowo rozejrzała się wokół i w końcu wybuchnęła:

– Jeśli chcesz kupić kury, sprzedam ci. Ale jeśli chcesz zasięgnąć informacji, no cóż, pytaj kapłanów, to oni go zamordowali, jeśli prawdą jest, co mówią ludzie.

Rangar został więc zabity. A skoro tak, to biały księżyc niósł śmierć tym, którzy znali jego znaczenie.

– Przyjacielu – wyszeptał człowiek o jowialnej twarzy wieśniaka – twoje pytania ściągają uwagę. Bądź ostrożniejszy, jeśli zależy ci na własnej skórze.

I oczami wskazał na dwóch zbrojnych odzianych w spodnie z czerwonymi nogawicami, którzy stali nie opodal i udając obojętność przysłuchiwali się leniwym rozmowom ostatnich kupujących.

Raz jeszcze Gavor zetknął się z głęboko zakorzenioną solidarnością odwiecznie prześladowanych, którzy w razie potrzeby potrafili zespolić się, żeby w chwilę później rozpaść się na tysiące odrębnych istnień, gotowych do ponownego złączenia przeciw usankcjonowanym oprawcom: strażnikom, panom, kapłanom i delatorom.

Już w oberży w Gurabh, mieście złotników, pomogła mu młoda oberżystka, a drwal Andiraq, czyż nie wybawił go z kłopotów co najmniej dwa razy? A na dużym targu w Samarabh, czy to nie jakaś staruszka przestrzegła go, żeby nie interesował się karzącą ręką sprawiedliwości?

Zbrojni zbliżyli się do Gavora i wieśniaka, który chaotycznie szeptał mu na ucho:

– Udawaj, że mnie znasz, rozmawiajmy jak starzy przyjaciele: dwaj rozmawiający wzbudzają mniej podejrzeń, niż jeden obcy zadający pytania. Nazywam się Hozas, przybywam z Shillpan. Jest też tutaj moja córka, wyszła za mąż za kotlarza z Kongarabh. W tych dniach urodziła i przyjechałem zobaczyć, jak sobie radzi. Hancla, moja druga córka, została w Shillpan dopilnować gospodarstwa.

Hozas opowiadał o sobie i swojej rodzinie, przywołując wspomnienia domowego ogniska Gavora, kiedy jeszcze nie zawisł nad nim blady cień nieznanego księżyca.

Lecz mimo wysiłków Hozasa strażnicy nie wyglądali na przekonanych o jego niewinności i wieśniak, dla odwrócenia uwagi, udał, że przez nieuwagę oparł się o kosz z kurami, wywracając go. Kury rozbiegły się z głośnym gdakaniem, wszyscy rzucili się je łapać i wydawało się, że wybieg się powiódł, ale jeden ze strażników dobył miecza i obuchem zdzielił w kark Hozasa, który już śmiał się zadowolony.

Hozas upadł przeklinając. Żołdak rzucił się na niego, kopiąc go szaleńczo. Gavor schwycił go za szyję, zmusił do odwrócenia się i grzmotnął w podbródek z siłą, która powaliłaby byczka.

– Na pomoc! Na pomoc! – wrzeszczała handlarka. – Zamordują się!

Kury trzepotały skrzydłami, spadła skrzynka z jajami i bruk stał się śliski. I gdy zjawili się strażnicy,

Ucięte Ucho nie nabrał jeszcze pełni sił. Przez pierwsze dni Gavor zważał, by nie popędzać go zbytnio. Później dopiero, gdy zwierzę wzmocniło pęciny i nabierało wytrzymałości, stopniowo wydłużał dzienne etapy i skracał postoje.

Podążał wzdłuż nurtu Da-Ghur, który stopniowo wykręcał na północ, wzdłuż pierwszych stoków Kordyliery Smoków, długiego łańcucha górskiego, absolutnie niedostępnego, w czym zgodni byli niemal wszyscy, a za którym rozciągały się ziemie dzikie i niegościnne. Rad był z sąsiedztwa wody, gdyż zapewniało to popas dla Uciętego Ucha. Poza tym, strony te były mało zaludnione, a w nielicznych wioskach, jakie napotykał, nie słyszało się o strażach Khavla. Rzecz jasna, nie byliby w stanie go zatrzymać, gdyż Gavor nie był przypisany do ziemi. Kowale i rzemieślnicy, kupcy i hodowcy koni mogli poruszać się z pełną swobodą. Niemniej pewnych spotkań lepiej było unikać, a droga, którą obrał, wydawała się najodpowiedniejsza i zapewniała podróż bez niespodzianek i nieprzewidzianych przeszkód.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, Gavor powstrzymywał konia i uważnie wyszukiwał odpowiednie miejsce na nocleg. Następnie rozpalał ogień, na spocony grzbiet Uciętego Ucha narzucał derkę i posiliwszy się suchym chlebem i solonym mięsem, z siodłem pod głową rozkładał się nie opodal ognia, owinięty swoją kurtą z koziej wełny.

Pomimo zmęczenia nie było mu łatwo zapaść w sen. Nieustannie męczyły go dziwne myśli, w uszach wciąż brzmiały słowa Rakla i Obhera, przelatujące z doliny do doliny niby echo. Nawet gdy zamykał już oczy i z uporem zmuszał się do zaśnięcia, przed jego rozbudzonymi myślami ukazywała się wciąż ta mapa, ze wszystkimi absurdalnymi i groźnymi symbolami. W końcu nachodził go obraz Duny, blady i ulotny we mgle: woskowa twarz i ruda grzywka. I palące, pełne wyrzutu spojrzenie. A potem głos, słodki i nieubłagany, który prześladował go nawet w najbardziej skrytych zakamarkach snu.

– Odszedłeś – mówiła Duna. – Dla księżyca, który stał się dla ciebie biały, jak do studni wrzuciłeś wspomnienia, dziecinne zabawy, i miłość, jakby nic między nami nie zaszło.

Obraz ten dręczył go do rana, także gdy trwał w najgłębszym śnie. A kiedy budził się ogłupiały i udręczony, gotów był przyjąć na siebie winę, której nie łagodziło nawet wspomnienie słów, jakie przed odjazdem skierował do dziewczyny.

– Powrócę – powiedział jej. – Jeśli będziesz o mnie pamiętać, powrócę już na zawsze.

I sztyletem obciął kosmyk jej rudych włosów i przewiązał je wokół amuletu.

Często za dnia przystawał nad brzegiem rzeki, na piaszczystych, białych od słońca ławicach. Niekiedy chwytał duże ryby o ciemnobłękitnych łuskach, które zapędzały się daleko w głąb martwych odgałęzień rzeki i zostawały uwięzione w bajorkach utworzonych przez naturalne ukształtowanie terenu. Spotykał również wiewiórki, jeżozwierze, popielice i dzikie króliki, nie miał jednak żadnych sideł, a przede wszystkim nie mógł sobie pozwolić na stratę czasu i próżne wędrówki.

Kiedy jego zapas sucharów i solonego mięsa był bliski wyczerpania, zatrzymał się w zagubionej na zboczach wzgórz wiosce. W krytych słomą lepiankach niewielkie otwory okienne pozatykane były pergaminem i cienkim natłuszczonym papierem. W głębi wioski znajdowała się gospoda: piętrowy dom wzniesiony z drewna i kamienia sprawiał wrażenie opustoszałego, jak odludny krajobraz, który go otaczał.

Gavor uwiązał konia pod werandą, chroniąc go przed wiszącym w powietrzu deszczem. Pośrodku podwórza zjawiła się jakaś dziewczyna, chudzina z brudnożółtymi warkoczami, trzymająca w ręce widły. Bez słowa, nie racząc nawet zaszczycić Gavora spojrzeniem, rzuciła przed Uciętym Uchem porcję siana. Zaraz zresztą oddaliła się, znikając za zasłoną na tyłach gospody.

Gavor wszedł za nią. W pomieszczeniu panował półmrok, takie przynajmniej odniósł wrażenie, gdy wszedł do środka. Stało tam parę stołów z ciemnego, masywnego drewna, było też ogromne, wygaszone palenisko. W rogu leżał pies, który zaczął zajadle warczeć. Wysoka i dobrze zbudowana kobieta stanęła w przejściu do znajdującej się obok kuchni.

– Witaj w Kusko Ghoreb – pozdrowiła go kobieta surowym, wcale nie usłużnym głosem.

Gavor poczuł się nieswojo i ledwo zdołał wybełkotać swoją prośbę o ciepły, solidny posiłek, niemal przepraszając za zakłócenie spokoju.

Kobieta zmierzyła go od stóp do głów, stojąc nieruchomo w drzwiach, potem zeszła dwa stopnie i zbliżyła się.

– Gospoda jest otwarta, ale nie mamy nic gotowego, nic szczególnego, ani umyślnie przyrządzonego. O tej porze roku nikt tędy nie przejeżdża. Ale jeśli nie pogardzisz naszą codzienną strawą, mogę podać ci doskonałą zupę z fasoli na boczku. Jest prawie gotowa.

Zgodził się pośpiesznie i zasiadł za stołem, w rogu i tyłem do ściany, zgodnie z naukami wuja Obhera.

– Podaj mi tymczasem coś do picia – rzucił, starając się o swobodny ton.

Dziewczyna z jasnymi warkoczami przyniosła serwetę i dzban wina. Po chwili powróciła też druga kobieta z trzema kubkami i miskami.

– Tutaj, w Kusko Ghoreb, podróżni są gośćmi rzadkimi jak białe kosy. Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli ja z siostrzenicą zasiądziemy przy twoim stole?

Siostrzenica zwała się Hibli i zezowała na jedno oko. Natomiast oczy Daimy, oberżystki, były głębokie i otoczone tajemniczym mrokiem, piersi miała bujne i agresywne, a krucze włosy zebrała w ogromny kok.

– Dokąd zmierzasz, chłopcze? – zapytała, gdy nieco już się posilili.

– Do Samarabh.

– Po co?

– Muszę kupić dwa konie rozpłodowe – skłamał Gavor, nie unosząc oczu znad miski. – Jestem hodowcą i chcę spróbować połączyć nasze południowe konie, bardzo szybkie, z wytrzymałymi fhomerami z północy.

– Przyjechałeś więc z południa, a udajesz się do Samarabh – powoli powiedziała kobieta, jakby mówiła do siebie samej. – Dlaczego jednak nie podróżujesz wschodnim traktem?

– Jest zbyt uczęszczany – odparł Gavor. – Mój ojciec i mój wuj nauczyli mnie, że gdzie większy ruch, więcej też kłopotów. Wolę drogi boczne, nawet jeśli są trudniejsze do przebycia. A zresztą... wydało mi się przesadą co dwadzieścia mil opłacać myto.

Oberżystka przytaknęła w milczeniu. Na zewnątrz tymczasem zerwały się gwałtowne porywy wiatru, okiennice trzaskały jak oszalałe i zezowata Hibli o prostych, jasnych włosach poszła je umocnić.

Po chwili spadły gwałtowne krople deszczu.

– Jak nic trzy dni wody – odezwała się oberżystka, wskazując czarnymi jak węgiel oczami na okno. – Droga utonie w błocie i na długo stanie się nieprzejezdna...

Gavor zuchwale wzruszył ramionami.

– Deszcz i błoto nie są jeszcze przeszkodą – zaśmiał się drwiąco.

– Widać, że nie znasz naszych dróg – odparła kobieta. – Tutaj deszcz i błoto oznaczać mogą śmierć. Mój mąż sześć lat temu skręcił sobie kark, spadając wraz z koniem w przepaść: droga przemieniła się w grzęzawisko głębokie do kolan.

Gavor odstawił pustką miskę i nalał sobie wina gwałtownym, zdradzającym niezadowolenie i rozdrażnienie ruchem.

– Nie obawiaj się, chłopcze. Jeśli zechcesz się zatrzymać, na górze czeka na ciebie najlepszy pokój w gospodzie. Nie będziesz musiał nawet dużo wydać.

Gavor zbliżył się do okna. Przez otwór w pergaminie zerknął na zewnątrz z nadzieją, że dostrzeże oznaki rozpogodzenia. Ale wzgórza nad wioską spowijał ciężki płaszcz czarnych chmur, a na drodze utworzyły się już kipiące kałuże.

Choć był dzień, w gospodzie zapadł półmrok jak o zmierzchu, pogrążając kontury sprzętów w jednostajnej przytłumionej szarości.

Hibli zjawiła się z ogarkiem zapalonej świecy i postawiła ją na stole.

– Ej, przybyszu! Postawić ci karty? – Nie czekając nawet na odpowiedź wyjęła z kieszeni talię kart i rzuciła je na stół. – Chcesz poznać bliską czy odległą przyszłość?

– Jedną i drugą – odpowiedział zadowolony. I wskazał na trzy karty. Hibli odwróciła je i przez chwilę przyglądała się im. Potem odwróciła jeszcze dwie, dokładając je do poprzednich. I jeszcze trzy.

– „Nosimy na twarzy oznaki wykonywanego przez nas rzemiosła i symbole naszych panów – powiedział parobek, który przyszedł mu z pomocą, kiedy został ograbiony i rzucony w środku puszczy. – Jak moglibyśmy, w przeciwnym razie, wiedzieć, czy ustępować innym drogi czy nie?"

I rzeczywiście, wokół Gavora odbywał się nieustanny balet, w którym kółka żółte ustępowały przed zielonymi, zielone z respektem przepuszczały czerwone, czerwone zaś...

Nadzieje Gavora, że kupiec Rangar mógłby mu coś wyjaśnić, szybko się rozwiały. Rangar przeniósł się do Kongarabh. A Gavor wyczuł, że za tą zmianą kryło się coś niejasnego.

Sąsiedzi kupca Rangara reagowali nieufnym milczeniem, zmieniali wątek rozmowy, gubili się. Ktoś dał mu w końcu wyraźnie do zrozumienia, by dał sobie spokój i wyniósł się.

– Do czego zmierzasz twoimi pytaniami? Czy wstydzisz się swojej pracy, że musisz ją skrywać za twarzą obmytą jak twarze zmarłych? Ruszaj do Kongarabh i zapytaj Rangara, dlaczego postanowił odejść. Na nas czeka praca, cudzoziemcze. Nie przeszkadzaj więc.

I tak Gavor znów ruszył na północ, w kierunku Kongarabh. Uljana długo nalegała, żeby przyjął choć cztery sztuki srebra i on, acz niechętnie, wsunął w końcu monety do sakiewki, tłumiąc upokorzenie. Mógłby teraz dostać za to konia i podróżować szybciej, ale nabyte doświadczenia powstrzymały go. Pewniej posuwać się pieszo, anonimowo i bez zbytniego rzucania się w oczy, przyłączając się do karawan, czy prosząc o podwiezienie kupców i wieśniaków, przewożących ziarno na siewy. Wolał jak najwięcej przebywać pośród ludzi. Mógł w ten sposób bez narażania się wysłuchiwać rozmów i wieści, przekazywanych sobie na często uczęszczanych traktach, na rynkach i w karczmach niewielkich mijanych wiosek.

Wybuchła wiosna. Rozszalałe wróble muskały się w pośpiesznych, rozedrganych i czułych powietrznych amorach; motyle, które dopiero co opuściły kokony, suszyły się w słońcu i znienacka zrywały się w szalonych i gwałtownych podrygach, ledwo narodzone, niespokojnie poszukując kwiatu, którego potrzebę czuły jeszcze w stanie larwalnym. Trawa roziskrzyła się jasną, niemal bezwstydną zielenią. Zrzucane w zaroślach skóry węży zmieszały błękit łusek z brunatną ziemią. Wszystko żyło niespokojnym pośpiechem, jakby chcąc nadrobić czas stracony zimą.

Jeden tylko Gavor był nieszczęśliwy – pozostawione za nim Uljana i Duna na przemian ustępowały sobie miejsca w dwuznacznym i frenetycznym tańcu, a Gavor, omotany przez obydwie, nie widział drogi wyjścia. Trud, z jakim usiłował odnaleźć znaczenie swego umysłowego chaosu, osłabiał go i pozbawiał chęci działania, izolując całkowicie od niepohamowanej żywotności pory roku.

Czarownica, z jej gorzką wonią magicznych ziół i przenikającym duszę spojrzeniem; Duna o świeżym aromacie siana, jego Duna z czerwonego piasku. Noc i dzień, słońce i księżyc... biały księżyc, i nie był już pewien, czy wciąż posiada moc szukania go.

Pod jego stopami poruszyło się gniazdo młodziutkich węży, które prześlizneły się jak topniejący śnieg. Wysoko w górze wiewiórka upuściła żołądź i zapiszczała wystraszona. Raz jeszcze Gavor wyruszył w drogę.

Minął wioski Foresh, Vidmar i Orgovia, przebył most w Lovken, bagna Voopa, czerwone wzgórza Kemèri i Riumin, rozległą równinę Keres i bory Lundin...

I wreszcie, po miesiącu, dojrzał miasto Kongarabh, rozłożone u stóp wzgórza, z którego schodził. Kongarabh, które jarzyło się tysiącami zapalonych pochodni, tysiącami drgających o zmierzchu ogników, niby ogromna rozogniona odwrócona misa, łagodna, wysadzana kamieniami czasza na tle czerwonego zachodu słońca.

Ale to, co z daleka wyglądało na cudowne miasto, z bliska ukazało całą nędzę gospód, z przykrym zapachem przysmażonej słoniny i kapusty, jak we wszystkich karczmach tego świata. I równie bezładny targ, w który zagłębił się z przeświadczeniem, że wreszcie dowie się czegoś o Rangarze. Bo gdzież indziej, jeśli nie na targu, miałby dopytywać się o kupca?

Wśród dobrze mu znanych ostrych odorów zwierząt, płodów ziemi, skóry i brudnych ciał Gavor zapomniał na chwilę o swoim cierpieniu i dręczących go niepewnościach – księżyc, który ledwo co wynurzył się, był fioletowy na ciemnym wieczornym niebie, taki właśnie, jaki być powinien, a stojąca

– To znaczy, że los utworzony jest z jedwabnych nici? – uśmiechnął się Gavor. – Uważasz mnie za bardziej naiwnego niż jestem w rzeczywistości.

– Tak tylko mówią, mój chłopcze.

Podniosła na Gavora smutne oczy i dodała:

– Ty też znalazłeś się na tym arrasie...

– Ja?

– Tak, ty i biały księżyc, którego z takim uporem szukałeś.

– To ty sprawiłaś, bym o nim zapomniał?! – wykrzyknął Gavor, a głos jego pełen był wyrzutu i podziwu.

Utkwił wzrok w niejasnym jeszcze rysunku tkaniny.

– Jaką tajemnicę skrywa ten arras?

Uljana nie chciała jednak odpowiedzieć. Spoglądała na oszronione drzewa za oknem, powoli odmarzające pod ciepłym południowym wiatrem.

– Zima się skończyła – westchnęła. I Gavor ujrzał, jak pod jej rzęsami zaperliły się dwie łzy.

Czarownica nie pomyliła się. Parę dni później spadł pierwszy deszcz. Ziemia nie była już tak krucha i nie skrzypiała pod nogami, nasiąkała ciemną wodą, tworząc zbite jeszcze błoto.

Kadzielnice były wygaszone: wonne zioła, które czarownica w nich spalała, zioła zapomnienia, rosły tylko zimą, a jedynie świeże zachowywały swą moc.

Gavor początkowo nie zdawał sobie sprawy, że przychodziło opamiętanie, choć później uświadomił sobie, że nastąpiło to wraz ze zmianą pór roku. Niezauważalnie, dzień po dniu, łączył nici przeszłości z teraźniejszością, aż nadszedł świt całkowitego przebudzenia. Tego ranka Uljana uśmiechnęła się do niego, on jednak pozostał odległy.

– Co ci jest? – spytała czarownica. Ale w jej pytaniu pobrzmiewało zmęczenie, gdyż znała odpowiedź i już cierpiała z tego powodu.

– Ja... muszę ruszać. Nie tylko ty byłaś w moim przeznaczeniu.

– Wiem. Zawsze wiedziałam, że nie zdołam długo cię trzymać. Ciągle się łudzimy, że zdążymy wypełnić całą namiętność, ale tak nie jest. A więc ruszaj chłopcze, niedorzecznie drogi mojemu sercu. Ale nie odwracaj się, bo zatrzymam cię na zawsze.

– Ja... muszę odszukać pewnego handlarza, nazywa się Rangar. Słyszałem o nim od pewnej dziewczyny w Samarabh.

– Tak, dokądkolwiek się udasz, gdziekolwiek poniesie cię twoja tułacza dusza, zawsze znajdziesz jakąś kobietę gotową przyjść ci z pomocą. Nie wierzę, że los kobiet polega na pomaganiu zagubionym wędrowcom, ale sprawiło to, tak sądzę, jasne światło, jakim promienieje twoje spojrzenie.

I wyznanie to było słodkie i gorzkie zarazem jak wonny aromat, który zimą wydzielały jej kadzidła.

Gavor przeraził się groźby, jaką wyczuł w jej głosie i zamkniętego smutku jej twarzy, gdyż coś, w głębi, desperacko kazało mu pozostać.

Niemal biegiem opuścił zaczarowany ogród. Drzewa znów przybrały barwy lata, jak tamtego odległego dnia, kiedy tu przybył.

Już na zewnątrz zatrzymał się w niepewności: tak długo przebywał jedynie z Uljaną, że sam czuł się jak okaleczony. Musiał jednak ruszyć dalej. Mapa Obhera, kulejącego siodlarza, któremu żal było ogromnych przemierzonych przestrzeni, wskazywała mu kierunek północny i nazwy miast o tajemniczym i magicznym brzmieniu, miast o nazwach odległych jak sam cel jego wędrówki.

A tamta dziewka z Samarabh opowiedziała mu o kupcu Rangarze, który też mówił o białym księżycu i wzywał imienia Meklùr.

Rangar z Tharab.

Rozdział X

Tharab było zimnym miastem, zamieszkałym przez ludzi o wymalowanych twarzach. Widniały na nich kółka błękitne, żółte, czerwone, brązowe, fioletowe, pomarańczowe, o bogatej gamie odcieni i budziły one iluzoryczny efekt wesołości.

– Jestem młodą i niedoświadczoną wróżką – powiedziała Hibli, wbijając w niego swoje zezowate oko. – Nie widzę zbyt daleko. Ale w twoim przypadku karty mówią jasno. Powiedziałeś, że jedziesz do Samarabh kupić konie. No więc, tego karty nie mówią. Wręcz przeciwnie, karty mówią, że stracisz dwa konie...

– Co mówisz! Podróżuję z jednym koniem, jak mogę stracić dwa!

– Mówię tylko to, co czytam w kartach. Wynika z nich, że stracisz dwa konie, najpierw jednego, potem drugiego. Właśnie tak, najpierw jednego, potem drugiego.

Gavor z wyraźną irytacją uderzył pięścią w otwartą dłoń. – A o bliskiej przyszłości? – zapytał. – Co mówią karty? Hibli ukradkiem rozejrzała się wokół. U jej stóp pies z zadowoleniem merdał ogonem. Ciotka w kuchni wycierała naczynia. Wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Jest jakaś młoda kobieta, brzydka i nieszczęśliwa...

– Mów jaśniej – odezwał się nieufnie Gavor.

– Jest jakaś młoda kobieta, brzydka i nieszczęśliwa, która gorąco cię pożąda. Ale widzę też drugą, nie tak młodą, ale piękną i pewną swego, którą ty już przeczuwasz, choć jeszcze tego sobie nie uświadamiasz. Obie cię usidlą.

Gavor z niedowierzeniem potrząsnął głową:

– Dwa stracone konie i dwie zdobyte kobiety – skomentował rozbawiony. – Niekiedy karty mówią dziwne rzeczy, sprzeczne z rozsądkiem i rozumem.

W tej jednak chwili drzwi otwarły się szeroko i do środka weszło dwóch okutanych w płaszcze mężczyzn, wnosząc bryzgi wody i podmuchy wiatru.

– Daima! Gdzie się ukryłaś, straszna kobieto! – żartobliwie zakrzyknął wyższy z nich.

Słysząc to oberżystka ukazała się w progu kuchni. Delikatny, dwuznaczny uśmiech wykwitł na jej surowej i władczej twarzy. Mężczyzna zdjął ociekający wodą płaszcz i zawiesił u wejścia, po czym, podskakując niczym jakiś błotny ptak, przeniósł się na środek pomieszczenia i schylił w usłużnym ukłonie.

– Daimo! – wyrecytował z uczuciem, przekładając czarny kapelusz z ręki do ręki. – Daimo, nocny aniele, senna zjawo, przyczyno zgryzoty. Mhuma, twój wierny sługa, przybył, żeby złożyć ci hołd, ufny twej życzliwości. – Przykucnął na podłodze i skulił się jak kot, fiknął kozła i niczym akrobata stanął na nogi, kręcąc piruet. – Oto jestem na twoje rozkazy.

– Mhuma – zganiła go oberżystka – wariat z ciebie, jak zawsze. Co tutaj robisz? Czy nie miałeś wyruszyć do Gurabh na jesienny jarmark?

– O nie – tłumaczył mężczyzna, przewrotnie poruszając palcem. – Wiedziałem, że spadną deszcze, czułem to w każdej kości. Rzekłem więc nie, choć raz ci dobrze ludzie z Gurabh będą musieli obejść się bez wędrownego błazna Mhumy, króla wędrownych śpiewaków. Daj pić, Daimo. Dziś wieczór zabawimy się tutaj, w Kusko.

Tymczasem również i jego towarzysz ściągnął z siebie płaszcz i po omacku, przyciskając do boku tablá, zasiadł w kącie, niedaleko Gavora.

Hibli zgarnęła karty i oddaliła się z wyraźną niechęcią, żeby obsłużyć nowych przybyszy. Błazen, pomrukując jak kozioł, popychał oberżystkę do kuchni. Do uszu Gavora dotarła przyciszona rozmowa i stłumione okrzyki. Potem, wyraźnie niezadowolony, a jednak wesoły i rozpromieniony Mhuma powrócił do sali i usiadł obok swego towarzysza.

– Zaczynaj, Nogo – zachęcił go stanowczym głosem. – Kobiety mają kamienne serca, ale śpiew potrafi niekiedy zdziałać cuda.

Porozumiewawczo mrugnął do Gavora i gdy towarzysz wprawnymi palcami sposobił instrument, zaintonował balladę o świtach i zachodach, pocałunkach skradzionych w świetle księżyca, o baśniach i pajęczynach daremnie poszukiwanych snów.

Mhuma śpiewał pięknym barytonowym głosem, a Nogo, jego niewidomy towarzysz, wtórował mu na tablá. Na zewnątrz woda lała się strumieniem, zapadła już całkowita ciemność, a nocne ptaki posępnym pohukiwaniem dawały znać o swojej władczej obecności.

Gavor podszedł do okna, które wychodziło na podwórze i zerknął w stronę stajni.

– O konia możesz być spokojny – zapewniła Hibli. – Napoiłam go, dorzuciłam owsa i założyłam sztabę na wrota od stajni. Możesz być spokojny, nie tutaj go stracisz.

Z kagankiem w ręce zjawiła się oberżystka i ustawiła go na gzymsie nad paleniskiem.

– Zaczynam czuć chłód – zwrócił się do niej Mhuma, kiedy skończył swoją pieśń. – Co byś powiedziała, gdybyśmy tak rozpalili ogień?

Potem zwrócił się do Gavora:

– Daima mówiła mi, że udajesz się do Samarabh po konie. Założę się, że sakwa, jaką masz u boku, pełna jest srebrnych monet...

– Pełno w niej miedziaków – zapewnił z uśmiechem Gavor. – Tyle tylko, żeby zapewnić podróż z postojami pod gołym niebem.

– A konie – pospiesznie indagował wędrowny śpiewak, szarpiąc brodę, okalającą jego twarz. – Czym zapłacisz za konie, chłopcze?

– Konie są już opłacone – odparł Gavor bez zmrużenia oka. – Mam kredyt u tego, kto ma mi je dać.

– Widzę, że masz na wszystko gotową odpowiedź – wymamrotał Mhuma. – Chciałem ci zaproponować partyjkę w kości, ale jeśli masz tylko parę marnych miedziaków, nie ma o czym mówić. Ja gram tylko o duże stawki.

– Nie wierz mu – wtrąciła Hibli. – Mhuma jest biedny jak mysz kościelna, jak wszyscy zresztą wędrowni śpiewacy...

– ... zawsze jednak dość bogaty, żeby postawić dobrej kompanii – dokończył Mhuma, ściągając kapelusz z głowy i ciskając nim o ścianę. Wybuchnął gromkim śmiechem i zaraz zaintonował kolejną piosenkę.

Hibli przyniosła następny dzban wina, potem jeszcze jeden i jeszcze. Gavor, który już odczuwał zdradliwe skutki wina, pił bez umiaru. Jak przez mgłę widział Mhumę, który skakał niczym pajac, potrząsał głową i wymachiwał rękoma, szukając piersi Daimy. W końcu, nie zdoławszy nawet unieść się, śpiewak jarmarczny zwalił się na stół, przewracając kubek.

– Ma już dosyć – powiedziała Daima. – Noc spędzi na stole nieruchomy jak głaz.

– On też się starzeje – westchnął Noga ze źrenicami zawieszonymi w próżni. – Chciałby podbić świat, ale głowa już nie ta. Wino zwala go z nóg i po paru kielichach pozostaje z niego jedynie strzęp człowieka.

– Tym gorzej dla niego – podsumowała Hibli. Zbliżyła się do Gavora i jej dłonie błądziły po jego szyi i pod kamizelą. Daima siedziała po przeciwnej stronie stołu, obok grajka. Lampka powoli przygasała, oliwa prawie się skończyła i jedynie rozpalony ogień rzucał czerwone i fioletowe blaski, a rozedrgane światło zmieniało rysy twarzy, rzucając ulotne i tajemnicze cienie.

Noga zaczął podśpiewywać półgłosem, niby echo instrumentu, a Daima wtórowała melodii, poruszając się coraz bardziej podniecająco i bezwstydnie. Mhuma chrząkał jak wieprzek. Ręce Hibli stawały się coraz bardziej bezczelne i Gavor z rozpłomienioną głową i ciałem naprężonym jak struna zrozumiał, że nie znajdzie w sobie dość siły, żeby umknąć tym pieszczotom: nieznany mu dotychczas demon, potężny i władczy, usidlał go okowami łagodnymi i nie do pokonania.

Po drugiej stronie stołu widział oberżystkę, bliską a zarazem odległą: pochyliła się, by dopełnić jego kubek. Ujrzał wilgotne i czarne oczy, ogromne piersi, które pod chustą wznosiły się niby żarłoczne i dzikie bestie. W tej chwili Gavor zapragnął mieć sto rąk i sto ust, żeby dotknąć i skosztować tajemnicę.

Zębami wpił się w szyję Hibli, objął ją w pół i przyciągnął brutalnie, żądny jej gorączkowego drżenia, ale dłoń Daimy zetknęła się z jego dłonią, którą trzymał na przykrywce dzbana, a jej palce jak ogniste węże przesłały mu posłannictwo pełne gróźb i obietnic.

W jednej chwili Gavor przeraził się, że zostanie pożarty przez tego potwora. Bezwolnie przechylił ostatni kubek wina i nie widział już nic więcej, jedynie roje świetlików pod powiekami.

– Zanieś go na górę.

Zdawało się, jakby głos Daimy dochodził spod sufitu, znad okapu paleniska, spod stołu, z opustoszałej drogi, z podwórza.

– Zanieś go na górę i połóż do łóżka.

Utkwiła wzrok w kamieniach i po długiej chwili gwałtownym ruchem wrzuciła je do kałuży.

– Nie uniosły się nawet najmniejsze bryzgi – pomyślał zdumiony Gavor.

Wyglądało to tak, jakby kamyki zostały wchłonięte przez niezbadane głębiny, bezgłośnie, w wodzie sięgającej ledwo do kostek.

– Spójrz... spójrz w oczy twojemu losowi – powiedziała Uljana. A twarz jej stała się jak burza, ciemna, osamotniona, lodowata niczym północny krajobraz.

– Tylko teraźniejszość jest prawdziwa: przeszłość i przyszłość napisane są na wodzie, choć ludzie o tym nie wiedzą – dodała.

Woda w kałuży powoli zmieniła barwę: na dnie ukazał się promieniejący błękit nieba, niebo w Thune, gorące, wspaniałe i bogate, Ucięte Ucho galopował lekko po zielonych łąkach, na nim siedziała Duna, niewielkie dłonie wczepiła w grzywę, a jej rude włosy falowały, zwiewne jak obłok o zmierzchu, rozjaśniony ostatnim blaskiem słońca.

Nie czas był jednak na nostalgię: woda zmieniła barwę, stała się ciemnym wzburzonym jeziorem. I przesuwały się twarze – przebiegłe, chciwe, wesołe, namiętne, zimne – twarze tych wszystkich, którzy oszukali go, okradli, wyszydzili lub pomogli mu w jego pełnej trudów podróży.

Był tam Botro: śmiał się drwiąco i potrząsał amuletem, a fioletowa plama na jego twarzy jaśniała wyraźnie niczym pięść. Był Andiraq, oświetlony ogniskiem biwaków, i mnich z czerwoną, przekrzywioną czapą, spojrzeniem szaleńca i trupimi palcami. Była również ulicznica o smutnym spojrzeniu, okryta jedynie odblaskami rozpalonego kominka. Ujrzał kupca Slivaha, wędrownego śpiewaka Mhumę, zezowatą Hibli i kruczowłosą Daimę o bujnych piersiach.

A potem woda wzburzyła się i jego oczy napełniła jasna i okrągła światłość: wielki, biały księżyc z macicy perłowej, który przesłonił wszystkie inne obrazy i zapanował nad wszystkim swoją bezwzględną wszechobecnością. Również postać Uljany jakby się unicestwiła i zasuszyła niby umierająca hamadriada, którą ludzie w swoich marzeniach chcą ocalić, nim wykarczują las.

I Gavor zadrżał z trwogą.

– Ujrzałeś twoje przeznaczenie? – zapytała Uljana, podczas gdy kałuża znów przemieniła się w brudną wodę.

– Nie wiem – wyznał wciąż jeszcze oszołomiony – nie wiem, czy przeniknąłem je do samej głębi...

– Jeszcze spróbujemy – wyszeptała czarownica, wyjmując z kałuży dwa kamyki, które ukryła w obszernej kieszeni płaszcza.

Tuż za okalającym ogród murem zawył wilk dziko, jakby kłami właśnie po długim tropieniu zadusił zdobycz.

– Przed nami jeszcze dużo świtów, mamy czas na szukanie przyszłości – cicho odezwała się Uljana – mamy czas, tyle ile potrzeba, choć nie tyle, ile ja bym chciała...

A jej oczy były smutne.

W górze czarne kruki zataczały kręgi wśród nabrzmiałych śniegiem chmur.

*

To był dziwny czas, zaczarowany i Gavor na zawsze zapamiętał paraliżujące zdziwienie – czyż można inaczej pamiętać szaleństwo, kiedy się ulotniło? Gdyż to było szaleństwo.

Istniała wówczas jedynie Uljana. Złożony i wielokształtny świat obracał się tylko wokół niej. Kiedy się śmiała, objawiał się szczęśliwymi dźwiękami, lekkimi i dźwięcznymi wibracjami niczym sznur pereł. Pieszczoty jej subtelnych palców przemieniały wszystko w jaśniejące i żarliwe słońce, które oszałamiało jak wino. A jeśli Uljany przy nim nie było, świat po prostu nie istniał, stawał się pustym nawiasem, szarą nicością, którą jedynie Uljana była w stanie wypełnić.

Pewnego razu Gavor w poszukiwaniu Uljany znalazł się w niewielkim kamiennym pomieszczeniu. Wróżka była pochylona nad arrasem: wyciągała z wielobarwnych motków nici i wplatała je, tworząc ogromny nieskończony rysunek.

– Co robisz? – zapytał zaskoczony Gavor.

– Tkam: czy nie wiesz, że ludzie mówią o nas „te, które tkają losy"?

Rozdział IX

Świtało: w dużym, kamiennym kominku tańczył ogień i podobne, szczęśliwe ogniki błyskały w oczach Uljany. Gavor spoglądał na nią, oniemiały, nie zdając sobie sprawy, co się z nim dzieje.

– Ja... zdaje mi się, że zakochałem się w tobie... – wyszeptał.

– Nie nadawaj nigdy rzeczom imienia – odparła łagodnie. – To tak, jakbyś nadawał im przeznaczenie...

Na zewnątrz wiatr rozpoczynał nowy dzień, żaląc się niby samotny, opuszczony przez stado wilk.

– Nie jestem nawet w stanie przemówić do ciebie – skarżył się Gavor. – Nie potrafię powiedzieć, co czuję.

– Nie mów nic – na ustach Uljany pojawił się cień gorzkiego uśmiechu. – Kierują nami dziwne rytmy, wewnątrz nas samych, nakazują nam one mówić lub milczeć. Kiedy słowa umykają ci, oznacza to, że nadszedł moment pieszczot.

Wiatr też ucichł.

*

Niekiedy Uljana prowadziła go do puszczy, ucząc jak wydobywać spod śniegu delikatne, czerwone korzenie.

Pewnego ranka, w samym środku zimy, kiedy blade słońce nieznacznie muskało śnieg, natknęli się na rudego lisa. Zwierzę miało dziwny, chytry, wydłużony pysk. Ostrożnie zbliżyło się do nich i potarło nos o długie palce czarownicy.

Innym znów razem zebrali maleńkie białe kwiaty, chłodne jak lodowe kryształki i lekkie jak płatki śniegu. I były to pierwsze nieśmiałe oznaki dalekiej jeszcze wiosny.

A potem nadszedł dzień pajęczych nici, delikatnych i chłodnych, które Uljana zerwała z gałęzi, przyozdabiając nimi suknię: wyglądała niczym młoda, delikatna turkawka i miękka, obsypana klejnotami czajka.

Gavor co jakiś czas pytał ją o księżyc, biały księżyc, który powracał w jego snach niczym nięmy wyrzut sumienia. I doprowadził do tego, że uniosła się.

– Chciałam ci ofiarować urokliwy dar, ale jesteś głupi jak wszyscy mężczyźni: korzenie w przeszłości, a głowy w przyszłości. A może naprawdę chcesz poznać swoją przyszłość? Dobrze, zostaniesz sam tej nocy. Sam! Ale nie śpij, bo wszystko okaże się daremne. Jutro o świcie, ledwie wiatr obwieści nowy dzień, masz być w północnym zakątku ogrodu.

*

Była to wyjątkowo długa noc: wielokroć kusiło go, żeby przejść do słodkiego, dobrze znanego pokoju, w którym spała Uljana, ułożyć się obok niej i zagubić w igraszkach. Chciał poczuć ciepły oddech wróżki na swojej twarzy, uchwycić wyraz jej oczu zagubionych w miłosnym uścisku.

W ciemności Gavor zaciskał dłonie, żeby zapanować nad przemożną żądzą zatracenia się, ale postać wróżki, niczym przebłyskujący w ciemności cień, wciąż stała kusząco nad nim. Aż wreszcie drżenie wiatru oznajmiło świt. Gavor zerwał się i wyszedł, zmierzając w kierunku skraju ogrodu.

Uljana już tam czekała, cała w czerni. Zdawała się jeszcze delikatniejsza niż zazwyczaj, wyraźnie odcinająca się od bieli śniegu. Jasne włosy spowijały ją lekką złocistą mgiełką. Poranny wiatr rozdmuchał jej płaszcz, upodabniając go do czarnego żagla.

Czarownica trwała nieruchomo, a jej spojrzenie miało głębię wieków. Nachyliła się nad kałużą: woda odbijała sine niebo, obrysowane delikatną lodową powłoką.

– Patrz więc, Gavorze z Thune, skoro chcesz stanąć twarzą w twarz z twoim losem. Patrz, ale nie drżyj, bo wszystko zniknie w głębokiej mgle.

– Nie drżę – dumnie zapewnił chłopiec.

– Może... – uśmiechnęła się czarownica, a miękki i delikatny grymas jej ust wyraził dużo więcej, niż mogłyby zawrzeć słowa. Podniosła dwa kamienie rzeczne, otoczaki rzucone tam przez kto wie, który potop, i długo obracała je w dłoniach, jakby chciała je ogrzać.

– Nabierają życiodajnego ciepła... – wyjaśniła mgliście.

Wiatr ustał i ogród Uljany spowiła przytłaczająca cisza.

Wspinał się po schodach jak lunatyk, a Hibli wspierała go z całych sił, pchając w odpowiednim kierunku. A potem, już w pokoju, rozciągnięty na łóżku, czuł, że dziewczyna ściąga mu buty i uwalnia od ubrania. W szale namiętności rzucił się na nią i wyładował na jej wątłym ciele żądze, która nim owładnęła.

Nie zdołał jednak zaspokoić napastującego go od wewnątrz demona.

Maleńkie, zmawiające się gnomy, lubieżni stręczyciele, opadły go jak oszalałe. Otoczyła go cała gromada bezwstydnych hamadriad, leśnych nimf, wróżek i czuł ręce Hibli niezmordowane i nieustępliwe jak jego usta.

W końcu, w labiryncie podświadomości, posłyszał głos, którego skrycie oczekiwał, głęboki głos Daimy, a z nim poczuł jej obecność, gorącą i władczą. – Idź stąd – mówiła do Hibli. Ton zdradzał zawziętość i niecierpliwość, ale dla Gavora był słodki jak śpiew skowronków. – Idź, mała czarownico. Dość się nacieszyłaś!

I jak we śnie Gavor poczuł na swojej ogorzałej twarzy aksamit tej koszmarnej i zniewalającej piersi, która wymuszała całkowite oddanie się. Matka rozkoszy, okrutna, despotyczna, niemal go pożerała i wciągała w czeluść bezwzględnej niewoli.

I wtedy to, w jednej chwili, Gavor zrozumiał, że jeśli chce pozostać sobą, jeśli pragnie uniknąć zguby, kryjącej się w odwiecznej magii i w pokusach słodkiego i infantylnego podporządkowania się, musi przeciąć linię tego koszmaru i jak mężczyzna posiąść tę oto kobietę, nim ona jego posiądzie. Dopiero wówczas, po spazmatycznie długim i wściekłym uniesieniu, poczuł, że na zawsze zwyciężył i zmusił do odwrotu syreny dzieciństwa.

Rozdział IV

Przez całe trzy dni Gavor z uporem podążał na północ wzdłuż krętego koryta rzeki Da-Ghur. Pogoda znów mu sprzyjała, ale droga, którą się posuwał, wcale nie była bezpieczna: poprzecinana licznymi rozlewiskami i grząskim mułem.

Na targu w Gromo-Goreb nabył nieco słoniny i suchego bobu, napełnił bukłak winem, po czym wykręcił na wschód, gdyż droga wydała mu się tam bardziej sucha i przejezdna.

Sypiał pod gołym niebem, mimo nocnych chłodów i uciążliwej obecności gryzoni, które szydząc z ognia zbliżały się do jego naprędce uszykowanego legowiska. W chwilach bezsenności powracał myślami do drogi już przebytej, by zagłębić się w mroczne meandry tego, co miało go jeszcze spotkać. Mapy już nie potrzebował: znał ją na pamięć w najdrobniejszych szczegółach, niekiedy miał wręcz wrażenie, jakby kiedyś już widział wioski i miasta zaznaczone na kawałku pergaminu. Pewnego wieczoru rozplątał owinięty wokół amuletu kosmyk czerwonych włosów Duny i wsunął je między załamanie mapy. Następnie sztyletem odgiął parę guzów zdobiących siodło i schował ją między jego podwójnym obiciem.

Za sobą zostawił już bory Kubala, osady Eliskases, Tarrash i Oghi-Bor, trzykrotnie też zmuszony był opłacać myto na drugorzędnych mostkach, drobne oznaki poddaństwa, którym dla spokoju wolał się nie sprzeciwiać. Na rynku w Borodag miał niewielki zatarg z dwoma włóczęgami, którzy pod pretekstem wskazania mu drogi, chcieli wyłudzić od niego obiad. „Strzeż się włóczęgów", pouczał go wuj Obher. Bez wahania wyciągnął sztylet i natręci przy chóralnym śmiechu obecnych natychmiast zniknęli, jak lisy nakryte na kradzieży.

Dotarł wreszcie do Gurabh, miasta złotników, prawdziwego grodu o potężnych murach, wysokich na trzy piętra domach, z warowniami i basztami, z wielobarwnym tłumem przyjezdnych na ulicach.

Ponieważ dwie podkowy wymagały poprawienia, powierzył konia opiece kowala, którego warsztat mieścił się na wąskiej uliczce nie opodal rynku. Choć nikt nie zwracał na niego uwagi, od razu poczuł się jednak obco i nieswojo pieszo pośród tłumu, w prostej kurcie z koziej skóry.

Najwięcej było sklepików złotników. Napotykał je na każdym rogu, niekiedy przy głównych ulicach, ciągnęły się jeden za drugim. W każdym pełno kupców, którzy pochyleni nad szkatułami lub stojący w progu, żeby w świetle dziennym przypatrzeć się łańcuchom i naszyjnikom, spierali się głośno.

Po długim namyśle wszedł do jednego z nich, wybierając możliwie najbardziej odludny. Za kontua-

rem człowiek o zakrzywionym nosie i drapieżnych oczkach dyskutował z otyłym kupcem, odzianym w szkarłatny jedwab, który w uniesionych w górę palcach trzymał pierścień. Spoglądał nań pod światło, kładł do wyściełanej aksamitem szkatułki i znów unosił, by przyjrzeć się dokładniej.

Gavor zwrócił się do czeladnika złotnika, młodzieńca, który bezczynnie siedział w rogu. Zdjął amulet i położył na stole.

– Ile to może być warte?

Czeladnik ledwie rzucił okiem na wisiorek, nawet nie biorąc do ręki, żeby przyjrzeć się z bliska.

– Zajmujemy się tylko złotymi i srebrnymi przedmiotami – powiedział jedynie.

Tymczasem kupiec w szkarłacie, klnąc i wykrzykując jak opętany, zrezygnował z kupna pierścienia i wyszedł ze sklepiku. Złotnik bezszelestnie przesunął się za kontuarem i stanął obok nich. Wziął amulet i wyważył go na otwartej dłoni.

– Ten metal nic nie jest wart – powiedział oschłym tonem. I dodał:

– Rysunek jest ładny, ale napis nieczytelny. Według mnie to jakaś urojona moneta, a może wisiorek wybity przez jakiegoś artystę ogarniętego fanaberyjnym szałem, może pijanego...

– Ale to wyjątkowy przedmiot – zapalił się Gavor. – Ile może być wart?

– Co ma być wart, chłopcze? To tylko podziurawiona moneta.

Gavor zawiedziony schował amulet. Zupełnie nie interesowała go pieniężna wartość amuletu, którego nie zamierzał przecież sprzedawać. Rozdrażniło go jednak, że nie dostrzeżona została wartość symboliczna, jaką wisiorek musiał posiadać, w przeciwnym bowiem razie jego ojciec, czarny jeździec, nie przekazałby go Raklowi i Obherowi.

Kiedy był już na progu i zamierzał wyjść na ulicę, odwrócił się jeszcze i zapytał niepewnym głosem:

– Powiedzcie mi, jakiego koloru jest księżyc?

Złotnik na chwilę zmarszczył brwi. Po chwili gniewnie przeszedł na tył sklepiku.

– Dzisiaj wszystko idzie mi na opak – usłyszał Gavor jego zirytowany głos za kotarą. – Klienci, którzy nie chcą kupować i nieokrzesani prostacy, którzy wciskają mi fałszywe monety, bełkocząc przy tym niezrozumiałe rzeczy...

W innych sklepikach nie poszło mu lepiej. Wszędzie w mętnych spojrzeniach złotników dostrzegał cień ironii lub wręcz nie skrywaną kpinę. Wszyscy potrząsali głowami i odsuwali amulet na drugą stronę kontuaru, jakby był okruchem skalanej materii, lub też jawnie śmiali mu się w nos. Nikt nie słyszał również o białym księżycu, wszyscy szeroko otwierali oczy i zaskoczeni opędzali się jak od natrętnego wariata.

Tymczasem słońce osiągnęło zenit i uliczki zaczęły się wyludniać. Poprzez uchylone okna domów i z oberży dolatywał ponętny aromat przygotowywanych potraw. Gavor wszedł do ostatniego sklepiku i bez przekonania pokazał amulet.

Złotnik sprawdził metal różnymi kwasami, końcem rylca lekko go zarysował, wyczyścił zanurzonym w jakimś płynie gałgankiem, aż amulet zajaśniał niczym słońce. Dwa lub trzy razy stanął w oknie, żeby dokładniej widzieć tajemniczy napis na obrzeżu.

– Chcesz go sprzedać? – odezwał się nagle miękkim głosem.

Gavor przecząco pokręcił głową.

– Chcę wiedzieć tylko, ile jest wart.

Złotnik skrzywił się.

– Wiele może być wart, ale może też nie być wart nic. Jesteś jego prawowitym posiadaczem? Chodzi mi tylko o to, czy go nie ukradłeś?

– Zważaj na swoje słowa, złotniku. Ten amulet zawsze należał do mojej rodziny...

– Zawsze? Mów jaśniej, chłopcze. Powiedz chociaż, od jak dawna twoja rodzina posiada ten wisiorek...

– A ty powiedz, jakiego koloru jest księżyc – odparł Gavor, któremu w sercu zapaliła się już iskierka nadziei. „On coś wie – myślał – a skoro tak, będzie musiał naprowadzić mnie na właściwą drogę".

Złotnik wysunął się zza kontuaru i pośpiesznie zamknął okiennice.

– Chodź – powiedział aksamitnym i przekonywającym głosem. – O tej porze wszyscy mieszkańcy

Może być kapłanem, panem lub sługą, jak ja. Ale kimś być musi. Jak siebie nazywasz, kiedy o sobie myślisz?

– Ja jestem Gavor.

– Jesteś Gavor siodlarz, Gavor kowal czy Gavor drwal?

– Ja jestem Gavor.

Człowiek z kolistymi znakami wolał nie nalegać. Tymczasem wóz opuścił już gęsty las i toczył się rozległą równiną, porosłą niskimi krzewami, tak ciężkimi od śniegu, że z trudem można było odróżnić je wśród bieli okolicy.

Po lewej stronie ukazała się wielka kwadratowa budowla, wyłożona szaroniebieskimi kamieniami. Na dachu sterczały cztery kominy, po jednym na każdym boku i wszystkie mocno dymiły.

– Jesteśmy na miejscu? – zapytał Gavor. Ale jego towarzysz pokręcił przecząco głową.

– Czy to nie jest zamek twojego pana?

– Nie, to dom Uljany, najpotężniejszej w tych stronach czarownicy.

– Czarownicy, powiedziałeś? Wysadź mnie tutaj. Czarownica przepowiedziała, że stracę dwa konie. Może druga czarownica powie, jak je odzyskać...

– Uważaj, cudzoziemcze. Za porady Uljany płacić trzeba brzęczącą monetą. Zbójcy ograbili cię ze wszystkiego, co miałeś. Czym więc zapłacisz?

Gavor wskazał na dach domu:

– Twojej wróżce musi być dosyć zimno, skoro pali w czterech piecach! I z pewnością potrzebuje du... drewna na opał. Nie martw się, przyjacielu. Jestem drwalem i jakoś spłacę dług.

Najpierw była aleja długa na sto kroków, od głównej drogi do przestronnego podjazdu dla wozów. Dalej dróżka prowadząca wprost do furty z ciemnego drewna, zwieńczonej daszkiem wysuniętym ponad opasujący budowlę mur.

Gavor zamierzał już zastukać, kiedy wrota otworzyły się same, powoli.

Tuż za progiem niepokojącą, upojną woń kadzidła roznosił przesunięty nieznacznie w lewo, miedziany ruszt. Wnętrze zaś... wnętrze jawiło się tak cudowne i powabne, że Gavor zatrzymał się niezdecydowany, oszołomiony wyglądem ogrodu: powietrze nie było wcale zimne, słońce płonęło tak intensywnie, że zdało się być tym samym, które świeciło w pełni lata w Thune. Drzewa obsypane liśćmi, krzewy kwiatami, a w bogatym listowiu gnieździły się kosy i sójki.

Kto mógł rozkazywać słońcu i porom roku?

I jakby wezwana jego myślą, stanęła przed nim kobieta. Kobieta o oczach z jasnej wody, jedwabistych włosach, mieniących się jak stare złoto, o skórze świeżej i gładkiej niby z kwiecistych płatków, pomyślał Gavor, w chwili gdy kobieta zagadkowym ruchem ręki musnęła mu czoło.

Oszołomiony Gavor nie był w stanie uczynić nic poza patrzeniem na nią. Ta istota stanowiła wcielenie piękności, piękność doskonałą, która przejmuje zdumieniem i bojaźnią.

Podążył za nią posłusznie, zniewolony dziwnym jarzmem, nad którym nie potrafił, ani nie chciał zapanować, i gdy zagłębiał się w zaczarowany ogród, sceneria stopniowo zmieniała się: aż przeistoczyła się w biel śniegu, naga jak okolice, które zostawił za swoimi plecami – ogołocone drzewa, krzewy bez kwiatów, sztywne i kruche od mrozu.

Kobieta też już nie jaśniała, jej bezbarwną twarz pokryły głębokie cienie, a chmura smutku ściągnęła jej rysy. Ale oczy... jej oczy pozostały niby jeziora, głębokie i nieskończone. Było mu obojętne, że lato rozwiało się, że zniknęły kwiaty i wielobarwne ptactwo i że nie była już tak piękna i promieniejąca. Ona była Uljaną i Gavor pojął, że nigdy nie zapragnie, żeby była kimś innym niż samą sobą.

– Jaki jest kolor księżyca? – zapytał ją, wciąż nieobecny. A może słowa te wcale nie wyszły z jego ust, może wybuchły tylko w ciszy jego myśli.

– Biały – westchnęła wróżka, a przynajmniej jemu zdawało się, że tak usłyszał. – Księżyc jest biały, a twoje oczy są złociste jak odległe gwiazdy na niebie.

*

– Posłużyłaś się swoją magią i rzuciłaś na mnie urok – oskarżył ją później Gavor.

– Jaką byłabym kobietą – roześmiała się Uljana, nieznacznie wzruszając ramionami – gdybym potrzebowała czarów dla omotania mężczyzny?

Ale odważny z ciebie kogut: niech twój gniew podtrzymuje cię na siłach do pierwszej wioski. Nie trać czasu, bo noc cię zaskoczy bez ognia.

★

Przepowiednia Hibli, młodej czarowniy z Kusko Ghoreb, spełniła się. „Stracisz dwa konie – wywróżyła z kart – najpierw jednego, potem drugiego".

– Przeklęta czarownica! – zaklął. – I co mam teraz robić?

Rozejrzał się z przestrachem. Zawrócić do obozu Andiraqa było już niemożliwe. Jedynym wyjściem było posuwać się pieszo do przodu. Wcześniej czy później musi spotkać kogoś, kto przyjdzie mu z pomocą. A zresztą rabuś napomknął o pobliskiej wiosce.

Dwie godziny później, sztywny z zimna i ze zmęczenia, Gavor zrozumiał, że nie ujdzie już daleko. Okrutny mróz przenikał go na wskroś i odbierał resztkę sił. Otępiały, osunął się u stóp dużego świerku i już zaczął go usidlać niebezpieczny sen, gdy nagle odległe rżenie konia poderwało go na nogi. Wkrótce słyszał już stłumiony odgłos nadciągającego po zaśnieżonej drodze wozu.

Gavor ujrzał parę fhomerów zaprzężonych do wozu z ładunkiem zboża, a na koźle mocno opatulonego, otyłego woźnicę.

– Stój! – krzyknął, stając na środku drogi i unosząc do góry ręce.

Woźnica ściągnął lejce i pomimo tuszy zwinnie zeskoczył z wozu.

– Pieszo w taką zadymkę! Co ci się stało? Może się zgubiłeś?

– Jestem tu obcy – wyjaśnił Gavor słabym głosem. – Podążałem do Tharab, ale napadli mnie zbójcy i uprowadzili konia z wszystkim, co miałem...

– Jesteś siny niczym trup – zauważył woźnica. Wyjął spod futra buteleczkę likworu i podał mu. – Do Tharab jest daleko, przez noc nie dojechałbyś nawet konno.

– Czy nie ma gdzieś w pobliżu wioski, bym mógł spędzić noc?

– Pewnie, że jest! Ale to szmat drogi. Nie znając tych stron, na dodatek tak osłabiony, nigdy byś tam nie dotarł. Ja nie mogę cię podwieźć, muszę być w zamku, nim zmrok zapadnie: nie mam zamiaru narazić się na gniew mojego pana – powiedział i palcem dotknął obu policzków.

Dopiero wtedy Gavor spostrzegł dwa niewielkie kółka, zielone i czerwone, wymalowane na twarzy woźnicy. Również czapraki koni znaczyły dwa podobne, nieco jednak większe insygnia.

– Wskakuj na wóz – powiedział mężczyzna. – Znajdę jakiś sposób, żeby cię umieścić w zamkowych stajniach, o ile oczywiście zapewnisz, że będziesz siedział cicho, nie rzucając się zbytnio w oczy. Rozumiesz? Nie jestem panem, jestem tylko parobkiem.

Gavor łyknął jeszcze likworu. Oddał buteleczkę i wlazł na wóz.

Tymczasem znów zaczął sypać gęsty śnieg. Dwa fhomery jak oszalałe ciągnęły wóz, nieczułe na zawieruchę, która wstrząsała lasem i całą okolicą.

– Dlaczego chodzisz z wymalowaną twarzą? – zapytał Gavor.

– Zieleń i czerwień to barwy naszego pana, zna go i drży przed nim cała prowincja – odparł woźnica. – Pod płaszczem insygnia nie byłyby widoczne, ale na twarzy tak. I wszyscy ustępują mi drogi bez mrugnięcia okiem, nawet zbójcy. Moje znaki są pewniejsze od zbrojnej eskorty.

– Rozumiem – wymamrotał Gavor. I zamilkł, otulony w swoje futro z glisnas. Po pewnym czasie człowiek ze znakami na twarzy podjął rozmowę.

– Przybywasz z daleka? Masz cerę ciemną jak ludzie południa...

– Tak, w moich stronach jest ciepło, prawie zawsze świeci słońce...

– Co robisz w twojej wiosce?

– Ja? – Gavor uśmiechnął się. – Nie wiem.

– Czyżbyś był panem, skoro nic nie musisz robić?

– Nie, nie. Mogę ci rzec, że człowiek, który mnie wychował niczym ojciec jest kowalem, człowiek, którego najbardziej szanuję, jest siodlarzem, a ja przez pewien czas robiłem jedno i drugie, nim zostałem drwalem.

– Co za zamieszanie. Jak możesz żyć, skoro nie wiesz nawet, kim jesteś! Człowiek jest tym, co robi.

Gurabh siedzą za stołem. Przyjmiesz moje zaproszenie? Nazywam się Merek. Moja córka jak zwykle przygotowała doskonały posiłek.

To mówiąc otworzył tylne drzwi i lekko pchnął go do środka. Stół był już zastawiony i dziewczyna o ponurym spojrzeniu, z włosami uplecionymi w warkocze, siedziała wyczekująco w kącie.

– Za chwilę będzie gotowy – zapewnił złotnik. – To moja córka Hulma.

– Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie – odezwał się Gavor z cieniem podejrzliwości. I powtórzył: – Jakiego koloru jest księżyc?

Złotnik Merek uśmiechnął się dziwnie i rozłożył ręce.

– Sam nie potrafię ci odpowiedzieć. Ale tutaj w Gurabh jest ktoś, kto mógłby odpowiedzieć ci bez trudu.

Zwrócił się do dziewczyny:

– Idź po Orlika, powiedz mu, żeby natychmiast tutaj przybył. A my tymczasem napijemy się.

Na twarzy dziewczyny zarysowało się zdziwienie, ale Gavor nie pojął dlaczego. Merek zniknął za progiem kuchni i dał znak dziewczynie, żeby poszła za nim.

Gavor posłyszał najpierw niewyraźną rozmowę, ale szybko słuch jego zaczął wyłapywać sens zdań. Tamtych dwoje nie sądziło, że jego słuch, wyostrzony jak u dzikiego zwierzęcia, zdolny jest wychwycić nawet oddech motyli.

– Leć do świątyni – szeptał złotnik – i przekaż kapłanowi, że w naszym domu znajduje się heretyk, jakiś przybysz mówiący dziwne rzeczy. Powiedz mu, żeby zjawił się z dwoma krzepkimi strażnikami i żeby przyniósł nagrodę należną za donos.

Chętnie poczekałby na powrót tego człowieka, żeby wypić z nim i rozbić kielich na jego szczęce, ale bardziej stosowne wydało mu się zniknąć jak najszybciej. Wyskoczył z pokoju, ogromnymi susami przemknął przez sklepik i całym impetem wpadł na drzwi wychodzące na ulicę, wyważając je. I biegł, biegł, ile tchu, jakby uciekał przed stadem wilków, przebiegł wszystkie ulice Gurabh, zaułki, placyki, mroczne zakamarki gubiące się pośród ogrodów i podwórek, aż znalazł się na obrzeżu miasta, pod jego murami.

Dopiero tam przystanął, żeby nabrać oddechu na kopcu żwiru. Zrozumiał, że popełnił dużą nieostrożność. Nie powinien był nigdy, ale to nigdy obnosić się ze swoim amuletem i pytać naiwnie o kolor księżyca. To najpewniejszy sposób, żeby ściągnąć na siebie biedę i pozwolić się zaaresztować przez straż jakiegoś panicza lub wpaść w ręce kapłanów. „Od tej chwili będę ostrożniejszy – pomyślał. – Muszę mniej mówić, a więcej słuchać". Z drugiej jednak strony, w taki czy inny sposób musiał się zdradzić, gdyby bowiem stał wciąż na uboczu, jego poszukiwania nie przyniosłyby rezultatów.

Jakiś bezpański pies obwąchał mu nogi i zaczął rozgrzebywać ziemię w pobliżu. Tak długo szukał, aż udało mu się odkopać kość.

Gavor przyglądał się, jak pies, skomląc, oddalał się z kością w pysku i naraz poczuł, że i jego pusty brzuch domaga się swojej racji.

Od poprzedniego wieczoru nic nie miał w ustach i jego żołądek miał wszelkie prawo się buntować. Powoli, rozglądając się podejrzliwie, powrócił do miasta, wybierając mało uczęszczane uliczki, a przede wszystkim zważając, żeby nie znaleźć się w środku miasta, w pobliżu sklepiku Mereka. „Jeśli tylko będzie to możliwe, trzymaj się z daleka od wszelkich gospód – pouczał go wuj Obher. – To miejsce, gdzie możesz stracić pieniądze, a zyskać pchły i wszy". Miał już jednak dosyć byle jak gotowanego bobu i zjełczałej słoniny. Czuł przeraźliwy głód i choć raz chciał pozwolić sobie na obfity i smaczny posiłek, przy stole, na którym znalazłby się dzban dobrego wina.

Słowem, znalazł się w oberży „Pod Srebrnym Motylem". W izbie było tłoczno i goście posilali się i popijali wśród ogólnego zgiełku i radosnych wybuchów śmiechu. Cierpliwie odczekał, aż zwolni się miejsce przy stole, a kiedy już udało mu się usiąść i poczuł smak zupy z kapusty i pieczeni, do gospody wkroczyło trzech uzbrojonych strażników z czerwonymi kokardami zawiązanymi wokół jelców mieczy. Żołnierze, z pewnością wyżsi rangą, natychmiast zażądali miejsc i przypadkiem, a może nie, od razu go zaczepili, może dlatego, że jego wiejski ubiór, kurta z prostej koziej skóry, zbyt odbiegał od strojów miejskich.

– Czujesz ten kozi odór? – odezwał się jeden z nich. Gavor jednak milczał i nawet nie podniósł oczu znad miski. – Co tutaj robi ten chłopek? – wykrzyknął drugi. Gavor milczał nadal, coraz bardziej pochylony, jakby mówili o kimś innym. Aż trzeci dobył miecza i zamachnął się tak zręcznie, że wywrócił jego miskę, rozpryskując wokół zawartość.

Rozwścieczony Gavor błyskawicznie sięgnął po sztylet. Nie zdołał go jednak dobyć – młodziutka oberżystka, która go obsłużyła, sprytnie potknęła się i przewróciła na niego, wyraźnie zamierzając go powstrzymać.

Gavor strząsnął ją z siebie, uniósł stół i rzucił nim wprost na żołnierzy. Część gości wstała i pośpieszyła zapobiec bitce. Oberżystka wykorzystała chwilowe zamieszanie, pchnęła Gavora w kierunku kuchni i dalej, korytarzem na dwór, na wewnętrzny dziedziniec, gdzie znajdowała się szopa na siano i stajnie.

– Głupiec – powiedziała dziewczyna, ciągnąc go za stertę siana. – Ukryj się tu i nie ruszaj, dopóki nie wrócę i nie powiem, że droga jest już wolna.

Później, kiedy zapanowała już cisza i podśpiewywanie podchmielonych, oddalających się gości, dziewczyna wróciła z czerwoną różą wpiętą we włosy.

Sama rozwiązała gorset, spoglądając przy tym na niego spod lekko opuszczonych powiek. Jej ruchy były szybkie i zdecydowane, nie było w nich cienia wahania.

Gavor wziął ją na stercie siana, lecz już bez poprzedniej furii, delikatnie i z niezręczną czułością chłopca przy pierwszych miłosnych uściskach. W milczeniu.

A potem, w ciszy, legł obok niej, z oczami utkwionymi w ciemnych i koślawych belkach przepastnej szopy.

– Powiedz – odezwał się w końcu, jakby posłuszny tajemniczemu wezwaniu. – Powiedz, jakiego koloru jest księżyc?

W odpowiedzi usłyszał rozbawiony chichot:

– Co ty wygadujesz? Co ma księżyc do miłości?

I poczuł jej dłonie, muskające jego czoło i włosy. Wówczas przymknął oczy i poddał się senności jak dziecko.

Rozdział V

Im bardziej posuwał się na północ, tym bardziej strzeliste stawały się dachy domów, okna węższe, a uliczki w miasteczkach coraz bardziej kręte, skuteczniej chroniące od podmuchów wiatru. Lecz ani zmieniający się krajobraz, ani odmienna karnacja dziewcząt, ani ich dziwnie skrojone szaty z ciężkiego płótna w niczym nie zapowiadały zaskoczenia, jakiego doznał po ujrzeniu Samarabh, miejsca całkowicie odmiennego od wszystkiego, co dotychczas widział.

Konia zostawił w ogromnej stajni u bram miasta.

– Dobrze się z nim obchodź – powiedział do chłopca stajennego, rzucając mu monetę. – Daj mu dużo owsa i solidną porcję jęczmienia.

I skierował się do środka miasta.

Niezwykle wysokie były domy w Samarabh – nachodziły na siebie niemal bezwstydnie. Uliczki tworzyły ponure korytarze, ciemne i splątane, z murami tak wyniosłymi, że ledwie dostrzec można było niebo koloru brudnego mleka, a raczej jego złudne, romboidalne przebłyski, gdzieś w górze. Choć słońce jeszcze nie zaszło, na murach płonęły już dymiące pochodnie i w tym niepewnym świetle twarze przechodniów wydawały się mocno zmienione, zniekształcone i dzikie. Przy wejściach do sklepików po stopniach spływały wyraźne, lodowe języki, i Thune, Thune z jego łagodnym i gościnnym klimatem wydawało się odległe jak wspomnienie dzieciństwa.

Od czasu do czasu rozbłyskiwało światło, odzywał się ostrzegawczy głos i nagle wysunięta ręka wylewała zawartość iskrzącej się miedzią misy. Gavor już parokrotnie musiał błyskawicznie uskakiwać, unikając tych niespodziewanych pryszniców.

Mężczyźni i kobiety mieli oczy wąskie jak okna domostw i wyraz twarzy lodowaty jak bruk ulic: lecz jakieś tajemnicze podobieństwo w rysach twarzy Rakla, Obhera, Hedriny sprawiało, że nie czuł się cał-

żeby nie dążyć za wszelką cenę do zachowania tego, co posiedli. Trzymaj się od nich z daleka, Gavor, pamiętaj.

Już nie raz Gavor starał się znaleźć sposobną okazję, żeby zamienić z drwalem parę słów. I oto nadarzyła się sposobność właśnie w chwili, gdy zamierzał wyruszyć w dalszą drogę.

– Tobie mogę zaufać – odezwał się ściszając głos. – Czy słyszałeś kiedyś o białym księżycu?

Andiraq wzdrygnął się:

– Ejże, chłopcze! Obiły mi się o uszy te dziwne rzeczy. Ale słyszałem też, że niebezpiecznie o tym mówić. Iduór, ze swoim białym księżycem, wzniecił ogień wielkiej nadziei, ale nie nastał jeszcze odpowiedni czas...

– Iduór?

– Tak, Iduór heretyk. Nie chcę jednak o tym mówić, chłopcze. Zresztą to jedynie zasłyszane gdzieniegdzie pogłoski. A poza tym... za dużo tutaj kapłanów. Ruszaj, skoro musisz, nie stawiaj mi więcej pytań... i bądź zdrów.

★

Porywy wiatru wzniecały białe wiry śniegu. Wkrótce jednak zapadł spokój, i znów jedynie o świcie i zachodzie wiatr huczał szaleńczo, omiatając zimowy krajobraz. Nadchodził regularnie, zapowiedziany przeciągłym zawodzeniem, i takie samo zawodzenie zwiastowało rychłe jego ustanie, zapewniając, że przez cały dzień lub noc nic więcej nie poruszy białych całunów nagromadzonych wzdłuż dróg.

Gavor, na niewielkim koniu o długiej sierści, którego dał mu Andiraq, już pół dnia podążał głównym traktem, prowadzącym do Tharab, gdy nagle wydarzyło się coś dziwnego: parę śniegowych zasp poruszyło się i kiedy przecierał oczy, sądząc, że źle widzi, spod stert śniegu wychyliło się kilku mężczyzn.

Jeden z nich, z dużą fioletową plamą na twarzy, przyłożył do gardła Gavora coś na kształt piki i śmiejąc się zażądał pieniędzy.

– Ale ja nic nie mam – wykrzyknął Gavor.

– Wszyscy tak mówią – zaśmiał się napastnik, drażniąc go piką – ale szybko zmieniają śpiewkę. Już słyszę pobrzękiwanie srebra i przyprawia mnie to o dreszcz radości.

– Mam ledwie parę monet, tyle, żeby starczyło na dwa dni drogi...

– Już lepiej, jeszcze przed chwilą nie miałeś nic, teraz doliczyłeś się paru monet, niech ci się jeszcze rozmnożą, a dogadamy się.

Pół godziny później rabuś nie był już taki dowcipny. Gavor stał całkowicie rozebrany, a jego ubranie zostało dokładnie obszukane, kieszenie wywrócone, buty skrupulatnie przejrzane, ale ilość monet nie zwiększyła się.

Rzezimieszek z fioletowym znamieniem na twarzy, najwidoczniej herszt bandy, rzucił na zsiniałego z zimna Gavora pogardliwe spojrzenie.

– Zwróćcie mu jego łachmany – rozkazał – bo będziemy mieli trupa na drodze!

Wówczas to spostrzegł amulet i zerwał go z szyi Gavora.

– Ta błyskotka nie jest brzydka, choć to nie złoto. Przyda mi się jako towar na wymianę z damami.

I ponownie rozbrzmiał jego śmiech:

– Nie najgorszej jesteś postury, chłopcze, ale bibeloty zostaw dla dziewcząt! To cacko dam jakiejś opornej dzieweczce, może skruszy jej niechęć.

Gavor z wściekłością ubrał się i wciągnął buty.

– A to? – powiedział, narzucając na ramiona futro z glishas. – Dlaczego nie bierzecie futra?

– My tylko kradniemy i rabujemy – poważnie odpowiedział napastnik – nikogo nie mordujemy, jeśli nie jest to konieczne. Bez futra zamarzłbyś na śmierć jeszcze przed zmrokiem, ja, Botro, ci to mówię.

I oddalił się ciągnąc za sobą konia Gavora, a z nim cała banda.

– Popełniłeś błąd, żeś ujawnił swoje imię! – krzyknął za nim Gavor, rzucając głupie a szaleńcze wyzwanie. – Sprawię, że zawiśniesz!

Botro roześmiał się:

– Drzewo, na którym zawisnę, jeszcze nie wypuściło korzeni, chłopcze, i nie ty będziesz moim katem.

– Coś chyba pamiętam... – wybełkotał żołnierz, któremu niezręcznie było przyznać, że nigdy o nim nie słyszał.

– Stał się panem Górnym Terytoriów.

– I co z tego?

– To z tego, że był ledwie bękartem dowódcy straży. Panowie nie są panami w imię praw boskich. Żołnierz zerknął pośpiesznie na śpiących mnichów i pielgrzymów.

– Co wygadujesz, przyjacielu? To heretyckie brednie! Nie poznaję cię...

– Niebezpiecznie jest myśleć – gorzko wyznał Andiraq. – Dochodzi się do rzeczy, których nie jest się w stanie wykazać.

Żołnierz oddalił się od ognia i okrył się swoim płaszczem. Po chwili jednak jakby przemyślał wszystko, podniósł się i zbliżył do Andiraqa.

– Nie znam cię – wyrzekł. – Ale twoje opowieści są interesujące.

Nad polaną Wilczych Dołów zaległa cisza, ale słowa Andiraqa, zwłaszcza zaś wzmianka o księżycu, kłębiły się w głowie Gavora, jakby przenikliwy mróz zmroził zawieszone w powietrzu słowa tak, żeby się nie rozpuściły.

Kolejny dzień pracy: z twarzą i dłońmi czerwonymi od mrozu, źrenicami, które wyzierały przez niewielką szparkę osłony przed wiatrem. I znów wieczór, zapalone ognie, kręcący się mnisi, którzy zdecydowali zatrzymać się jeszcze parę dni dla nabrania sił. Tak przynajmniej mówili, w rzeczywistości zaś wydawało się, że jeden z nich, wychudzony kapłan w wysokim purpurowym kapturze i o spojrzeniu szaleńca, sprawia im jakieś kłopoty.

– Nie zwracaj na nich uwagi – szeptem przestrzegał Gavora Andiraq. – Jakby nic się nie działo: lepiej nie mieszać się do sporów mnichów, źle można na tym wyjść.

A jednak Gavor nie raz już poczuł na sobie podejrzliwe spojrzenia kapłanów, kłujące niczym sztylety. Wieczorem, kiedy pochylony podsycał ogień, zawieszony na rzemieniu wokół szyi amulet wysunął się spoza koszuli: wysoka postać nawiedzonego mnicha pochyliła się w jego kierunku, a kościsty palec wskazał na amulet. Jego oczy płonęły rozgorączkowanym obłędem, a usta zacisnęły się w niemym warczeniu oszalałego zwierzęcia.

Gavorem wstrząsnął dreszcz bojaźni. Schował amulet za koszulę. Zrozumiał, że nadszedł czas, żeby odejść. Może i inni zdążyli już zauważyć jego piętno: Gavor nie czuł się pewnie. Obher siodlarz, Obher mędrzec nakazał mu roztropność: „Jeździec, który powierzył cię nam, był śmiertelnie ranny, jego koń wycieńczony, nawet płótno, którym cię okryto, było zbroczone krwią – powiedział mu. – Nie oczekuj sławy ani łatwych zwycięstw, bądź podejrzliwy, ostrożny, szczwany niczym ścigany przez sforę psów lis".

A więc dobrze, jeżeli psy przywdziały czerwone kaptury, nadszedł moment, żeby zgubiły jego trop.

Rozdział VIII

Lodowaty wiatr przewiewał śnieg. Wilki oddaliły się i, rozgrzane oddechami i własną sierścią, zbiły się i usnęły po długiej nocy, spędzonej na szaleńczych gonitwach za złudnymi i podniecającymi zapachami łupu.

Drwale popijali świeżo udojone mleko łani, a mnisi i pielgrzymi wciąż mruczeli, nawet przez sen, modlitwy i zaklęcia, głosami zduszonymi przez ostatnie przed przebudzeniem złudzenia nocne.

– Odchodzę – obwieścił Gavor Andiraqowi. – Jeśli możesz, daj mi należną zapłatę, zamierzam znów skierować się na północ. O ile możesz, daj mi też konia.

Andiraq zmarszczył na chwilę czoło. Po czym wzruszył ramionami.

– Jak chcesz, przyjacielu.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, wierz mi, wyciągnąłeś do mnie pomocną dłoń, kiedy byłem sam i w kłopotach. Ale mam ważkie powody, by odjechać... – Gavor czuł się niepewnie na myśl, że musi opuścić jedynych towarzyszy, jacy go nie oszukali.

– Nie przejmuj się, chłopcze. Ruszaj za twoim losem, ale nie ufaj możnym. Mają za dużo do stracenia,

kiem obco. W jego domu nie mówiło się nigdy o Samarabh, ale pewnego razu Gavor zastał matkę Hedrinę płaczącą. Jej twarz, zwykle jakby rzeźbiona w drewnie, zdawała się zdruzgotana – łkając wyrażała całą swoją nostalgię za wysokimi, krytymi miedzią dachami Samarabh.

Tak, dachy domów wysyłały miedziane odblaski. Już z daleka, zbliżając się do miasta, zauważył dziwne zielonkawe połyski, jakby przetopionego ręką alchemika złota. A okna, teraz dopiero to spostrzegł, były z jakiejś dziwnej materii, podobnej do rtęci zwierciadeł, lub do wody w stawie, gdy zimą ścina się w lód.

Młodzieniec szedł naprzód powolnym krokiem, z zaciekawieniem obserwując dziwy, jakie roztaczało przed nim to miasto. Szybko zorientował się, że niemal wszystkie uliczki prowadziły ku jednemu miejscu i po krótkim marszu znalazł się na rozległym placu, który od niepamiętnych czasów musiał być sercem Samarabh. Miasto, od początku swego istnienia będące ośrodkiem kupiectwa, rozbudowało się wokół rynku ciągiem ciężkich budowli, niskich i bardzo starych, które kontrastowały z pionowym rytmem późniejszych konstrukcji.

Ślepe arkady rynku, z kamiennymi przyporami i łukami, z masywnymi, pozbawionymi otworów sklepieniami, otoczone były pierścieniem nieczystości, rowem, który gromadził napływające z wnętrza ścieki i wyrzucał je nie wiadomo gdzie, może do jakiegoś mrocznego, podziemnego jeziora.

Drewniany most prowadził do jedynego widocznego wejścia: brama była nieustannie otwierana i zamykana, a stłoczone grupy ludzi wchodziły i wychodziły, co rusz wzbijając dźwięczne fale głosów, wrzawy, pokrzykiwań.

Kiedy znalazł się już wewnątrz, na moment zamknął oczy z wrażenia: rynek był tak nieprawdopodobnie rozległy, że z trudem tylko udało mu się dostrzec jego skraj. Po prawej stronie wierzgały małe kosmate konie, zwane fhomerami: niezwykle wytrwałe, doskonale znoszące trudy oblodzonych traktów i zaśnieżonych pól. Tuż obok kozy i nieustannie pobekujące owce, już ostrzyżone i nieświadome faktu, że ich runo, zwinięte w szorstkie, ogromne kłęby, złożone było u ich stóp. Nieco dalej porykiwały brązowe krowy o zakrzywionych rogach, byki marzące o orzeźwiającej wodzie, klacze. Człowiek mający nad nimi pieczę od czasu do czasu polewał je wodą, po to być może, żeby utrzymać je w spokoju, a unosząca się z ich grzbietów para skrywała tę część rynku w szarawej mgiełce.

Były tam wieprzki w białe i czarne łaty, z szorstką szczeciną dzików, psy myśliwskie, chude i wygięte jak sierpy, nieskończone ilości kur, aż Gavor zastanawiał się, czy ktokolwiek zdoła ich tyle zjeść, sokoły z nałożonymi kapturami, cicho siedzące na drążkach: tylko po szponach nerwowo szarpiących drewno można było poznać, że nie są wypchane. I żywność, tkaniny, worki podróżne, lecznicze zioła, suszące się w wonnych pękach, bogato zdobione siodła, wysokie baczmagi, płaszcze z sukna, narzuty tkane słonecznymi barwami; i lśniące klejnoty z osadzonymi prostymi kamieniami, sztylety, kobierce i futra z nieznanych mu skór.

Kiedy zdołał oderwać wzrok od tej obfitości dobra, zauważył drewniany podest wzniesiony w centralnym punkcie, na ustawionym tam drewnianym, pokrytym malowidłami tronie siedział dziwaczny osobnik z pękiem piór na głowie. Po jego bokach znajdowały się dwie duże, gliniane misy i każdy, kto coś kupił lub sprzedał, wrzucał do nich parę monet.

U stóp człowieka siedzącego na tronie znajdował się związany chłopiec, w pozie, która zdawała się tworzyć groteskową parodię. Dwie długie strużki krwi spływały po jego ramionach do podobnych lecz mniejszych naczyń ustawionych obok tronu. W jego głowie tkwiły cztery cienkie strzały zakończone piórami: wetknięte pod skórę tworzyły ozdobę głowy podobną do tej, jaką miał człowiek siedzący ponad nim. I każdy, kto wrzucał monety do mis, pogardliwie spluwał w twarz chłopca, którym za każdym razem wstrząsał bolesny dreszcz.

Absurdalna nieludzkość tej sceny miała w sobie coś nierzeczywistego. Gavor nie był nadmiernie wrażliwy, ale ten widok przyprawił go o mdłości.

– Co uczynił ten chłopiec? – zapytał człowieka, który właśnie przypieczętował udany interes należnym plunięciem w twarz.

– Ukradł – odparł zapytany.

– Cóż wielkiego mógł ukraść, żeby zasłużyć sobie na takie potraktowanie? – pytał dalej Gavor.

– Nie wiem, może bochen chleba – powiedział mężczyzna, wzruszając ramionami.

– Chleb? I za jeden chleb... – zaczął Gavor z rosnącym oburzeniem. Ale człowiek nie słuchał go dalej i skierował się ze swoim towarem w stronę wyjścia.

Ktoś nieśmiało ciągnął go za rękaw. Spuścił wzrok i ujrzał zgarbioną staruszkę i łzy na jej pomarszczonej twarzy.

– Co ci jest, babciu? – zapytał uprzejmie.

– Chciałam uprzedzić cię, byś milczał – cicho odezwała się staruszka. – Lepiej nie krytykuj głośno wymiaru sprawiedliwości.

Dodała jeszcze:

– Dziękuję ci, że zatrzymałeś się koło mojego wnuka, choć nic już nie można dla niego zrobić. Możemy jedynie prosić bogów, żeby szybko przestał cierpieć.

Rzeczywiście, rany chłopca były głębokie, a niewielkie miseczki prawie pełne krwi. Zwiesił głowę i nie reagował nawet na spluwania przechodniów.

– Niewiele zostało mu życia – wymamrotała jeszcze staruszka, a jej suchymi ramionami wstrząsało mimowolne łkanie.

Wtedy to chłopiec zamknął oczy. Chyba stracił już zmysły, a jedyną oznaką życia był lekki i płytki oddech, który unosił wychudłe żebra. Po chwili dał się słyszeć krótki świszczący szmer, dziwnie przypominający kwilenie, i ustał także oddech.

– Śmierć była dla niego litościwa – zamruczała staruszka i zdawało się, że rozpaczliwie szuka pocieszenia w tej jednej myśli. – Życie nie byłoby dla niego łaskawe, nawet lepiej, że tak się stało.

Gavor oderwał wzrok od ciała chłopca, chciał coś odpowiedzieć, ale słowa protestu zamarły mu na ustach: staruszka odeszła po cichu, a na jej miejscu wyrósł żołdak i z groźną miną zapytał:

– Jeśli nie dobiłeś swojego interesu, chłopcze, dlaczego tkwisz tutaj, przed symbolami targu?

– Jestem przybyszem – odparł Gavor. – Nie wiedziałem, że zakazane jest przyglądanie się.

– Teraz już wiesz – zakończył żołnierz, gładząc rękojeść miecza.

Gavor oddalił się powoli. Ale jego wyobraźnia niewiarygodnie wyolbrzymiła scenę, zapamiętując obraz chłopca konającego z opuszczoną głową i odwrotny wymiar tej sceny: obraz żywego człowieka siedzącego na tronie. Także i miseczki napełnione krwią były zwierciadlanym odbiciem mis ze złota.

Noc była wietrzna i zimna, pluła mu w twarz niewielkimi zlodowaciałymi ziarnami, jakby niosącymi śmierć ziarnami jesiennego śniegu.

★

– Co robisz? Ślepy jesteś? – huknął na niego niewysoki człowieczek, nieco tylko wyższy od karła, którego niemal rozdeptał w półmroku uliczki.

– Wybacz – próbował tłumaczyć się Gavor. – Nie zauważyłem cię.

Od razu zdał sobie sprawę, że podał najmniej odpowiednie usprawiedliwienie. W rzeczy samej, niski człowiek przyjął słowa Gavora jako obelżywą aluzję do jego wzrostu, wpadł w szał i zaczął wyrzucać z siebie potok niezrozumiałych słów, z pewnością złowróżbnych. Po chwili wyciągnął z przepastnego płaszcza garść proszku i sypnął nim w zatkniętą w pobliżu zapaloną pochodnię.

Płomień pochodni buchnął z przeraźliwym sykiem i strzelił prosto na Gavora. Gavor cofnął się wystraszony i zdało mu się, że lada moment spłonie żywcem.

Z uśmieszkiem zadowolenia człowieczek obserwował scenę, wygodnie wsparty o mur, z rękoma znów zagłębionymi w kieszeniach płaszcza.

– Nie chciałem cię urazić – wymamrotał Gavor, starając się odzyskać spokój. – Naprawdę cię nie widziałem, przez ten wiatr łzy nabiegają mi do oczu...

– Za to teraz myślę, że źrenice masz całkiem suche – chichotał człowieczek – i zauważasz już ulice tego miasta, a zwłaszcza jego mieszkańców.

– Na wiarę, żwawo musiałem się ulotnić: wypatroszyłem syna jakiegoś mnicha – i zerknął ukradkiem w stronę czerwonych czap, ale wszyscy spali.

– Widzisz więc, że nie sami wybieramy nasz los – odparł Andiraq.

– Każdy szyje na własną miarę – skomentował żołnierz.

– To nieprawda – Andiraq opuścił pięść na kolano, by podkreślić moc własnej argumentacji. – Kiedy się rodzimy, czerwoni, krzycząc, z otwartymi ustami z trudem łapiącymi powietrze, wszyscy jesteśmy równi. Później dopiero stajemy się różni. Szczeniak z pańskiego domu może jeść i spać, a szczeniak hołoty cierpi głód i zimno. Wiedziemy ciężkie życie, żołnierzu, kto jednak raczy wiedzieć, jakie ono by było, gdyby dane nam było myśleć i decydować...

– Powiem ci, jakie by było – ile potrzebowałeś czasu na wyuczenie się sztuki ścinania drzew?

– Ze dwóch lat, jak sądzę.

– A ile myślisz, że potrzebowałbyś, żeby nauczyć się sztuki myślenia? Nie powiesz mi chyba, że byłbyś zdolny uczynić to za dwa lata?

– Dlaczego nie?

– Bo z owczej wełny nie zrobisz świątecznych szat! – triumfalnie oznajmił żołnierz. – Mogę dobrze dołożyć, każdemu stawię czoła, ale kiedy na drodze staje mi wielki pan, omijam go z daleka. Wiem, że oni są niezwyciężeni.

– Zawsze mają pełne żołądki – oschle powiedział drwal. – Z pełnym żołądkiem łatwiej walczyć.

– Niby tak... – najemnik wyglądał na zaskoczonego. – To prawda, łatwo nabierają krzepy...

– A pełny brzuch to szczęście również dla rozumu – nie ustępował Andiraq. – Na czczo w głowie się kręci i kręci, jest ona niczym pusty pęcherz. Czy mógłbyś myśleć pustym pęcherzem, hę?

– W każdym razie to nie zajęcie dla byle kogo. Według mnie tylko panowie to potrafią.

– Ale nie przez przywilej urodzenia – Andiraq nie dawał za wygraną. – Posłuchaj, opowiem ci historię, jaka wydarzyła się naprawdę – czy pamiętasz Durkala z Tumby, ślepca, który dowodził strażami zjednoczonych księstw?

– Kto by go nie pamiętał! Kiedyś walczyłem nawet pod jego rozkazami – dumnie oświadczył najemnik.

Andiraq uśmiechnął się.

– Nie wyglądasz na tak starego – wasza żołnierska duma potrafi być niekiedy zdradliwa...

– Co chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że Durkal z Tumby był dowódcą straży księstw północnych, a księstwa owe rozpadły się z górą trzydzieści lat temu.

– Mogłem się pomylić – na wszelki wypadek zgodził się żołnierz. – Zdążyłem być już prawie wszędzie, rozumiesz?

– No tak. W każdym razie Durkal więcej miał bękartów niż kapusty w ogrodzie. Jednego spłodził z wcieloną diablicą, jedną z tych, którym nigdy nic nie leży i od rana do nocy mogą mleć językiem, byle tylko krwi napsuć. A więc bękarcina początkowo nie wychylał nosa spod skrzydeł matki. Lecz kiedyś spostrzegł, że wyrasta na mężczyznę i sika już dalej od niej. I zaczął pokazywać, co potrafi, choć mleko jeszcze miał pod wąsem, rozumiesz, ale uparty jak chłop...

– A matka?

– Och, matka trąbiła jak zwykle, ale nie dawała już rady go powstrzymać. Potrzebne by były żelazne wodze, a jej zrobione były tylko ze słów: powietrze, wiatr, dym, które nic zdziałać nie są w stanie.

– Więc bękart wiedział, że jest wilczym szczeniakiem?

– Wie, wie – jego matka zadbała o to, by się dowiedział. Żołdacki bękarcie, wydziera się, źle skończysz, jak twój ojciec!

– Nie pamiętam dobrze. Ojciec skończył źle? – zapytał przejęty opowieścią najemnik.

– Tak, zawisnął głową w dół nad ogniskiem przygodnych zbójów. Zresztą kapłani też by go zamordowali: rozpowiadał dziwne rzeczy w ostatnich latach życia... jakby postradał rozum, coś o kolorze księżyca. Znaleziono go zwęglonego po same ramiona. Ale mały bękart chełpił się tym – niewielu przecież tak skończyło. I postanowił pokazać całemu światu, co jest wart. Czy wiesz, kim był później?

Gavor, wciąż nieswój, zbliżył się do ognia. Z otwartymi ze zdziwienia ustami spoglądał na długi rożen, na którym powoli obracał się rząd śniegowych zajęcy. Mężczyzna uśmiechnął się:

– Nazywam się Andiraq i jestem tu głównym drwalem. Najęto nas, byśmy wycięli tyle drzew, ile tylko możliwe i na bogów, jesteśmy skorzy wyciąć całą tę część puszczy. Masz dobre mięśnie – jeżeli chcesz, możesz do nas dołączyć. Przyjmiemy każdą parę ramion.

Rozdział VII

Przez te długie dni Gavor nieustannie odnosił wrażenie, jakby sam dla siebie był obcy. Czuł, że pod wieloma względami się zmienił, także zewnętrznie. Niepewność, przygnębienie, ciężka praca w lesie i północny klimat przemieniły tego rosłego, wiejskiego chłopca w wychudłego i skrytego wilka lasu.

Chudy i suchy, z posępnym cieniem w oczach, pracował do nikogo się nie zbliżając. Znalazł się zresztą wśród ludzi, którzy za dnia myśleli jedynie o ściąganiu coraz większych stosów drzewa. Lecz wieczorem, kiedy kości dawały już znać o zmęczeniu, jakie nagromadziło się przez cały dzień, zdarzało się, że drwale opowiadali dawno minione historie lub też przechwalali się tym, co zrobią z zapłatą.

Często w pobliżu ognia zatrzymywały się na nocleg karawany kupców lub pielgrzymów, zmierzających na zachód, w stronę Bhakry, miasta sanktuariów, lub też w inne święte miejsca ukryte pośród gór.

Gavor z nikim nie rozmawiał: cały rodzaj ludzki budził w nim nieufność. Łapczywie jednak słuchał leniwych opowieści podróżników, a oddech jego zamieniał się w parę w mroźnym powietrzu i zespalał z ulotnym dymem ognisk.

Niekiedy nad ogniem przelatywały zaniepokojne światłem zimowe sowy o rozłożystych gigantycznych skrzydłach i śnieżnobiałych piórach. Później długo jeszcze rozbrzmiewało ich nawoływanie, a wraz z nim odległe wycie wilków i krótkie poszczekiwanie lisów.

I były to jedyne odgłosy nocy: zmęczone głosy ludzi i nawoływania zgłodniałych zwierząt.

Ale zdarzyło się, że noc rozbrzmiała niby wydrążony brzuch góry – najpierw odezwał się wiatr i wył gorzko i głucho aż do zmierzchu, smagając śniegiem i krusząc z suchym dzwonieniem zwieszone z gałęzi lodowe sople. Potem przyszła kolej na zwierzęta – rżały niespokojnie i stawały dęba, chcąc zerwać postronki i tłukąc się nawzajem kopytami po zadach. Aż w końcu zjawiła się jakaś spóźniona karawana, tupot, głosy i nawoływania zbudziły nawet tych, którzy zapadli już w głęboki sen.

Byli to kapłani i pielgrzymi. Gavora zaskoczyła okazałość scenerii: wysokie, czerwone czapy kapłanów, rzucające błyski wśród czerni nocy, śnieżne płaszcze z glishas, pobłyskujące w ogniu różowymi odblaskami śniegu, wiatr unoszący barwne czapraki, konie, które spłoszone widokiem ognia cofały się z powrotem do zawianej drogi, pogrążając się z jeźdźcami aż po brzuchy w świeżych zaspach. A zwłaszcza twarze ludzi, z piętnem zmęczenia i tajemnicy nocy.

Nieco później prowadzący ich najemny żołnierz przysiadł przy ogniu obok Andiraqa, który ze smutkiem w oczach wpatrywał się w języki ognia. Żołnierz dorzucił parę polan, podsycając ogień...

– Wszyscy czynimy jedną rzecz w miejsce innej – tajemniczo wymamrotał Andiraq, podczas gdy pielgrzymi naciągali płaszcze na głowy, żeby nie słyszeć nocnych rozmów tych, którzy jeszcze czuwali. Jedynie Gavor słuchał.

– Co chcesz powiedzieć? – zapytał żołnierz.

– Gdybyś mógł wybierać, zaprawdę wybrałbyś życie najemnika?

Żołnierz zmarszczył czoło:

– Cóż to za zwyczaj – zamruczał – odpowiadać pytaniem na pytanie.

– Chcę rzec – wyjaśnił drwal – że nikt z nas nie wybiera własnego życia: ja czynię to, co wcześniej czynił mój ojciec. Mógłbym co najwyżej być tym, kim był wuj mojej matki. Ty zaś jesteś najemnikiem, bo prawdopodobnie był nim twój ojciec. Lub też w jakiejś bójce zabiłeś kogoś od ciebie większego i potrzebowałeś schronienia...

Żołnierz zaśmiał się rad.

Ogień iskrzył się coraz bliżej, Gavor czuł się już otoczony jasnością, ale zdumiewająco nie czuł żaru.

– Także w mojej wiosce starucha z lasu posiada magiczny proszek – powiedział Gavor, nabierając odwagi – ale ona barwi na niebiesko urojone płomyki.

– Hm, zależy od tego, co stosuje – odpowiedział udobruchany człowieczek. – Jeśli dodaje rozdrobnione koszenile i pyłki herbalony, być może osiąga lepszy efekt barwny.

Gavor uśmiechnął się z ulgą: miał więc rację, nie były to prawdziwe ogniki, i rzeczywiście wyraźnie już znikały.

– Następnym razem bądź jednak uważny – poradził rozmówca. Co powiedziawszy, skłonił się błazeńsko i pobiegł w swoją stronę, kołysząc się niczym kaczka. Gavor parę chwil stał bez ruchu, nasłuchując skrzekliwego pokrzykiwania karła, który szybko znikał w ciemności.

Zdawało mu się, że pozostał zupełnie sam na tej ponurej uliczce. Lecz mała dłoń, zimna i sucha, wsunęła się w jego i jakiś chłopiec pociągnął go w kierunku wylotu ulicy. Gavor, rozdrażniony, położył drugą rękę na rękojeści sztyletu.

– Zostaw twojego ostrego braciszka – rezolutnie uśmiechnął się chłopiec. Jego twarz była wydłużona niczym u łasiczki, oczy wąskie, przymknięte niemal chytrze.

– Proponuję ci interes – na milę widać, że jesteś wiejskim szczurem, nieświadomym tysiąca miejskich pułapek. Ale jesteś podwójnie szczęśliwym szczurem. Właśnie tak, najpierw natykasz się na najbardziej zadziornego czarnoksiężnika z Samarabh, którego jednak dziś wieczór trzymają się żarty; a teraz spotykasz mnie, Mufara, prawdziwego dobroczyńcę bliźnich. Chodź, mam coś w sam raz dla ciebie.

– Czym się zajmujesz? – zapytał zaciekawiony Gavor. – A przede wszystkim za ile?

– Zajmuję się wszystkim – z dumą odpowiedział chłopiec. – A jeśli chodzi o cenę, ustalam ją na końcu. Zapłacisz tylko wtedy, jeśli uważać będziesz, że jesteś zadowolony.

– Uczciwie stawiasz sprawę – przyznał Gavor i przez chwilę pomyślał, że chłopiec mógł zostać wysłany przez tajemniczych ludzi, których poszukiwał, ludzi, którzy przypisywali księżycowi ten niezrozumiały dlań kolor.

Szli w milczeniu zagłębiając się w coraz ciemniejszych i węższych uliczkach. Wreszcie chłopiec zastukał do czegoś w rodzaju osadzonej w kamieniu bramy.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli całe było wyłożone kosztownymi obiciami. Płonący na kominku ogień podtrzymywał przyjemne ciepło. Duża, gorąca dziewczyna, rozłożona nie opodal na ogromnych, haftowanych poduchach, uśmiechała się kusząco.

– Gdzie ja jestem? – zapytał Gavor, którego zaskoczył przepych tego miejsca.

– Znajdujesz się w domu rozkoszy – odparła dziewczyna urzekającym głosem – w domu, gdzie pięknie jest pomarzyć przy gorącym winie i miodzie.

Tymczasem chłopiec przesłał dziewczynie porozumiewawcze spojrzenie i zniknął, zamykając drzwi wejściowe. Gavor stał pośrodku pokoju, rozglądając się niezdecydowanie. Nie, na miłość nie miał ochoty i z miejsca to oświadczył, jasno i bez niedomówień.

– Czego w takim razie ode mnie chcesz?

– Chcę tylko pomówić.

Przyjął jednak podane przez dziewczynę wino. Ponieważ czuł się też śmiertelnie zmęczony, usunął się na podłogę i wsparł o kolumienkę kominka.

– Chcę tylko porozmawiać. – powtórzył.

– Chcesz się spowiadać? – z ironią zapytała dziewczyna. – Może chcesz opowiedzieć mi o twoich nieszczęściach, albo zawodach miłosnych? Skoro tak, to uprzedzam cię, że będzie cię to kosztować podwójnie.

Gavor uniósł ramiona, nie zważając na uwagi dziewczyny. Ściągnął kurtę z koziej skóry i położył ją przy ogniu, żeby się wysuszyła, opróżnił jeszcze jeden kielich i zatapiając swoje spojrzenie w oczach kobiety, rzekł:

– Powiedz, jakiego koloru jest księżyc?

– Księżyc? Chyba jesteś pomylony! Widzę, że Mufar słabo się dziś spisał: przyprowadził mi wariata, ale jutro się z nim policzę...

– Powiedz, jakiego koloru jest księżyc – niemal błagalnie nalegał Gavor.
– Niech będzie – pogodziła się dziewczyna. – Księżyc ma taki kolor, jaki tylko chcesz, tutaj u mnie. Ale ale, dlaczego ty mi nie powiesz, jaki ma kolor?
– Nie, to ty musisz mi odpowiedzieć.
– A jeśli powiem ci kolor, który ci się nie spodoba?
– Też zapłacę.
Kobieta uniosła się z poduch, cała się prostując.
– Dość już tych głupich żartów.
Zbliżyła się powoli do niego, po czym szybkim ruchem zrzuciła z siebie delikatną koszulę. Blask ognia rzucał na jej nagie ciało żółte i fioletowe refleksy.
– Jesteś piękna – westchnął Gavor, skulony u stóp kominka. Uniósł otwarte dłonie na wysokość jej piersi, potem, bez słowa, zatopił twarz w jej gładkim brzuchu, gładkim niby wnętrze muszli.

*

Przetarł oczy w świetle poranka, który wdzierał się do pokoju przez jedyne okno, wnosząc różowy blask. Czuł jakby głowa jego napełniona była sokiem z oskoły i ściśnięta upiorną obręczą. Sprawiło to wino, które pił bez umiaru, a także jego brak powściągliwości, gdyż raz jeszcze nie zdołał zapanować nad sobą.
Dziewczyna spała jeszcze, z lekko rozchylonymi ustami, a jej bujne piersi unosiły się rytmicznie, nieznacznie tylko skryte pod cieniutką koszulką. Była z nim bardzo łagodna, nie poskąpiła mu wyszukanej czułości i, kto wie, może nawet nie udawała żarliwego uniesienia miłosnego. Ale była też powściągliwa: odpowiedzią na jego uporczywe pytania były długie westchnienia i dwuznaczne uśmiechy.
W głowie Gavora, choć wciąż czuł otępiały zamęt, pojawił się nagle błysk nadziei. A gdyby tak spróbować dowiedzieć się od niej czegoś teraz, gdy wciąż była pogrążona we śnie, niezdolna do przebudzenia się.
Zaczął delikatnie ją gładzić wzdłuż szyi i czubków piersi. I pytał:
– Powiedz, czy księżyc jest biały?
Kobieta poruszyła się we śnie, mrucząc jakieś strzępy słów. Ponieważ jednak on nie ustępował, ocknęła się i szeroko otworzyła oczy.
– Co ci przychodzi do głowy – wymamrotała ochrypłym głosem – i czego jeszcze ode mnie chcesz za twoje parę marnych monet?
– Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że księżyc może być biały – oskarżył ją Gavor, siadając na łóżku. – Tylko dlatego zostałem.
– Nie przypominam sobie... wczoraj wieczorem? Ale jeśli szukałeś księżyca, to muszę powiedzieć, że trochę za nisko go szukałeś. Podobasz mi się jednak... – uśmiechnęła się i zmierzwiła mu dłonią włosy. – Podobasz mi się, nawet z tą twoją manią. Przypominasz mi kogoś... pewnego kupca. On też mówił o białym księżycu i potwarzał jakieś imię... dziwne imię... nie był stąd. Był pijany i w końcu zniszczył mi wszystkie sprzęty, ale za wszystko zapłacił, o tak, drogo go to kosztowało, zapłacił do ostatniego solda. Ty zaś łamiesz serca...
– Jakie imię powtarzał ów kupiec? – ponaglał Gavor. – Proszę cię, spróbuj sobie przypomnieć.
– Imię... Kupiec nazywał się... Rangar: tak właśnie, był u mnie jeden tylko raz. A mieszkał w Tharab. Ale jakie imię wymówił... nie potrafię sobie przypomnieć.
– Może Meklûr?
– Tak! – wykrzyknęła. I spojrzała na niego podejrzliwie.
– A ty, czy jesteś czarnoksiężnikiem, który czyta w zagubionych wspomnieniach?
– O nie, zapewniam cię. Ale dziękuję ci za wszystko – głupkowato wyjąkał Gavor.
– Tylko mi nie dziękuj. Niech lepiej usłyszę, jak dźwięczą twoje pieniądze, a nasze rachunki będą wówczas wyrównane. I zapomnij o mojej czczej gadaninie o chłopcach łamiących serca; mam jedynie długi i rachunki do spłacenia i zawsze pustą kiesę.

Wówczas Slivah zdjął z wozu dwa stare futra i rozłożył je na ziemi, w miejscu, w którym zdawało się, że rozłożysty świerk zapewni najlepsze schronienie. Potem podał Gavorowi emaliowaną ampułkę:
– Łyknij, to kordiał z ziół, rozgrzeje cię na całą noc.
Gavor dwoma łykami opróżnił zawartość ampułki.
– Co czynisz? Wypiłeś do dna? – złorzeczył Slivah. – To ostatnia, jaką miałem! Przez twoją łapczywość muszę pozostać o suchej gębie, pozbawiłeś mnie mojej codziennej porcji ziół.
Gavor roześmiał się.
– Wystarczyło mi powiedzieć, zostawiłbym ci połowę – opuścił futrzane nauszniki i ułożył się przy ogniu. Opatulony ciepłym futrem z glishas zapadł natychmiast w głęboki sen.

*

Zbudził go oślepiający blask, który wciskał się pod powieki. Poraziły go ostre promienie słońca przebłyskujące przez gęste odgałęzienia świerku, roziskrzone tysiącem lodowych kryształów.
Usiadł, rozsuwając poły futra, potoczył wokół osłupiałym wzrokiem, lecz nie ujrzał ani Slivaha, ani wozu, pary fhomerów i Uciętego Ucha.
Zorientował się zrozpaczony, że zabrany mu też został zwój srebrnych monet, jakie ukrył w podwójnym pasie: zbyt nierozważnie wystawił je na baczne spojrzenie kupca, kiedy płacił za futro. Ale największą stratą był koń: Ucięte Ucho stanowił jego jedyną więź z przeszłością, był mu przyjacielem, który przypominał o słonecznych stawach, o delikatnych dłoniach Duny, zatopionych w jego gęstej grzywie, o gonitwach za końmi po zielonych łąkach. Nie mówiąc o siedmiu złotych monetach ukrytych w siodle.
Krążył wokół świerku rozkopując śnieg, ogarnięty ślepą i niepohamowaną złością.
– Przeklęty Slivah – wykrzykiwał – żebyś tak spadł z wozu i skręcił sobie kark!
I przypomniał sobie Hibli, młodą czarownicę z Kusko-Ghoreb, która w tarokowych kartach przepowiedziała stratę konia.
– Przeklęta i Hibi, zezowata suka!
Ślady, jakie zostawił wóz, były zawiane. Gavor nie był w stanie zorientować się, czy kupiec oddalił się na północ, czy w przeciwnym kierunku.
Głowa mu ciążyła, a w gardle i w nosie czuł jeszcze aromat dzikich ziół kordiału, który wypił wieczorem. Środek nasenny, pomyślał. Środek nasenny, który ten wieprz Slivah we mnie wmusił, żeby mnie spokojnie okraść i oddalić się, pewien, że żaden hałas mnie nie zbudzi.
Kto zresztą wie, czy kupiec rzeczywiście zwał się Slivah. Rozpacz i złorzeczenie niczemu zresztą nie mogły służyć. Musiał znaleźć jakiś sposób na wydostanie się z tej puszczy, choćby pieszo. Miał i tak szczęście, że nie zostało mu odebrane futro z glishas.
Szybkim krokiem ruszył wzdłuż zaśnieżonego traktu. Nie minęło nawet pół godziny, gdy dogoniła go grupa jeźdźców, szczelnie okrytych futrami. Chciał prosić o pomoc, ale twarze ich były posępne i niewzruszone, i błaganie zamarło mu na ustach.
– Czegoś ci potrzeba? – zapytał jeden z nich, wzrokiem ogarniając sytuację. W miejscu osadził konia, wzbijając tuman śnieżnych kryształków i przyglądał mu się pytająco.
Gavor z trudem wybełkotał parę słów, próbując wyjaśnić, skąd wziął się tutaj. Człowiek na koniu wysłuchał go bez słowa.
– Wskakuj za mną, przyjacielu. Pieszo nie przetrwasz na tej śnieżnej pustyni.
– Dokąd zmierzacie? – zapytał Gavor zręcznie wskakując na wierzchowca.
– Do wyrębu Wilczych Dołów – odparł jeździec. – Jesteśmy drwalami.
Fhomer, czując dodatkowy ciężar, z trudem trzymał się grupy. Droga nie była jednak długa. Po lewej stronie ukazało się wkrótce rozległe karczowisko. Gavor ujrzał liczne sterty drzewa, wsparte na drewnianych balach zadaszenie, służące za schronienie dla zwierząt i miejsce na obrok, parę rozstawionych wkoło namiotów, pośrodku zaś ogromny ogień podsycany bez umiaru, ogień, będący przywilejem wyłącznie ludzi lasu.
– To Wilcze Doły – powiedział człowiek, który zabrał go na drodze. – Usiądź przy ogniu, przyjacielu, i posil się z nami.

– Idę spać – krótko uciął Gavor.

– Czyżbyś był kurą? – zażartował kupiec ze sztucznym dąsem na twarzy. – Posłuchaj mnie: wypijmy razem miarkę najlepszego wina, a kiedy służące uprzątną kuchnie, pokażemy, co potrafimy. Upatrzyłem dwie w sam raz dla nas: młode i jędrne... i chętne, jak nakazuje obyczaj tej gospody.

Gavor udał, że ziewa.

– Już dwa miesiące jestem w drodze, jestem zmęczony. Ruszam spać. Zrobiłbyś dobrze, idąc w moje ślady, skoro mamy zamiar wyruszyć o świcie.

Kiedy wspinał się po schodach wiodących na piętro, doszedł go głos Slivaha:

– Idź, idź, kurczaku. Godzinka przyjemności z pewnością nie pozbawi mnie sił.

Gavor ściągnął buty i kaftan i wsunął się do łóżka. W ciemności izby widział gęsto padający śnieg. Białe świetliste płatki zlewały się z rojem niewielkich czerwonych i błękitnych bryłek, które to zjawiały się, to znikały na przemian, wirując niby wysysająca czucie karuzela. I widział też kobietę, młodą i piękną, z długimi rozpuszczonymi włosami, która wirowała bezszelestnie jak śnieg wokół sterty szarych kamieni, w lesie pod Samarabh. Daremnie wytężał wzrok, chcąc dostrzec jej rysy, bezskutecznie ją ścigał. I kiedy zdawało się, że lada moment duch jego matki wychyli się z mroku, pokona przepastną odległość i odkryje przed nim kolor oczu, profil twarzy i zarys ust... gwałtowne szarpnięcie przywróciło mu zmysły.

Szeroko otworzył oczy, rozczarowany: w bladym blasku jutrzenki ujrzał Slivaha, który przynaglał go, gotowy do drogi.

– Obudź się, chłopcze. Pogoda nie wydaje się zła, jest lekka mgiełka, a to oznacza, że wkrótce ujrzymy słońce.

Szlak był zaśnieżony, ale wóz wartko posuwał się naprzód. Także i dlatego, że Gavor zaprzągł Ucięte Ucho przed dwoma fhomerami. Mgła, wbrew przewidywaniom Slivaha, nie ustępowała: niekiedy przebłyskiwał niepewnie krążek słońca, natychmiast jednak skrywał się za kłębami sinej mgły.

– Źle zrobiłeś wczoraj wieczorem – mówił Slivah. – Wziąłeś przykład z kur, a nie z koguta, tak jak ja. Nie wyobrażasz sobie, jakich zażyłem rozkoszy...

I na cały ranek kupiec zagłębił się w szczegółowe roztrząsania niewieścich wdzięków, jakich nie poskąpiła mu dziewka.

Kiedy około południa mgła rozwiała się, ujrzeli szkliste niebo, gdzieniegdzie usłane ciemnymi plamami sięgającymi ziemi. I po pewnym czasie spadły krople deszczu. Slivah zatarł ręce.

– Deszcz oczyści drogi – mówił zadowolony. Ale już wkrótce, razem z deszczem pojawiły się płatki śniegu, początkowo rzadkie i ciężkie, później gęste i sypkie.

– Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy zmuszeni zatrzymać się – ze zniechęceniem westchnął Slivah. – Szkoda! Liczyłem, że dotrzemy do Agu-Dialma, choćby nocą.

– Agu-Dialma?

– Tak, to niewielka osada w pobliżu Wilczych Borów.

– Na drodze do Tharab?

– Pewnie! Co cię gnębi?

Trakt stawał się nieprzejezdny. Coraz częściej zmuszeni byli schodzić z wozu, żeby posługując się dwoma krótkimi a solidnymi łopatami, o których Slivah nigdy nie zapominał, wyruszając na swoje zimowe wyprawy – uwolnić koła, uwięzione w lodowych kleszczach.

– Dość tego – wykrzyknął kupiec, odrzucając daleko w śnieg swój kaptur z glishas. – Jestem cały mokry od potu. Przeciągnijmy wóz na pobocze, pod tamte świerki. Urządzimy tu sobie nocleg. I prośmy wiatr z południa, by lód na drodze stajał.

Pod wozem podwieszona była skrzynia z sianem. – Ja obrządzę konie – powiedział Slivah – a ty zetnij parę gałęzi, z dołu pnia, tam gdzie są suche, i rozpal ogień. Masz jakieś zapasy?

– Mam suszone mięso – odparł Gavor – ale obawiam się, że zamieniło się w niejadalną papkę.

– A ja mam słoninę szeroką na dłoń i bukłak wina, którego wczoraj skosztowałeś. Przed odjazdem zadbałem o prowiant...

Zapadł już zmrok i świerki stanowiły wystarczające schronienie. Posilili się przypieczoną słoniną, dorzucili do ognia i pogrążyli się w rozmowie, dopóki w bukłaku nie pokazało się dno.

Gavor wstał, zaczął grzebać w kieszeniach swojej kurty i cały czas powtarzał w duchu: „Rangar z Tharab, nie mogę zapomnieć tego nazwiska".

Rzucił na łóżko garść monet i ubrał się, już bez słowa.

W progu obrócił się jeszcze. Kobieta zbierała monety. Gavor zauważył, że jej czerwone usta były wykrzywione jak u dziewczynki, gdy zbiera jej się na płacz.

Rozdział VI

– Kiedy przybędziesz do Samarabh – powiedział mu wuj Obher – każ się prowadzić do Wieży Południka. Tam właśnie był nasz dom, na rozwidleniu dróg do Tharab i Bhakry, miasta świątyń. Tam też przyszedłeś na świat, w borach, które rozciągają się za północną bramą.

Gavor nie musiał nawet pytać: Wieża Południka, choć wzniesiona za murami, górowała nad wszystkimi budowlami i ukazywała się każdemu, kto opuszczał miasto, żeby skierować się na północ. Wokół wznosiły się nieliczne, rozsiane domostwa, szare w bladym świetle chłodnego i mglistego poranka.

Jakiś człowiek pchał drogą załadowany kapustą wózek. Gavor zapytał go czy pamięta, w którym domu mieszkał kowal Raklo.

– W tym – bez cienia wątpliwości odpowiedział człowiek. I głową wskazał na niską kwadratową budowlę z walącym się dachem i rozbitymi okiennicami. Oparł wózek i dodał:

– Teraz mieszkają tu biedacy, ale kiedy przed dwudziestu laty mieli tutaj swój warsztat Raklo i Obher, dom ten cieszył się dużym szacunkiem. A ty kim jesteś?

– Dalekim krewnym. Jestem tu przejazdem i chciałem zaspokoić ciekawość...

Przez chwilę mężczyzna spoglądał na niego przymrużonymi oczami, niezbyt przekonany.

– Krewny? Więc wiesz zapewne, dokąd przenieśli się Raklo i Obher! My od dawna nic już o nich nie wiemy.

– Wiem tyle, co i wy – zapewnił Gavor, rozkładając ręce. – Wiele mnie to też nie obchodzi, jestem bardzo dalekim krewnym.

Szerokim gestem pozdrowił rozmówcę i spiął konia, zagłębiając się pierwszą lepszą ścieżką w las.

Cały ranek kręcił się wśród wiekowych drzew, stawów i polan, oczarowany delikatnym urokiem, jaki otaczał to miejsce, choć nie było w nim nic tajemniczego – gdzieś tutaj przecież się urodził i świadomość ta sprawiała, że czuł odmienność i wyjątkowość tego boru.

Czując w głowie zamęt, zamierzał spocząć na kopcu kamieni pod ogromnym dębem, kiedy głos za jego plecami poderwał go na nogi:

– Gdybym była tobą, nie czyniłabym tego, cudzoziemcze!

Gavor odwrócił się gwałtownie i ledwie parę kroków od siebie ujrzał staruszkę, która nie wiedzieć skąd się tam wzięła. Odziana w szare jak popiół łachmany, podeszła do niego, zgięta pod ciężarem ogromnej wiązki chrustu.

– Czego byś nie robiła, babciu?

Staruszka zatrzymała się i złożyła swój ciężar przed nim na pokrytym szronem poszyciu leśnym.

– To jest grób czarownicy – powiedziała, wskazując kościstą ręką stertę kamieni. – I tu właśnie chcesz siadać? Ściągnąłbyś na siebie sto lat nieszczęść.

Gavor wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Czarownica, powiedziałaś. Kiedy ją pochowano?

Starucha zamyśliła się.

– Niech się zastanowię, pamięć mam nie taką jak dawniej... Będzie może ze dwadzieścia lat, raczej więcej niż mniej.

– Znałaś ją?

– O nie – pośpieszyła zapewnić starucha. – Nie była stąd, nikt nie wie, skąd przybyła... Pewnego ranka, dwadzieścia lat temu, znaleźliśmy ją pod tym dębem, zmarła z upływu krwi. Wydała na świat dziecko, rozumiesz? Sama.

– A dziecko? – zapytał Gavor. – Ono też jest tutaj pochowane?

Staruszka zaprzeczyła ledwo dostrzegalnym ruchem palca. – Po dziecku nie pozostał najmniejszy ślad. Może rozszarpały je wilki, albo dziki. Ale dość, cudzoziemcze. Ruszam do domu ogrzać się...

Gavor wrzucił wiązkę chrustu na grzbiet Uciętego Ucha.

– Odprowadzę cię – rzekł – wskazuj drogę.

Ruszył ścieżką w ślad za staruchą i już po paru minutach wynurzyli się z lasu i Gavor poznał Wieżę Południka.

– Jestem na miejscu – wesoło powiedziała starucha. I wskazała schludny i świeżo wybielony domek, niewiele większy od kurnika. – Dziękuję ci, cudzoziemcze.

– Jeszcze jedno pytanie – rozpoczął Gavor, który milczał przez całą drogę. – Ta kobieta, pochowana w środku lasu... Powiedziałaś, że była czarownicą. Skąd to wiesz? Czy miała jakieś szczególne znaki?

– Nic z tych rzeczy. To była młoda i piękna kobieta, z długimi włosami, a rysy jej twarzy były proste...

– Dlaczego więc mówisz, że była czarownicą?

– Tak powiedzieli kapłani parę dni później. Przybyli tu z daleka, żeby ją odnaleźć. To czarownica, powiedzieli. I trzy dni palili trawy wokół grobu i powtarzali jakieś zaklęcia.

– Dziękuję ci, babciu – powiedział Gavor, śląc jej pozdrowienie. – Opowiedziałaś mi ciekawą historię.

Zaczął padać śnieg tak gęsty, że po pół godzinie wszystkie drogi, ogrody i dachy domostw pokryły się śnieżnobiałym puchem. Jedynie dachy Samarabh, o spadzistych połaciach, pozostały nietknięte, dumnie wznosząc połyskliwą zieleń miedzi.

Północną bramą z rzadka wyjeżdżały wozy: większość kupców, widząc nieprzychylną pogodę, wolała odłożyć podróż, która zanosiła się na wyjątkowo uciążliwą.

Gavor przeciął trakt i skierował się do przydrożnej gospody. Przy jego stole zasiadł jakiś kupiec, odziany we wspaniałe futro, białe z szarymi pasemkami. Był dość przysadzisty, z ogorzałą twarzą i rzadkimi czarnymi włosami, które niby korona okalały mu tył czaszki.

Kupiec jadł z apetytem, ale kiedy tylko rzucał spojrzenie na dwór, nie potrafił ukryć niepokoju.

– Będzie tak padać? – wciąż powtarzał, zwracając się do karczmarza. – Czy uważasz, że to tylko przelotny śnieg?

Karczmarz odpowiadał dziwnymi obojętnymi grymasami.

– Pora roku jest taka, jaka jest – powiedział w końcu, by go zadowolić. – Może przestać za pół godziny, ale równie dobrze może padać dwa dni. Bogowie rządzą pogodą.

– Słusznie, bardzo słusznie – przystał kupiec. – A co ty mówisz, będzie padać? – zwrócił się do Gavora.

Gavor nie zwrócił uwagi na pytanie.

– Czy to twój wóz, ten ze skórami, tam na zewnątrz?

– Oczywiście, że mój! Muszę dostarczyć towar do Fanarabh, a może i Tharab albo do Bhakry, jeszcze nie postanowiłem.

– Dlaczego zostawiasz skóry pod gołym niebem, na śniegu? – ciągnął zaciekawiony Gavor.

– Przyjacielu – dobrodusznie uśmiechnął się kupiec – skąd przybywasz, skoro nie wiesz, że al glishas chronią właśnie przed śniegiem? Te futra nie przemokną, podobnie jak to, które mam na sobie: śnieg i woda ściekają po nim wzdłuż włosa i skóra nie nasiąka. A ty dokąd zmierzasz?

– Do Tharab.

– I myślisz, że dotrzesz tam w tej koziej skórze? – zaśmiał się kupiec. – Wygląda na mocno zniszczoną, straciła już połowę włosia i przydać się może co najwyżej na przykrycie zadu twojego konia. Posłuchaj mnie, przyjacielu. Jeśli zmierzasz na północ, nie obejdzie się bez futra z glishas. Chyba, że chcesz umrzeć z zimna!

– Jestem obcy – wytłumaczył się Gavor. – Jeśli sądzisz, że futro z glishas jest niezbędne, sprzedaj mi jedno.

– Pewnie, że ci sprzedam – powiedział kupiec, szybko mierząc go wzrokiem. Odsunął miskę i pospieszył na dwór rozsupłać węzły, którymi powiązane były zwoje na wozie. Po chwili był już z powrotem, podtrzymując lśniące futro.

– Ile za nie chcesz? – zapytał Gavor, niemal pogodzony z tym, że zostanie oszukany.

– Od ciebie, obcego i daleko od domu, tylko dwie sztuki srebra. A dodam ci jeszcze czapę, też z glishas. Ale nikomu nie rozpowiadaj, gdyż zyskam rozgłos kogoś, kto rozdaje, zamiast sprzedawać.

W sakwie Gavor miał tylko miedziaki, chcąc więc zapłacić, zmuszony został do sięgnięcia ręką do pasa i wysupłania ukrytych srebrnych monet.

– Interes ubity – powiedział, wręczając monety.

– Ubity – jak echo powtórzył kupiec. – Możemy teraz wychylić wspólnie dzban wina. Ja stawiam.

Minęła godzina, a i dzban przemienił się w trzy. Kupiec zwał się Slivah. Zaczął opowiadać sprośne historyjki i nie wyglądało na to, żeby zamierzał szybko skończyć. Lecz śnieg, który sięgał już do pół łydki, przestał padać i nagle rozjaśniło się.

– Ruszam – powiedział kupiec Slivah. – Trochę szczęścia i przed wieczorem mogę być na rozstaju Agu-Snosko. Zabierzesz się ze mną?

Gavor spoglądał na niego, niezdecydowany.

– Czy nie podążasz do Tharab? Możemy razem pokonać znaczną część drogi, z korzyścią dla nas obu – droga przez puszczę zawsze może być niebezpieczna.

Słowa te rozwiały wszelką nieufność Gavora. Szczelnie otulony futrem z glishas usiadł na koźle obok Slivaha, uwiązawszy uprzednio Ucięte Ucho do drąga za wozem: kupiec poradził mu, żeby nie przemęczał zbytnio konia.

– Niech lepiej zachowa świeżość na wypadek, gdyby trzeba było zaprząc go przed moimi fhomerami, jeśli dalej droga okaże się całkiem zawiana.

Slivah był niezmordowanym gadułą. On też, tak jak i wuj Obher, zjechał kawał świata i na wszystkim się znał. Ale jakaż różnica między siodlarzem a kupcem! Obher potrafił dojść do sedna każdego problemu, jego ściśle sprecyzowane poglądy klarownie wiązały się w całość i było właściwie niemożliwością przyłapać go na wewnętrznej sprzeczności. Natomiast Slivah był niby wrzący kociołek, mówił o najprzeróżniejszych rzeczach, ale bardzo powierzchownie i za tym potokiem słów nie kryła się żadna spójna myśl.

Gavor słuchał go jednak z przyjemnością, choćby dlatego, że możliwości jego były nieskończenie bogate, a opowiedziane historyjki zawsze kończył nieoczekiwany finał.

Tego dnia bóg śniegu był bardzo kapryśny, a może był już znużony – sypał śniegiem na przemian z nieśmiałymi przebłyskami leniwego słońca. Ale pod wieczór zerwał się gwałtowny i napastliwy wiatr i to, co początkowo wydawało się niegroźnym opadem, szybko przemieniło się w rozszalałą zamieć.

– Nocować pod gołym niebem to szaleństwo – złorzeczył Slivah, smagając konie. – W takiej zadymce nie uda nam się nawet rozpalić ognia...

– Co więc możemy zrobić? – zapytał zaniepokojony Gavor.

– Jedźmy dalej. Już tylko parę mil do rozstaju w Agu-Snosko, a w Agu-Snosko jest gospoda... istne siedem cudów. Tam zatrzymamy się na noc.

Slivah nie przesadzał: gospoda była duża i dobrze utrzymana, z wszystkimi wygodami. Palenisko w głównej izbie było tak obszerne, że wewnątrz spokojnie mogłoby zmieścić się dwóch mężczyzn, siedzących naprzeciw siebie i wspartych o boczne przypory. W ogniu wesoło trzaskało ogromne polano, wznosząc ku kominowi komety iskier.

Potrawy były doskonałe, a wino przednie, ale Gavor, którego onieśmielił panujący ład i przepych pomieszczenia, jadł i pił wstrzemięźliwie.

– Po co jedziesz do Tharab? – zapytał kupiec pod koniec kolacji. To była pierwsza rzecz, o jaką zapytał go Slivah od początku drogi z Samarabh i zasługiwała na jasną odpowiedź, której jednak zaskoczony Gavor nie potrafił dać.

– Sprawy rodzinne – odpowiedział ku swojemu zdumieniu.

– Podział dóbr? – zapytał zaciekawiony Slivah.

Gavor zaprzeczył ruchem głowy.

– A więc spadek? – próbował nalegać Slivah. – Tak, z pewnością tak musi być. Wyglądasz mi na takiego, kto jedzie zgarnąć fortunę, jaka spada znienacka...

Paul, dziewczyna, jej duże oczy i małe piersi



Andrzej Urbańczyk

Tak już jest i trzeba w to uwierzyć. Obojętne co mówią ludzie – miłość ma w sobie coś ze świętości. Może dlatego, jeśli jest prawdziwa, nie lubimy o niej opowiadać. Gdybym miał jednak wymienić imię tej, którą kocham, powiedziałbym – Tahiti. Dla mnie bowiem Tahiti zawsze jawiła się kobietą. Bora Bora jest jednak znacznie piękniejsza...

Urodę Tahiti zniszczyła cywilizacja. Lecz ani beton, ani papier, ani plastik nie zabrały z mego serca plaż, szumu palm w pasacie, ani różu słońca, gdy zachodzi wśród ciemności zapadających wcześnie i gwałtownie. Nawet dziś, po latach, wyspa ma wciąż zapach ziół i smak dojrzałych bananów. Jej zwiewny czar przemawia mocniej niż ciemny masyw Himalajów, zniewala głębiej niż upojny spokój Samoa.

Czy miłość zawsze podąża za pięknem? Czy piękno zawsze wędruje szlakiem miłości? Obojętne jak jest; tego lata mieszkałem na Bora Bora, wynajmując niewielki pokój w pensjonacie na skraju furii zieloności, zalewającej z gór wyspę, jak barwny lukier udane ciasto. Oprócz właścicieli zajazdu – uroczej pary polinezyjskiej, pełnej uśmiechów i filozoficznego stosunku do zawodowych obowiązków, zamieszkiwały tam jeszcze wrzaskliwe kury i rozleniwiony tropikiem pręgowany kot. Kury lądowały czasem ostatnim lotem w kuchennym garnku, kot – gdy nie przymykałem nocą okna – na moim łóżku. Zapach i smak tropikalnych owoców zdawał się wypełniać stare ściany pensjonatu bez reszty.

Całe dnie, samotny i w samotności tej szczęśliwy – jak się to tylko zdarza w starszym wieku – wędrowałem po piasku wybrzeży, chłodząc co jakiś czas stopy w pomruku przyboju, zaś nie osłoniętą kapeluszem głowę, w rzucanym przez słońce tuż pod pnie drzew cieniu palmowych czupryn. Czasem, gdy czułem się młodszy niż byłem, wybierałem się na twarde półpierścienie raf, pełne życia i jego niepojętych barw. Z małego radia, które okrążyło pół świata, radowała serce muzyka, jakiej już nie można znaleźć w cieniu kokosowych palm.

Któregoś dnia, patrząc w kotłujący się przybój nawietrznego brzegu, przypomniałem sobie jacht, który budowałem w dalekim kraju nad Bałtykiem, ćwierć wieku wstecz. Zdarzyło się, że – by podtrzymać gasnące marzenia – na mosiężnej blasze zbiornika wodnego wypisałem z pieszczotą Papeete. Ale nazwa nie przyniosła szczęścia jachtowi. Nie ostał się też nikt z jego załogi, by powiedzieć, gdzie żaglowiec ten na zawsze złożył swój wodny zbiornik i starannie ciosaną stępkę.

Gdy słońce powędrowało na północ, zapowiadając porę deszczową, kalendarz zatrzymał napływ pasażerów z biletem lotniczym, biletem, w którym daty przylotu i odlotu są tak bliskie siebie, jak początek i koniec zwojów toczonej przez przybój muszli, zdarzało mi się odwiedzać małe gospody, którymi zasypana jest Polinezja. Lokaliki takie – małe, ciasne, zazwyczaj oferujące chińską czystość, którą nie należy się zrażać – mają pod swymi palmowymi dachami sezamowe bogactwo. Spragniony otrzyma sok z pomarańczy, dojrzały orzech kokosowy lub – pogiętą wprawdzie nieco, ale naprawdę w dowolnym wyborze, puszkę tego co wymyślili Amerykanie i nazwali „pop soda". Głodny, nie będzie długo czekał na stuk, może nieco wyszczerbionych, ale szczodrze napełnianych talerzy. Jego zaś wyborem jest, czy będą zawierały one skromny ryż, posypany przyprawą curry, w kostki ciętą pieczeń z prosięcia, czy nabity na łupany bambus, smakowity zestaw mięs, jarzyn i owoców – wonne potwierdzenie prawdy, że prawdziwa sztuka kulinarna nie potrzebuje ani dyplomowanych kucharzy ani wypchanych, na podobieństwo ptaków w muzealnych szafach, kelnerów, ani wymyślonych przez durnia nazw. To czego pragnąć może mężczyzna, który zaspokoił i pragnienie i głód, zakosztowawszy również czerwonego wina, czy też zaciągnięcia się mocnym papierosem, znajdzie się również. Przysiadając się do was na popołudnie, na weekend, czasem, jeśli taka jest wasza decyzja – na całe życie.

Urok niewielkiego zajazdu „Golden Dragon" jak, nie wiedzieć czemu, nazwał go z orientalnym uporem pracujący szef – polegał w pierwszym rzędzie na tym, że zajeżdżało się do niego na własnych nogach. Stojące, niekoniecznie w największym ładzie, przed progiem buty, przypominały mi zawsze parking. Fakt – przybyłem na Bora Bora prosto ze Stanów. Ale pomalowane jaskrawo błękitną, łuszczącą się farbą ściany „Golden Dragon", bambus – który należało nazwać wszechobecnym – i zawsze świeże, zrywane niemal przez okna kwiaty, były tak tutejsze jak gwar oceanu, co kłóci się z rafą. Jak wyniosłość, zawisającej nad Pacyfikiem zieleni gór, żar sło-

neczny, gdy kulminuje nad archipelagiem. Jak niebo, zapachy, jak skrzyp cum w niewielkiej, sąsiedniej przystani.

Ten skrzyp cum i bełkot czesanej przypływem wody przynosi zawsze na Bora Bora widok kamienia, pod którym spoczywa Alain Gerbault. Jeśli ktoś nie wie kim był ten człowiek – nie ma tragedii. Być może jednak nie zrozumiał on, tak naprawdę, ani jednego z napisanych powyżej zdań. Natomiast nie należy do tej opowieści historia ostatniego rejsu, wielkiego niegdyś, żeglarza i odpowiedź dlaczego spoczywa na Bora Bora, nie zaś tam gdzie prosił i gdzie spoczywać powinien.

Czy tego dnia, wchodząc do zawsze otwartego dla każdego kto ma w kieszeni kilka franków „Golden Dragon", miałem nadzieję spotkania kogoś komu będę mógł powiedzieć: „Haere mai na. Haere po..."*? Erick, którego zna każdy, kto choć raz stanął na wyspie, powiedziałby niewątpliwie, że oczywiście tak. Ale Erick powiedziałby też, że wchodząc do „Golden Dragon" wystarczy mieć kilka franków, nie potrzebuje się mieć natomiast kieszeni. Nie traktujmy więc jego stwierdzeń zbyt serio.

Rzeczywistość była znacznie bardziej prozaiczna. Pod dach zajazdu wprowadził mnie deszcz, bijąc coraz gęstszym staccato o liście palm, pokłady uśpionych w porcie jachtów i o moją własną głowę.

– Ia-o-rana – pozdrowiłem uwijającego się przy rozżarzonych węglach właściciela. Jego żółta skrzywiona twarz uśmiechnęła się pogłębiając zmarszczki.

– Te maa tahiti – danie tahitjskie? – zapytał, gotów zabrać się natychmiast do nowej pracy.

– Ta maa tahiti! – Odpowiedziałem, robiąc jednocześnie gest dłonią mający oznaczać „niewielkie".

Butelka chińskiego piwa stuknęła o nierówną powierzchnię stolika. Na niegdyś białej płycie palce, ołówki i niezidentyfikowane bliżej ostre narzędzia zapisały wiele lat lokalnej historii. – Piwo jest za darmo – powiedział gospodarz, co było zupełnie pozbawione sensu, bowiem w „Golden Dragon" nie istniała ani karta dań ani żadna oficjalna cena posiłków. Płaciło się, wychodząc, za wszystkie usługi razem.

Deszcz szybko zmienił się w tropikalną ulewę. Fale jej przelatywały z narastającą furią wiatru, uderzając o ściany domostwa mokrą pięścią.

Gdy deszcz przycichał, pioruny biły w pożerane zmrokiem góry, wypełniając wąwozy i doliny gromkimi salwami grzmotów. Po którejś błyskawicy, kołysana ciosami wiatru na wysłużonym drucie, żarówka zgasła – widocznie właściciel niewielkiej prądnicy, dostarczającej światła w tej części wyspy, bardziej cenił sobie jej całość niż kilka sous zarobku. Natychmiast pojawiła się naftowa lampa. Szybkość z jaką powróciło światło świadczyła, że nie rozgrywają się tu jakieś niezwykłe zdarzenia.

Przesunąłem krzesło, o którego poszczególnych częściach fizyk powiedziałby, iż dysponują nieskończoną liczbą stopni swobody i mogłem teraz patrzeć jak błyskawice prują ciemność. Uderzenia piorunów zdawały się łupać masywy sterczących w niebo gór.

Zapatrzony w nieprawdopodobny pokaz kunsztu natury, jadłem podany posiłek prawie nie czując jego smaku. Pociągane prosto z butelki piwo wpadało do żołądka, jak gdyby potajemnie kumając się z chłoszczącymi wyspę falami deszczu. Kilka osób, prawdopodobnie z eleganckiego hotelu „Marara", przemoczonych doszczętnie, wpadło niemal do niewielkiej jadalni napełniając pomieszczenie szybkim potokiem zupełnie niezrozumiałego dla mnie francuskiego. Dokończyłem jedzenie i zostawiając nie dopitą butelkę ruszyłem w kierunku bocznego pomieszczenia, oddzielonego od naszej salki wykrzywionymi nieco przez czas i wilgoć drzwiami. Gospodarz, zajęty w sposób bardzo ochoczy przemoczonymi gośćmi, lecz jak zawsze czujny i wszystko widzący, kiwnął głową pod moim adresem z umiarkowaną aprobatą.

* *Przyjdź do mnie. Przyjdź w nocy.*

Szczęknął przerdzewiały zamek wytartej miedzianej klamki. W świetle innej, lecz równie sprawnie działającej, lampy naftowej zobaczyłem wspaniałe, wielkie i bardzo czarne oczy dziewczyny. Głębokie, zniewalającego uroku, poszerzone jeszcze do niezwykłych rozmiarów złotą łagodnością naftowego światła. Wyraz oczu, które patrzyły teraz prosto na mnie, harmonizował z pełnym słodyczy uśmiechem grubych, wypukłych warg miejscowej dziewczyny. Ledwie przysypane długimi, równie jak oczy czarnymi włosami jawiły się przecudnie zarysowane piersi. Niewielkie, bo bardzo płaskie, lecz z pełnymi zdającymi się lśnić jak gwiazdy, równymi jak gdyby je wyciął kieliszek, tarczami brązu.

Cofnąłem się, lecz dziewczyna sprzeciwiła się temu szybkim ruchem kształtnej głowy, jednocześnie osłaniając swe piersi rozpiętą dotąd bluzką. W ruchach jej, pozbawionych zawstydzenia czy pośpiechu, była mieszanina gracji kotki i frunącego nad sztormową falą albatrosa. Gracji tej, oczywiście, nie jestem w stanie opisać.

– Proszę wejść – powiedział po francusku mężczyzna. Jego postać, wygodnie rozparta na krześle, miała w sobie coś ociężałego. Błysk piorunu, który uderzył w ścianę lasu, oślepił mnie. W tym samym momencie huk dolatującego ze wszystkich stron grzmotu zgniótł ściany pokoju do wymiarów małej kostki. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem znów wpatrzone we mnie wielkie oczy i zniewalająca krągłość piersi załomotała szybkim rytmem serca. Poczułem suchość w ustach, wpatrzony w ostro rysujące się sutki dziewczyny, z których kształtów biła na przemian śmiałość i upojne piękno. Jak człowiek usiłujący wyrwać się hipnotycznemu zniewoleniu odwróciłem szybko głowę, lecz jeszcze szybciej wzrok mój spoczął znowu na kształtach brązowego ciała dziewczyny. Niczym zaskoczony wieśniak, który oniemiał na widok kalejdoskopu i zmieniających się w sekundzie obrazów, patrzyłem na biust dziewczyny, który raz wydawał mi się zredukowany do owej tylko śmiałości i upojenia, to znów wielkich spiralnie rosnących kręgów, w których płaskości i twardości było coś z mocy stalowego dysku wyzywającego dłoń dyskobola.

Nagle kołysząca się pierś znieruchomiała i cieniujący jej krągłość ołówek spoczął na bambusowym stoliku. Mężczyzna o ociężałych ruchach odłożył szkicownik i sięgnął po stojącą obok tanią szklankę wypełnioną do połowy ciemnym płynem.

– American? – zapytał z francuskim akcentem.

– American – odpowiedziałem uważając, że tak będzie najprościej.

Akordy deszczu przetoczyły się przez klawiaturę blaszanego dachu i czekaliśmy wszyscy w mimowolnym napięciu na uderzenie piorunu.

– Scared? – Boisz się? – zapytała po angielsku dziewczyna.

– Trochę – odpowiedziałem, nie przykładając żadnego znaczenia do odpowiedzi.

– Nie bój się – odpowiedziała – oczy jej odbijały światło płonącej nafty w podwójnym wymiarze. – Na Bora Bora pioruny zabijają tylko niedobrych ludzi.

– Teraz to boję się i to bardzo – rzucone prosto w zęby spadającego z nieba ognia.

– Nie jesteś Amerykaninem – powiedział rysownik. – Amerykanie... – resztę słów pochłonęła akustyka burzy.

Kiedy znów zagrał deszcz, wskazałem dłonią na ukończony obraz. – Very, very, pretty.

– Obraz czy oryginał? – Mówił fatalnym angielskim, o niebo jednak lepszym od mojego francuskiego.

– I obraz, i oryginał.

Szczerość śmiechu, jaki wypełnił mały pokój o przemakającym suficie, wydała się mi równa gniewowi chmur nad Bora Bora. Przez uchylone drzwi zajrzały wszędobylskie oczy właściciela zajazdu, a szczupła dłoń profesjonalnym ruchem zakołysała zawartością butelki.

– Oui – powiedział mężczyzna, ja zaś wskazałem palcem na kieszeń kurtki. Chińczyk skinął głową zapytanemu i

kościstym palcem potwierdził mój gest. Był widać doświadczony i nie lubił widocznie wątpliwości przy płaceniu rachunku. Burza kołowała, tracąc swą siłę wśród wzgórz, których nazwy zapomniałem wkrótce po odpłynięciu z wyspy, ale uderzenia wiatru przechodząc łatwo przez starość drewnianych ścian nie raz zakołysały kiepskim trunkiem w nierównych szklankach.

Oczy dziewczyny, która siedziała teraz tuż obok, przypominały znów o rysunku. Szkicownik powrócił na stolik, szczęśliwie unikając zamoczenia. Koła, tarcze, dyski znów zawirowały w moich oczach, kąpiąc swe kształty w kroplach alkoholu.

– Znasz się na sztuce? – zapytał mężczyzna. Miał, oświetloną teraz stojącą tuż obok niego lampą, szeroką, trochę prostacką, twarz o dużym nosie, mięsistych wargach i nieco wystających kościach policzkowych. Można było go szacować na pięćdziesiąt lat, ale trzeba było wziąć poprawkę na alkohol, żar mórz południowych, kto wie może jeszcze na coś innego.

– Znasz się na sztuce?

– Wydaje mi się, że znam się – powiedziałem prosto i bez nieszczerej skromności

– Dużo widziałeś sztuki? – Tehura, która widocznie nie piła przedtem, bowiem niespodziewanie stała się bardzo rozmowna, tłumaczyła, gdy moja znajomość francuskiego okazywała się zbyt nikła. W praktyce oznaczało to, że tłumaczyła ciągle.

– Tak. Widziałem w zasadzie wszystkie muzea w Europie i Stanach. Tak w przybliżeniu, widziałem wszystko, co wartościowszego namalowano na tej naszej planecie.

– Byłeś w Paryżu?

– Nie znoszę Paryża – odpowiedziałem z przekonaniem.

– Masz rację – padło wraz z ordynarnym słowem. – Skąd pochodzisz?

– Jestem Polakiem.

– Jak nazywa się twój kraj?

– Polska, Pologne, Polsza – być może w głosie było trochę ironii.

– Nie słyszałem – odpowiedział, odlewając Tehurze umiarkowaną porcję.

– Podoba ci się mój rysunek?

– Powiedziałem już, jest doskonały. – Moja, bądź co bądź duża pochwała, nie zrobiła na nim wrażenia.

– Czyje malarstwo podoba ci się najbardziej, jeśli tak wolno w ogóle formułować pytanie?

– Gauguina, van Gogha, Modiglianiego.

– Samą Francja – zaśmiał się. Nie uważałem za właściwe korygować go, zwłaszcza przy dziewczynie.

Nalał sobie alkoholu i szybko wychylił szklankę. Wydało mi się, że jego ciężkie, poplamione równikowym słońcem dłonie drżą. – Wiesz, ten van Gogh, Vincent, to był narwany facet. – Przytaknąłem dla zgody.

Tropikalna ulewa skończyła się niepostrzeżenie, tak jak się zaczęła. Gąszcz drzew parował teraz, a ziemia wsysała wilgoć jak gąbka. Pędy młodych bambusów pięły się szybko w górę, zielone parasole palm rozczapierzały palce swoich liści. Robaki, które żywiły się robakami, pożerały te, które żywiły się wilgocią.

Alkohol uderzył, widać, do głowy człowiekowi, który tak doskonale uwiecznił przecudne oczy i przecudne ciemnoskóre piersi wyspiarki. Potoczył po skromnym pokoiku gęstniejącym już wzrokiem, zatrzymał go na mojej twarzy i znów rzucił pytanie, szybko przetłumaczone przez Tehurę:

– Czy obraz, jaki narysowałem, przypomina ci grafikę Gauguina?

– Oczywiście! Gdybym zobaczył „Tehurę" w muzeum twierdziłbym, że to Gauguin z jego tahitYjskiego okresu.

– To znaczy, że ja rysuję tak dobrze jak Gauguin? A może ja rysują od niego lepiej? – mówił z taką pasją, że tym razem nie potrzebowałem tłumacza.

– Nie rysujesz lepiej, ani nie rysujesz gorzej – odpowiedziałem, jednocześnie akceptując, znanym gestem, propozycję drugiej butelki niezrównanego Chińczyka. – Rysujesz po prostu j a k Gauguin. Nawet twoja modelka nazywa się tak jak tahityjska żona Gauguina.

– Czytałeś „Noa-Noa"? – zapytał z ożywieniem. Brzmiało to ponadto jakoś swojsko.

– Oczywiście! Gdyby czas potrafił się cofać, można by wyobrazić sobie, że ty jesteś Paulem, Tehura Tehurą, ja zaś jednym z tych sukinsyńskich turystów, którzy doprowadzili Tahiti do upadku... – Alkohol jak widać znał drogę nie tylko do serca artysty i lokalnej piękności.

– Obrazy twoje są warte tyle samo co Gauguina... – Upadek do połowy wypitej butelki przerwał moje zachwyty. Błysnęły skośne oczy w szparze drzwi, które tym razem nie skrzypnęły. Dziewczyna wstała, trzymając się, czego nie przewidziałem, zupełnie prosto.

– Gauguin zawsze kojarzył się w mojej wyobraźni z Tahityjkami. Ich kształty mają w sobie coś z Gauguina, w jego obrazach jest coś tahityjskiego. Tacy ludzie powinni żyć wiecznie. Tymczasem to już tyle lat, jak zmarł...

– Zmarł? Zapewniam cię, że żyje – w głosie kołysała się niezachwiana pewność.

– Oczywiście – podchwyciłem – żyje. Trwa w ponadczasowym pięknie swej twórczości. W uśmiechu polinezyjskich kobiet. W zieloności palm, urodzie tutejszych kwiatów, tęczy rozpinanej przez pasat nad przybojem.

– Słusznie – Francuz przerwał mi – słusznie. Nawet więcej. Zaręczam ci, że duch Gauguina wciąż wędruje po tych wyspach...

– Nie mam najmniejszej wątpliwości – odpowiedziałem zgodnie, patrząc na rysowany światłem księżyca profil Tehury.

Nie wiem, czy sprawiła to narastająca noc, czy też marność pitego trunku. Twarz francuskiego artysty zmieniła się tak bardzo w ciągu kilku minut, że nagle wydało się, że siedzę obok innego człowieka.

Zrozumiałem, że – jak często zdarza się tym, którzy tworzą – wypił za dużo i że trzeba jakoś z tego wszystkiego wybrnąć.

Księżyc utonął w chmurach. Najniespodziewaniej, zmącone tanim alkoholem oczy artysty wypogodziły się jak toń oceanu, gdy ustaje pasat. Otarł usta brązową, już pomarszczoną dłonią. Potem, tą samą dłonią wskazując na mnie, powiedział: – Bardzo cię lubię, przyjacielu. Poz-

Andrzej URBAŃCZYK

Pracownik naukowy, żeglarz, podróżnik, prozaik urodził się 1 marca 1936 roku w Warszawie. W roku 1960 ukończył Wydział Chemii na Politechnice Gdańskiej. Od roku 1970 przebywa w Stanach Zjednoczonych. Współbudowniczy próbników „Viking I" i „Viking II". W 1981 kierował polsko-amerykańską wyprawą na wulkany Meksyku. W latach 1978–1979 przepłynął samotnie trasę San Francisko–Jokohama–San Francisko na 7,5-metrowym jachcie NORD III (pierwsze polskie przejście Północnego Pacyfiku). W latach 1983–1984 opłynął samotnie świat w 9,5-m jachcie NORD IV w rekordowym czasie. Wybrany „Żeglarzem Roku 1984". Obecnie przygotowuje się do nowego, samotnego rejsu wokół Ziemi.

Autor 15 książek tłumaczonych na 12 języków. Jako prozaik SF debiutował w 1955 roku opowiadaniem „DN 18" na łamach „Młodego Technika". Pisał do „Młodego Technika", „Horyzontów Techniki". W roku 1958 wydał zbiór opowiadań fantastycznych „Eksperyment profesora Kregera" („Prasa-Książka-Ruch").

Andrzej Urbańczyk znany jest czytelnikom „Fantastyki" z reportażu „Science fiction za życia" (4/1985) i opowiadań: „Mięso", „Postęp geometryczny" (4/1986).

W tym samym roku ukazał się wywiad z Andrzejem Urbańczykiem „Nie ma rzeczy niemożliwych" (4/1986).

Zamieszczone opowiadanie pochodzi ze zbioru tekstów science fiction przygotowywanych właśnie dla Wydawnictwa Literackiego w Krakowie.

(an)

wól, że podaruję ci ten rysunek na pamiątkę naszego spotkania. Daruję ci również Tehurę, by mogło spełnić się to, czego żarliwą ochotę widzę od chwili, gdy otworzyłeś drzwi tej garkuchni. – Tehura zaśmiała się na to, oświadczając, że idzie do swego domu.

Rzeczywistość nabrała zupełnie innych wymiarów, kiedy mężczyzna potwierdził swa wolę, dorzucając do jej pierwotnego kształtu kilka, wszystkim znanych, słów każdego portu. Poprosiłem, by zechciał podpisać obraz, - nie miałem bowiem wątpliwości, że nazwisko jego musi być notowane na aukcjach, przynajmniej francuskich. Zrobił to starannie, mrużąc otoczone zbędnymi fałdami skóry oczy i trzymając szkicownik daleko od siebie. W tym samym momencie dwa białe pioruny przeszyły moje wnętrze spadając ku ziemi przez okryte teraz już tylko koszulą plecy. To dziewczyna, chcąc raz jeszcze rzucić okiem na rysunek, pochyliła się nade mną zbyt nisko...

W kilka dni później pomarszczona twarz właściciela „Golden Dragon" uśmiechnęła się znowu. Tym razem zaprowadziła mnie do zajazdu nie furia tropikalnej ulewy, ale ciekawość.

Porysowany stolik, gratisowa butelka piwa, zachęta żarzących się węgli.

– Nie, nie, na pewno. Tego mężczyzny nie było tu nigdy przedtem ani potem. Tehurę zaś, jak wam zapewne wiadomo, maluje każdy, kto ma na to ochotę. Obojętne czy malować potrafi, czy też nie...

Piwo wydawało mi się bez smaku. Ściany lokalu, bardziej brudne niż zawsze. Szum pasatu w liściach palm mieszał się z grzmotem przyboju. *On umiłował te wyspy, które los kazał mu opuścić, bardziej niż inny kawałek świata. Na pewno zawsze powracał tu myślą, duchem, tęsknotą...*

Odpłynąłem z wysp, unoszony przez dziób statku, który tnie ocean jednakowo łatwo w każdą stronę. Zapomniałem już niemal dni na Bora Bora, nie przestałem jednak kochać Tahiti, czy może raczej wspomnienia po Tahiti moich marzeń. Bowiem szybko obracają się żarna, mieląc czas teraźniejszy, którego pyły zasypują pamięć czasu minionego.

Gdy powróciłem do domu, jak wolno przecież nazywać każde miejsce temu, kto domu prawdziwego nigdy nie posiadał, spotkałem znów dziewczynę o dużych oczach i małych piersiach. Z ostrożnie wyjętej z tekturowej koperty kartki uśmiechała się Tehura, głęboką jak wody Tuamotu czernią rozwartych przez piękno oczu. Coś z ich słodyczy wydyma w dziecinnej niemal naiwności pełne wargi ust. Błąka się po zbyt wypukłym, jak nasz gust, czole małej bogini. Tajemnica wysp czy żart ołówka mistrza sprawia, że jej pierś – śmiała, dumna i nieskończenie słodka – to pręży się płaskim, twardym pancerzem zapełniającym cały tors, to znów skupia swój cały urok i siłę w maleńkich, ostrych jak koncha brunatnej muszli sutkach dziewczęcego ciała. Dwu gwiazdach, dwu rogach sierpa księżyca na wyspiarskim niebie, może dwu słońcach nieznanego świata.

Im jednak jestem starszy, tym częściej myślę nie o Tehurze podziwiając zaklęte w dotknięciach grafitu kształty, ale o ręce, która potrafiła dokonać niemożliwego i która zostawiła tylko krótkie słowo Paul.

Galeria i aukcja sztuki „Fraser and Fraser" na Fifth Avenue w Nowym Jorku wśród nie znających co to zieloność tropiku gór betonu, co rysują kształt Manhattanu, bierze sto dolarów za ekspertyzę i wycenę rysunków. Któregoś letniego dnia 1987 roku i ja stanąłem przed przypominającym grubością szkła dział wypłat banku kontuarze. Sto dolarów nie było dla mnie wówczas dużym pieniądzem.

Po niemal godzinie czekania z twarzą utopioną w „Art" i „Money" na przemian zostałem poproszony na piętro. Gdy zamknęły się za nami obite jasną skórą drzwi, błyskając tabliczką „John Fraser", oczy od lat trudniące się oceną żywego i martwego zakomunikowały mi, lojalnie ostrzegając o niecodziennej, ba, niepojętej sprawie:

– Jest to najoryginalniejszy Gauguin. Paul Gauguin. Narysowany sto lat temu na papierze zrobionym przed dziesięcioma laty...

– Myli się pan – przerwałem zapewne zbyt szybko – to nie jest Paul Gauguin. Byłem przy rysowaniu tej dziewczyny. Było to osiem lat temu. Gauguin zmarł w roku...

– Tysiąc dziewięćset trzecim – powiedział John Fraser bardzo spokojnie.

– Ten człowiek istotnie podobny był do Gauguina w jakiś sposób, ale na nieba, nie dajmy się oszaleć. Było to zaledwie osiem lat temu i piłem z nim brandy!

– W takim razie pił pan z Paulem Gauguinem. To jest absolutny oryginał nieznanego rysunku nieznanej dziewczyny...

– Nieprawda – powiedziałem o stopień za głośno. – Jest to po prostu mistrzowsko zrobiona imitacja, bo przecież nawet nie falsyfikat, Gauguina...

– Czy przekonam pana, jeśli w tej chwili wypłacę panu za tę „imitację", jak pan twierdzi – tu potentat rynku sztuki wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych pochylił się przez biurko, masywne jak podstawa szybko skrawającej obrabiarki, pokazując wystawiony na moje nazwisko czek – to? – Proszę pana. Jest pan u profesjonalistów. Rysunku podrobić nie można. Można narysować to, co narysował Gauguin, nie można narysować tak, jak rysował Gauguin. Od tego jest nasza pracownia, od tego są mikroskopy i światło spolaryzowane, określające grubość kreski, głębokość nacisku, kąt trzymania ołówka. Od tego skanery i wymierzenie odległości poszczególnych kresek, charakter prowadzonej linii, gęstość krycia, wejście i zejście grafitu w papier. Komputer policzył każdą z kresek tworzących „Tehurę", jak pan nazywa ten prześliczny rysunek, i każdą z osiemnastu cech każdej kreski porównał z ich kilku tysiącami. I wie pan, co powiedziała nam ta diabelska maszyneria za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Powiedziała: „Paul Gauguin". Powiedziała tyle razy, ile było tych kresek, narysowanych podobno osiem lat temu, podobno w pana obecności...

Chciałem znów zaprotestować, ale teraz Fraser przerwał: – Mam taką propozycję: czy nie pojechałby pan, na koszt naszej firmy, odnaleźć tego człowieka? Otrzyma pan otwarte konto...

– Pieniądze nie znajdą tego człowieka – powiedziałem spokojnie, bo już zaczynałem rozumieć całą sprawę.

Twarz Frasera przesunęła się po ścianach gabinetu, na których wisiało nie więcej jak pięć obrazów. Razem prawdopodobnie ponad milion dolarów. Potem znów nasze oczy spotkały się. Udawałem jednak zajadły upór:

– Jak to może być Gauguin – rzucam – proszę spojrzeć – tu palec wskazał odwrotną stronę taniego arkusza z nadrukiem „Superior Art 1976".

Wtedy Fraser, wielki Fraser, bogacz i ekspert sztuki, wyjął z butonierki marynarki staroświeckie atramentowe pióro Parkera i równie spokojnie jak zdecydowanie przekreślił cyfrę 1976.

Pacyfik, 1987

Andrzej Urbańczyk



Okładka do „Isaac Asimov's Science Fiction" II/85
(Opowiadanie tytułowe: R. Silverberg „Żeglując do Bizancjum")

HISAKI YASUDA

Dorobek i drogę twórczą Marka Oramusa (ur. 1952) przypominamy na stronach 56–57 w „Słowniku Polskich Autorów Fantastyki". Tu natomiast przedstawiamy fragment jego najnowszej powieści „Dzień drogi do Meorii" (tytuł roboczy), przygotowywanej dla Wydawnictwa Iskry. Rzecz, nieco zajdlowska w tonie, będzie traktować o Ziemi znajdującej się pod okupacją Obcych z kosmosu. Jak często bywa w fantastyce socjologicznej Obcy i tu wezmą Ziemian za twarz... ziemskimi rękami. (mp)

Marek Oramus

Owieczki



Andrzej Brzezicki

Eomir Esterhazy, spedytor z ciężkiego transportowca „Hungaria", spoglądał z wnętrza szklanego kiosku w sześciometrową przepaść. Wyglądał jak owad zatopiony w kropli żółtego bursztynu, a kropla wyglądała jak klejnot na ciemnej piersi olbrzyma. Z zewnątrz do kabiny nie przedostawały się żadne dźwięki, tak że plątanina kształtów w przepaści pogłębiała tylko wrażenie niemego filmu. Zmierzch zapadł nagle, bez ostrzeżenia, jakby chciał zaskoczyć cały tutejszy świat w ramach nieznanej nikomu rozgrywki. Od razu włączyło się kilkadziesiąt punktowych źródeł światła z wyposażenia „Hungarii", niepotrzebnych co prawda automatom, ale podtrzymujących kruchy komfort człowieka. Plac, zalany potokami światła, kojarzył się spedytorowi z polem bitwy, na którym trwa gorączkowe przegrupowanie sił przed porannym nieuniknionym starciem. Klocki kontenerów na wysięgnikach rzucały długie cienie, formując się w zgrabne oddziały. Dopiero później wpadło mu do głowy, że obserwuje nie manewry wojenne, ale parę smoków dogrywających partię szachów w towarzystwie kibicujących pobratymców. Smoki przyświecały sobie oczami i Esterhazy próbował określić dla zabawy, ile smoków zgromadziło się wokół planszy - przy założeniu, że każdy ma trzy głowy, a w każdej głowie dwoje gorejących ślepi.

Ta dziecinada, fakt, że jej uległ, mogła świadczyć o poprawie jego stanu psychicznego. Przestał się bać, kurczowo, całym ciałem odbierać wrogość świata poza granicą szklanej kropli. Ciemność wessała strach i to, co przedtem wywierało wrażenie nader przytłaczające, nabrało charakteru wesołego miasteczka. Znamienne skojarzenia: od koszarowego dziedzińca, gdzie karne szeregi w milczeniu gotują się na rzeź - do bajki z dobrodusznymi smokami grającymi w szachy. Esterhazy poweselał i zaraz z powrotem zrzedła mu mina; obie wizje zawierały w podtekście walkę, element konfrontacji, za pierwszym razem bardziej ewidentny, za drugim - zakamuflowany. Uświadomił sobie, że jego nerwy są napięte do granic ostateczności.

Nisko, obok platformy, którą gładko spływały na plac kontenery, stał najbliższy z jednorękich strażników Hoam. W blasku reflektorów wyglądał jak uosobienie poczciwości, podobny do kawalarza, który przebrał się za niedźwiedzia i teraz, straciwszy kontakt z resztą hałaśliwej kompanii, bez której jego wygłup tracił sens, rozglądał się po placu w nadziei, że lada chwila zagubieni wesołkowie go odnajdą. Wystarczyło jednak kilka minut, lekka zmiana oświetlenia, a komediant przeistaczał się w ociosany pień wbity w ziemię - świadectwo nieznanego kultu. Dla powodów znanych tylko obcym bóstwom pień został okręcony futrem o długich, zmierzwionych kudłach. Z tułowia wyrastał bez pośrednictwa szyi szeroki łeb, a dwa talerzykowate wyrostki po obu bokach jako żywo nasuwały skojarzenie uszu. Z tyłu łba sterczał stożkowaty wylot - wypisz, wymaluj pysk, paszcza albo psia morda. Ale Esterhazy wiedział, że ważniejsze zmysły osobnika Hoam mieszczą się po obłej stronie łba, gdzie gładko leżące futro absolutnie nie daje powodów do takich podejrzeń.

Drugi strażnik Hoam tkwił kilkanaście metrów od pierwszego. Jego psi pysk zwrócony był dokładnie w tę samą stronę co poprzednika; nie bez wysiłku Esterhazy odszukał jeszcze dwóch i skonstatował, że także ich dziobiaste potylice wycelowane są w ciemność, gdzie chyba nie działo się nic interesującego. A to by znaczyło, że bynajmniej nie dozorują transportu, nie sprawdzają ilości kontenerów, nie porównują z tabelkami asortymentów - że wyładunek w ogóle mało ich obchodzi. Są tu, aby pilnować modułu transportowego „Hungarii" i na najmniejszy znak spoza horyzontu zamienią chętnie ten hektar gruntu w roztopione piekło, ani zważając, że w pierwszym rzędzie pochłonie ono ich pluszowe jestestwa.

Właśnie to było najstraszniejsze - że instynkt samozachowawczy zdawał się krępować ich tyle co polne kamienie, co minerały wijące się żyłami w czeluściach planet. Długo przebijało się to spostrzeżenie do umysłów ludzi, nawykłych do świata, gdzie wszystko, od ameby do słonia, czepiało się kurczowo okruchów egzystencji. Istot rozumnych dotyczył ten zwyczaj bodaj w najwyższym stopniu: w zamian za parę sekund odroczenia wyroku skłonne były do daleko posuniętych ofiar z honoru, godności, lojalności. Minęły czasy herosów, w obliczu biologicznego zagrożenia etyka całych narodów szła w kąt. Ten mechanizm sprzyjał Hoam jak diabli, dopóki nie zrozumieliśmy, myślał Esterhazy, jak bardzo są od nas odmiennie, nie tylko pod względem kształtu ciała czy ilości rąk, że więcej nas dzieli niż łączy i że póki traktujemy ich jak samych siebie, to jakbyśmy popełniali powolne samobójstwo. Który to z Prezydentów - Wrexler? Kazinsky? Sequence? - jego słowa okazały się trwalsze niż nazwisko - otworzył nam oczy, radząc interpretować Hoam jako kamikadze, ale bardziej bezwzględnych. Dla wroga i dla siebie. Jeśli chcecie z nimi wygrać, grzmiał w mowie, którą znało każde dziecko Zjednoczonej Floty, musicie przewyższyć ich bezwzględnością i poświęceniem. Musicie stać się twardsi od kamienia i okrutniejsi od Boga. Nie ma we Wszechświecie miejsca dla dawnego człowieka, człowiek łzawy, sentymentalny, miękki jak brzuch żaby umarł wraz z pojawieniem się Hoam. Jeśli przeżył - został zamieniony w niewolnika, w dwunożne zwierzę dostarczające rozrywki i mięsa. Więc wybierajcie: czy bluzgając przez skórę krwią od przyspieszeń, wypluwając płuca od niedotlenienia i żrąc własne fekalia pozostać człowiekiem, czy pełzać w kurzu i krwi pobratymców u stóp nowego pana. Wybierajcie, jak i ja wybrałem: krwawy pot, nienawiść i nadzieję na szybką śmierć.

Tak powiedział. Kilka miesięcy później już nie żył. Wtedy Prezydenci zmieniali się często.

Eomir nie pamiętał tych czasów. Inwazja Ziemi przez Hoam, rozpoczęta w 2109 roku, trwała lat siedem i zakończyła się całkowitą klęską człowieka. Niedobitki, resztki ziemskiego systemu obronnego ratowały się ucieczką w kosmos. Dołączyły do nich statki z baz księżycowych i marsjańskich oraz oddziały ze stacji orbitalnych, nadspodziewanie bitne, które miały najwięcej czasu na oswojenie się z wrogiem. Reszta planety, pozbawiona osłony satelitarnej i wsparcia wahadłowców, stawiła krótki opór zakończony rzezią. Różne szacunki mówiły o ilości od dziesięciu do czternastu miliardów istnień. W porównaniu z nimi dziewiętnaście milionów ocalonych i rozproszonych po kosmosie wydawało się pyłkiem. Na nich miał spocząć cały ciężar dalszej walki.

Wojna miała się ku końcowi, część walczących została wycofana na stałe do stoczni i do badań naukowych, które w krótkim czasie zaowocowały prototypami nowych broni, nowymi rodzajami napędu, ściągniętymi z jednostek Hoam i po pewnym czasie znacznie ulepszonymi. Życie przestało polegać tylko na walce i nienawiści, przestało być cenne tylko dlatego, żeby wysłać do piekła jak najwięcej Hoam. Należało żyć dla pamięci, żeby wychować dzieci i z nich również uczynić żołnierzy bardziej bezwzględnych od kamikadze - a stratę Ziemi na rzecz Hoam jak najszybciej przeboleć. Pozostawał Mars, księżyce Jowisza, Saturna. Stałe bazy padały jednak łatwym łupem Hoam; przestrzeń okazała się lepszą kryjówką. I tak się ustaliło, mimo iż nikt nie podpisywał aktów kapitulacji ani rozejmu: ich pozostał układ Ziemia - Księżyc, a naszym losem stały się miliardy kilometrów sześciennych próżni. Statki zamieniały się w latające miasta, fabryki i zbrojownie, i tak przetrwało do dziś.

– No, jak leci? - odezwał się szef całej operacji zwany Imbrykiem. Jego pyzata gęba z wiechciem włosów na czubku głowy wypełniała cały ekran. - Jakieś niespodzianki?

– Żadnych - powiedział niechętnie Esterhazy. - Na razie wszystko w porządku. Właśnie skończyłem wyrzucać towar i przystępuję do załadunku. Zaczynam od cystern z wodą.

– Przebadane?

– Częściowo. Zostało jeszcze trochę.

– Jaki skład?

– Zwykła woda morska - Esterhazy przesłał mu skład chemiczny i dalej przypatrywał się zmaganiom na placu. Kontenery z „Hungarii" stały w równych rzędach po jednej stronie; po drugiej, na wspornikach - pękate pojemniki Hoam, przypominające bomby albo batyskafy. Na oświetlonych wypukłościach niczym paciorki połyskiwały sznureczki nitów.

Automaty załadowcze przeformowały szyk i podjechały do kolumny cystern od tej strony, gdzie zespoły pomiarowe zakończyły już pracę. Suwnica z czujnikami okraczała kolejne gruchy, podnosiła kołpak, a najeżony czujnikami łeb zaglądał do środka. Niekiedy sonda z mocnym reflektorem zsuwała się do wody jak wąż - i wnętrze solidnej, z lekka zamazanej kopuły pojawiało się na ekranie. Esterhazy uważnie oglądał każdy cień i dawał zezwolenie na przejście do kolejnego walczaka. Na tle rozświetlonej czaszy, która w miarę odjazdu sondy wypełniała się ciemnością, pokazywały się wyniki analiz. Rejestrator robił ostatnie zdjęcia,

kołpak opadał na zbiornik, złącze natychmiast otaczał metalowy pierścień, z którego tryskały ogniste igły.

Kiedy wojna ustaje, między walczącymi zaczyna się szukanie okazji do wymiany towarowej. Zaledwie w dziesięć lat po zakończeniu starć, kiedy przez Ziemię przewaliła się rewolucja zamykająca Wielkie Błądzenie a otwierająca raj Nowej Ery, na prowizoryczne lądowiska Hoam wyprawiały się wcale liczne jednostki Floty. Z Ziemi zabierały głównie surowce i półfabrykaty: wzbogacone rudy, wodę morską, złom, rzadziej żywność. Korzystając z okazji wysadzały szpiegów albo zabierały wykupionych jeńców, uczonych, artystów. W zamian pozostawiały maszyny, głównie budowlane, dźwigi, pompy, środki transportu, kombajny górnicze. Taka struktura wymiany w zasadzie utrzymała się do czasów Esterhazego.

Hoam traktowali te wizyty jako zło konieczne. Potrzebowali urządzeń mechanicznych, zwłaszcza od kiedy maszyna została uznana za jeden z reliktów i symboli Epoki Wielkiego Błądzenia. Umiejętnie podszczuwane tłumy w krótkim czasie zniszczyły mechanicznych wyzyskiwaczy – i okazało się, że nie ma kto pracować, liczyć, przewozić towarów. W ciągu ćwierćwiecza, licząc od rozpętania wojny, ludzkość cofnęła się o tysiąclecie. Z powodu wyginięcia większości gatunków zabrakło nawet siły zwierzęcej, którą by można wykorzystać. Prymitywny przemysł oparty na pracy jednorękich robotników zaspokajał głównie potrzeby zbrojeniowe. Mit o nieustannym zagrożeniu z góry, stworzony i podsycany przez propagandę, stał się jednym z fundamentów świadomości przeciętnego Ziemianina w owych latach.

O innych korzyściach Hoam z handlu z Flotą trudno powiedzieć coś pewnego. Na pewno bez entuzjazmu oddawali nieprzyjacielowi ziemskie dobra, gdyż raz po raz towar okazywał się niezupełnie tym, za co go brali naiwni kontrahenci. A to partia jarzyn okazywała się przemyślnie zatruta, a to ziarno skażone genetycznie – a ile razy trzeba było odrzucać cały ładunek w przestrzeń, by nie dopuścić do epidemii... Sprytnie zakamuflowane materiały wybuchowe powodowały uszkodzenia jednostek Floty. W odwet niszczono określoną ilość obiektów Hoam, równano z ziemią bazy albo stocznie, wysyłając do nieba przeważnie Bogu ducha winnych ludzi, co propaganda Hoam wykorzystywała na swój sposób. O przyczynach ataku każdorazowo informowano przedstawicieli Hoam, stosunki ulegały zaostrzeniu, handel ustawał na pewien czas, ale zawsze dochodziło do nawiązania kontaktów na nowo. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że i maszyny dostarczane przez Flotę rzadko dobiegały okresów gwarancyjnych, nie tylko z powodu niewłaściwej obsługi.

Konsorcjum Handlowe „Dolar Pan" było wynalazkiem stosunkowo niedawnym. Dowództwo Zjednoczonej Floty postanowiło zakazać podległym sobie jednostkom handlu na własną rękę. Najpierw doszło do wydzielenia na większych statkach sekcji transportowych, lądujących na powierzchni Ziemi i przejmujących niebezpieczne ładunki, podczas gdy eskorta z palcami na spustach czekała na orbicie. Każdy z lądowników był na wszelki wypadek zaminowany, przy czym odpalenie ładunków następowało na rozkaz zarówno załogi, jak eskorty. Zespoły specjalistów pracowały nad piętrowymi systemami zabezpieczeń statków, bez przerwy wynajdując w nich – nie bez pomocy Hoam – słabe ogniwa. Rywalizacja kontrahentów z dostawcami zastąpiła dawną, militarną.

Bezpośrednim powodem zmian organizacyjnych – oprócz konieczności wykonywania specjalistycznych badań towaru – były przedłużające się kwarantanny. Czasem i lat nie wystarczyło dla uzyskania pewności, że u nikogo z personelu lądowników nie nastąpiło zarażenie wirusami o wyjątkowo długim okresie inkubacji. Z chwilą powstania Konsorcjum, handel z Ziemią spadał na barki wyspecjalizowanych załóg, pozostających na własnym rozrachunku, izolowanych od reszty Floty. Na początek otrzymały trochę najstarszych, przeznaczonych do rychłej kasacji pojazdów – i w ten sposób Konsorcjum stało się faktem, a z biegiem czasu jakby pomostem między Flotą a Ziemią. Działało na własne ryzyko; jego wewnętrzną sprawą było zapewnienie towarów o odpowiedniej jakości, w pełni bezpiecznych dla zdrowia i życia. Ewentualne epidemie wśród swoich załóg Konsorcjum likwidowało we własnym zakresie. Flota oprócz opłat za dostawy gwarantowała dopływ fachowców, a w uzasadnionych wypadkach – także wsparcie militarne.

Istnienie wyspecjalizowanego przedsiębiorstwa handlowego, działającego z ramienia Floty, okazało się krokiem we właściwym kierunku. Hoam nie mieli już do czynienia z gromadą rozproszonych jednostek. Doprowadziło to do centralizacji wymiany i odpowiedzialności. Numery z podrzucaniem dynamitu do kalafiorów, z zatruwaniem ziarna stopniowo ustały. W trzecim roku istnienia Konsorcjum „Dolar Pan" oprócz sporych dochodów mogło poszczycić się wynegocjowaniem układów handlowych. Ponure niedźwiedzie o jednej ręce w wyniku kompromisu przyznały Konsorcjum prawo do kontroli cech towarów za pomocą wszelkich dostępnych środków i przed wniesieniem opłaty. Jedyny warunek brzmiał: pobyt lądowników musiał być zakończony w ciągu doby, pod groźbą konfiskaty. W tym czasie ludzie, towary ani pojazdy nie mogły opuszczać lądowiska. Oto dlaczego ekipa z członu lądującego „Hungarii" musiała się spieszyć: doba przeznaczona na pobyt miała się ku końcowi.

Po cysternach z wodą morską przyszła kolej na wodę słodką i kwas siarkowy – tym razem brali głównie ciecze. Komputer ważył i liczył pojemniki, porównując zgodność asortymentów z ustaleniami klauzuli, aby „Hungarii" nie oszukano przynajmniej na ilości. Kontrola cystern z kwasem była nieco bardziej skomplikowana i mniej widowiskowa, gdyż nie można ich było otwierać, ale i z tym automaty sobie poradziły.

– Dobra – powiedział ze swego stanowiska Imbryk. – Zamykaj grodzie. – Na jego górnej wardze zebrały się kropelki potu. Jeśli choć w jednej cysternie coś jednak przeoczyli, ich żywot liczył się na godziny. Wcale nie było powiedziane, że Hoam za każdym razem próbują sztuczek – ale jeśli już próbowali, z reguły były to numery nasuwające podejrzenie o pakt z samym Belzebubem.

– Grodzie zamknięte. Mysz się nie przeciśnie.
– To mało. Pełna hermetyzacja.
– Jest, pełna hermetyzacja.
Od tej pory każda próba naruszenia hermetyczności ładowni powodowała stan alarmu. Imbryk otarł spoconą twarz.

– Zaczekajmy jeszcze na doktora. Segment osobowy w porządku?
– Przygotowany i czeka.
– Zaczniemy teraz grzać silniki. Czuję, że chciałbyś trochę porozmawiać, Eo.

– Ja? – przez moment zbierał myśli. – A tak, rzeczywiście. – Grunt pod modułem lądującym ugiął się, przez korpus przeleciało drżenie. Szpiczaste pyski Hoam zakołysały się jak na komendę i momentalnie zastygły w poprzednim położeniu. – Zastanawiam się czasem – powiedział Esterhazy – dla jakich powodów handlujemy z nimi. Przecież nie dla zysku. My im tonę maszyn – oni nam metr sześcienny wody. Powiedzmy, że im to się opłaca – ale nam?

– Nam też – Imbryk odpowiadał Esterhazemu angażując jakby połowę uwagi. – Zapomniałeś o owieczkach. Tona owieczek w transakcji wiązanej kosztuje u nich tyle co tona wody. Bez maszyn nie można ich kupić – więc wozimy maszyny. A woda... bywa nieraz cenniejsza od ludzi.

– Jakiś dziwny ten handel.
– Nie. W handlu nie ma miejsca na dziwy. Coś za coś, dobija się targu – i cześć. Niech im się zdaje, że bez ich dostaw, szczególnie bez wody, nie pociągniemy długo. Niech myślą, że trzymając swoją kosmatą łapę na kurku zawsze mogą zablokować dopływ. Tymczasem gdybyśmy chcieli liczyć wyłącznie na wodę z Ziemi, dawno zamienilibyśmy się w mumie. Woda, zwłaszcza morska, to kapitalne źródło surowców: sodu, magnezu, germanu, selenu... Po ściągnięciu soli nadaje się do celów laboratoryjnych, do zasilania systemów... – mówił z przerwami, nachylony nad aparaturą. – No i najważniejsze: przekonujemy się, że woda, nasza woda, ciągle jest na swoim miejscu.

– Coś nie tak u doktora? – spytał Esterhazy.
– Nie, nie, wszystko w normie. Doktor kończy swoje. Na zewnątrz spokój?
– Spokój.
– Zwijaj oświetlenie.

Esterhazy wydał dyspozycję i ślepia smoków przyćmiły się, poczynając od najbardziej skrajnych. Nie minęło dziesięć minut, a cały majdan znalazł się w luku z oprzyrządowaniem. Moment – luk pochłonął teleskopowe maszty oraz wielkie, meduzowate boje w okratowanych kagańcach.

– Wiesz co?– powiedział Esterhazy biorąc wdech i starając się dokładnie przywołać jakąś dawniejszą myśl. – Zastanawiam się nieraz, czy przystoi nam handlować z katami naszych przodków. Tacy staliśmy się praktyczni. Oni nas przepędzili – a my im za to dowozimy taśmociągi i koparki. Zadaję sobie pytanie, czyśmy nie za szybko zapomnieli, nie nazbyt chętnie. Jeszcze wczoraj Hoam urywali naszym łby – a my już dziś spieszymy z ofertami. I towar za towar. Gładziutko. Rozumiałbym jeszcze gdyby to była konieczność, ale sam przecież mówisz: nie ma żadnego przymusu. Więc po jaką cholerę włazimy im na szpikulec? Żeby udowodnić, jacyśmy to dzielni? Sobie – czy im? Żeby nie utracić kontaktu bojowego? A może zapomnieliśmy już o 2109 roku, wybaczyliśmy im wszystko w imię wspólnej szczęśliwej przyszłości?

– Przestań pleść androny – obruszył się Imbryk – o niczym nie zapomnieliśmy. Jeśli coś konstytuuje człowieka, to przede wszystkim pamięć. To ona sprawia, że ciebie nie można wymienić na mnie, a nas obu na doktora. Ale co innego pamiętać, a co innego pozwolić zapanować nad sobą rozgoryczeniu i poczuciu klęski. Wojna z Hoam była tylko epizodem, ważnym, tragicznym, obfitym w reperkusje – ale epizodem. Życie toczy się dalej – inne życie, i świat toczy się dalej – też zupełnie inny. My również zmieniliśmy się pod wpływem tych potężnych impulsów. Inaczej być nie mogło. Jednym z przejawów tych zmian jest odrzucenie uprzedzeń, które przeszkadzają działać. Pierwszy byłm wołał: rozczulajmy się, gdybym miał pewność, że choć jednemu z zabitych przywróci to życie.

– Nie kpij – parsknął Esterhazy – tylko pomyśl. Jeśli zabronicie człowiekowi płakać po umarłych, wzruszać się i mieć wątpliwości, to przestaniecie mieć do czynienia z człowiekiem, a wyhodujecie, wyszkolicie, jakieś monstrum na kształt i podobieństwo Hoam. Sprawne w zabijaniu, zużywające niewiele tlenu i wody, kochające raz na siedem lat... i nie zważające przy wymianie metalowych zabawek na wodę, że ziemia pod dźwigarami jeszcze ciężka od krwi. Czasem wydaje mi się, że pewne rzeczy robimy wbrew naszej prawdziwej naturze. Czy ty nie rozumiesz – podniósł głos, bo Imbryk zdawał się udzielać jego wynurzeniom ledwie ćwierć ucha – że w naszym postępowaniu jest, oględnie mówiąc, coś ogromnie niestosownego, a nie ma za to klasy, żadnego szlachetnego motywu? To przecież tak, jakbyśmy na przeogromnym cmentarzu wymieniali z rasą równie dziką jak nasza – kamienne siekierki, ani zważając na bielejące tu i ówdzie kości czy nagrobki. Czy wy tego nie widzicie? Czy wszyscy jesteście z drewna?

– Przesadzasz – powiedział z wysiłkiem Imbryk. Silniki ciągle grały – i nagle umilkły od jednego ruchu batuty niewidzialnego dyrygenta. Strażnicy Hoam zareagowali wysunięciem do przodu monstrualnych chwytaków. Imbryk uniósł ciężki łeb z nastroszonym jak u Irokeza grzebieniem włosów. – Wszystko to bardzo piękne i szlachetne, co mówisz. Właściwie cieszę się, że ktoś ma jeszcze podobne wątpliwości. – Wziął oddech jak przed długą przemową i kiedy Esterhazy już, już spodziewał się tyrady miażdżącej jego wywody, tamten powiedział tylko: – Doktor zakończył robotę. Zwijaj kiosk.

Była to kwestia chwili. Wysięgnik z kioskiem na końcu, przypominający zaciekawionego robala o żółtym łbie, zaczął wsiąkać w szary pień rakiety. Esterhazy zaczekał, aż zasklepią się przed nim pancerne płyty, pogasił ekrany, wygniótł większą część świetlistego robactwa pod palcami, wreszcie uporządkował pomieszczenie, tak by przed startem nie trzeba było już tu wracać – i zameldował się Imbrykowi.

– OK – powiedział Imbryk – skocz teraz do pasażerskiego i zgłoś się u doktora. Pomożesz mu przy owieczkach.

Prawdę mówiąc Esterhazy spodziewał się, że to go ominie. Jednocześnie pragnął zobaczyć je z bliska, odczuwał z ich powodu dziwne podniecenie. Oprócz cystern zabierali coś nierównie bardziej atrakcyjnego i niebezpiecznego: dwadzieścia siedem sztuk dziewic, wychowanych pod tym niebem, wysmaganych tym wiatrem, pięknych jak Afrodyty. To doktor mówił o nich: owieczki. Tylko dwadzieścia siedem, bo drugie tyle odrzucił jako niepełnowartościowe lub chore. Resztę zdyskwalifikowała komisja z „Hungarii". Kilka spośród odrzuconych nosiło dobrze zamaskowane ślady przebytych operacji, co sprzeciwiało się kardynalnym punktom klauzuli handlowej.

Pierwsza faza badań przypominała bardziej konkurs na miss uzdrowiska: polegała po prostu na prezentacji okazów. Doktor podchodził do poszczególnych kandydatek, oglądał je uważnie, pytał o imiona, obmacywał wolną ręką, czasem rzucał: – A co o tej, chłopcy, myślicie? – znakował na pośladku i kazał się ubierać. Jeśli okaz był wyjątkowej urody albo jeśli ci z góry mieli także życzenie, przedbiegi przedłużały się nieco.

Faza druga rozpoczynała się w atmosferze narastającej nerwowości. Stadko dziewcząt powtórnie przepuszczano przez barak. Tym razem droga prowadziła od rzęsiście oświetlonej rampy na stół doktora, gdzie dochodziło do weryfikacji niektórych warunków umowy. Doktor za pomocą rozkazu wydanego głosem uruchamiał tomograf i diagnostat komputerowy, wreszcie osobiście przystępował do dzieła. Odziany w gumowe rękawice, zbrojny we wziernik, w masce na twarzy, cierpliwie zaglądał kandydatom w brzuchy. Faza ta kończyła się krótką dyskusją z członkami konsylium na „Hungarii", którzy na bieżąco śledzili ustalenia aparatury. Potem następowało odsianie tego, co doktor nazywał ewidentnym nieporozumieniem.

Całodzienne badania malejącej liczby kandydatek miały swoją podskórną dramaturgię. Esterhazy obserwując doktora, słuchając jego odzywek myślał nieraz, że ten facet świadomie uczestniczy w widowisku; ba! posądzał go o robienie z medycyny teatru, oczywiście nie za darmo. Ale kiedy widział, z jaką serdecznością doktor zwraca się do pacjentek (bo właśnie tak je traktował), jak bierze je za rękę, próbuje uspokajać, ociera im łzy białym strzępkiem oderwanym ze szpuli, jak zapewnia wszystkie bez wyjątku o szansach na sukces – serce w nim miękło i wstydził się podejrzeń.

Nie mniej ciekawe rzeczy działy się na zewnątrz blaszaka – i to również pokazywała kamera. Odtrącone piękności – bo zupełnych brzydactw nie było wśród setki – miotały się po placu z rozwianymi włosami, spazmowały, biły pięściami o ściany baraku, tarzały się w pyle i na wszelkie sposoby naśladowały heroiny antycznych tragedii, dopóki nie obstąpili ich strażnicy Hoam i nie pognali do ciężarówek. Esterhazemu krajało się serce, gdy śledził odpływające w pustynię skrzynie ze stłoczonymi kobietami, zwróconymi jak jedna w stronę lądownika, kiosku i baraku doktora. Odprowadzały je niemo wzrokiem te, które czekała dalsza rozgrywka. Wywożone krzyczały coś na pożegnanie, nie wiadomo co i do kogo, wymachiwały rękoma. Co się z nimi dalej działo? Dlaczego zabierali je tak szybko? Esterhazy czuł się wzniośle i podle zarazem: wybawiciel i zdrajca w jednej osobie. Ciężarówki właśnie znikały w kurzawie, gdy zdobył się na przysięgę: my tu niedługo wrócimy i zabierzemy was, uwolnimy i zabierzemy – i wiedział, że kłamie, że tamte są już zaprzepaszczone na zawsze. Na zbrojną ekspedycję Floty na razie się nie zanosiło. I dlaczego żałować akurat tych dziewczyn, a nie ich braci, sióstr i matek – milionów porządnych ludzi cierpiących psi los, trwoniących zdrowie i życie na niewolniczej pracy dla Hoam? Tego typu kwestie roztrząsał Esterhazy podczas swego pierwszego dnia po ziemskim lądowaniu, czując się wewnątrz kiosku z szyb jak zanurzony w rzadkiej, przezroczystej mazi. Własna niemoc deprymowała go. Mógł tylko siedzieć i patrzeć.

Z pozostałej pięćdziesiątki miała odpaść jeszcze połowa – tutaj decydowało zdanie grubasów z góry. Szczegółowe badania zdrowotne i wydolnościowe, testy płodności i wszystko inne należało ukończyć przed zapadnięciem zmroku, doktor naprawdę się spieszył. Żelazna granica dwudziestu czterech godzin inspirowała wszystkich wystarczająco, zresztą gdyby pozwolić Hoam na przetrzymanie dziewczyn jeszcze przez noc, mogliby w tym czasie zastosować dodatkowe sztuczki. Już i tak nie było wiadomo, czym zostały nafaszerowane owieczki – bo najprawdopodobniej zostały. Esterhazy nieraz słyszał pogłoski, że dziewczyny z Ziemi są wampirami, a w żyłach ich płynie rtęć. Przenosiły też rozmaite

wirusy, udzielając ich obficie zwłaszcza mężczyznom podczas pocałunków i w upojne noce. Te wirusy były sprytniejsze od Sherlocka Holmesa: piekielnie trudne do wykrycia, rozregulowywały barierę immunologiczną albo miały tak długi okres inkubacji, że zwykła kwarantanna okazywała się na nic. Kto dobrowolnie zgodzi się na ofiarę z dziesięciu lat życia tylko dla udowodnienia, że nie uległ infekcji? Mówiło się też, że Hoam wyśmienicie opanowali inżynierię genetyczną człowieka i dlatego nie należy mieć z Ziemiankami dzieci, bo to jakby produkować własymi rękami rzezimieszków, dywersantów, w najlepszym przypadku zboczeńców.

Stojąc na progu części pasażerskiej Esterhazy aż zmrużył oczy. Za nim z cichym gwizdem zasuwała się przegroda. Dwadzieścia siedem par najpiękniejszych na świecie oczu spoczęło na postawnym mężczyźnie – następnym z ekipy archaniołów, która jeszcze dziś uniesie je do bram niebios. Nowy, jasnoniebieski kombinezon z barwnymi emblematami Konsorcjum, jasna twarz, błąkający się po niej zalążek uśmiechu, życzliwe spojrzenie. Tak wyglądali władcy tego świata. Dwadzieścia siedem kobiet pokochało go w jednej chwili za to tylko, że istniał.

Esterhazy czuł, że koniecznie musi coś powiedzieć. Bogowie, jeśli już ukazują się śmiertelnym, to nie po to, aby milczeć.

– Witajcie na pokładzie członu lądującego „Hungarii". Gratuluję wam sukcesu i mam nadzieję, że będziecie czuły się tutaj jak u siebie w domu.

Nie wypadło to zręcznie. Doktor skrzywił się na wzmiankę o tym domu, który wszystkie porzuciły z rozkoszą. Wejście Esterhazego przerwało mu dłuższą tyradę, w której informował finalistki, że po rozlokowaniu w fotelach otrzymają posiłek, a następnie człon lądujący wystartuje na orbitę, gdzie połączy się z macierzystym transportowcem.

– Nasz młody przyjaciel Eomir – powiedział wskazując ręką na Esterhazego – postara się pełnić obowiązki stewardesy. Z wszelkimi wątpliwościami, prośbami, kłopotami i tak dalej od tej chwili zwracamy się do niego. Czy wszystko jasne? Są pytania?

Czekali. Esterhazemu wydało się, że na dźwięk jego imienia kilka dziewczyn poruszyło wargami, jakby próbując je powtórzyć. Starał się nie myśleć o tym, że w przeciągu najbliższego półrocza dwie lub trzy spośród nich popełnią samobójstwo.

– Co to jest stewardesa? – odważyła się wreszcie niebieskooka blondyna o wspaniałej figurze i spłoszonym spojrzeniu. Jej głos był chropowaty ze zmęczenia.

Doktor cierpliwie udzielał wyjaśnień. Raz czy dwa zirytował się. „Mówiłem już o tym – wysapał. – Ile razy będę powtarzał?" „Tyle, ile będzie potrzeba, drogi doktorze. Po to tu jesteśmy" – odpowiedział mu z ekranu głos Imbryka i wszyscy przypomnieli sobie o jego istnieniu. Doktor zamachał ręką na znak, że podziela tę opinię. Przeprosił dziewczyny i na jego oblicze wrócił dobrotliwy uśmieszek.

– Teraz ty – ujął Esterhazego za ramię i pchnął lekko w kierunku dziewcząt. – Posadź je zgodnie z numeracją na identyfikatorach. Większość z nich w ogóle nie zna liczb.

Musiał brać je za ręce i prowadzić do właściwego fotela; wydawały się kompletnie pozbawione inicjatywy. Jego z kolei onieśmielała obecność tylu pięknych kobiet, ich ujmująca nieporadność. Wydawały się łatwiejsze od szklanki piwa. Za jedno słowo lub gest można by mieć każdą z nich. Nigdy już nie będzie z nimi tak blisko. Rozdzielą ich – jego i je – następne dni, tygodnie, każdy z miesięcy, które złożą się na zgubę lub wyniesienie tych dwóch lub trzech spośród bez mała trzydziestu. Wtedy będą jednakowo nie do zdobycia, zarówno te, które użyją stryczka czy trucizny, jak te, które otoczy przepych i uwielbienie należne królowym. Jaki bożek, u licha, decyduje o losie człowieka?

Jadły jak zwierzątka: pospiesznie, rzucając krótkie spojrzenia na boki. Znamienne – nie dochodziło między nimi do kłótni. Używały przeważnie palców, zgrabne widelczyki i wykałaczki wpinając we włosy niemal automatycznym gestem. Niektóre zaczynały od opróżnienia kubka z napojem i kiedy Esterhazy podał im nowy, widział w ich oczach zdumienie. Wtedy te, które piły oszczędnie, jakby skąpymi łyknięciami, natychmiast wychylały zawartość, aby także dostać następny. Jeśli Esterhazy podawał go nie dość szybko, reagowały niecierpliwym pomrukiem.

– Radzę nie pić tyle, zaraz startujemy – przestrzegał z ekranu Imbryk. Obserwował przebieg posiłku niemal z zapartym tchem, podobnie jak doktor spod ściany, i Esterhazy pomyślał w pewnej chwili, że tych dwóch łączy rodzaj zmowy, do której on sam nie został dopuszczony.

– Trzy kubki max! – szepnął doktor. – Bo będą rzygać po starcie!

Dziewczyny siedziały nastroszone, z rozpęczniałymi brzuchami – ale zamiar odebrania naczynia z resztką soku kwitowały gniewnym posykiwaniem. Wydawały się rozczarowane z powodu zbyt szybkiego zakończenia uczty. Koniec jedzenia zaskoczył je w pewnym sensie. Za żadne skarby nie chciały oddać pustych tacek wysmarowanych musztardą. Jeszcze w ostatniej chwili próbowały wylizywać tłuszcz z wgłębień.

– Eomir, mógłbyś nieco przyspieszyć? – zirytował się Imbryk. – Za kwadrans musimy stanąć na ogniu.

Dziewczyny stały się nagle leniwe i uparte. Już nic nie mówił, nie dyskutował, po prostu wyrywał im tacki i wrzucał do przezroczystego wora. Dwie lub trzy rozkaszlały się, pakując z determinacją do ust całą porcję pieprzu. Może to umiar, względnie brak umiaru podzieli je na królowe, samobójczynie i pozostałe barachło? Trudna sztuka rezygnowania...

Na dziesięć minut przed startem zademonstrował im, w jaki sposób zapinać pasy i jak potem odblokować zatrzask.

– Przećwiczmy – powiedział ruszając wzdłuż rzędu foteli. Nie więcej jak pięć chwyciło od razu, o co chodzi.

– Łaskawy panie..

– Tak?

– Nie chce się dopiąć. Proszę...

– Mnie też nie... O, tutaj...

Zaczynał podzielać wyrozumiały dystans doktora do tych ładniutkich zwierzątek. Trzeba było pełnego skupienia, by nie traktować ich jak istot niższych.

Właśnie pochylił się nad siedzącą przy ścianie brunetką, ściskającą bezradnie w piąstce niklowany prostokącik. Wyjął go, odnalazł zatrzask i wsunął metalowy języczek w szczelinę. Dało się słyszeć ciche szczęknięcie. W tej samej chwili brunetka nachyliła się i koniec jej sprężystej piersi musnął wierzch dłoni Esterhazego.

– Gotowe – powiedział z dumą Esterhazy. Zapatrzył się w jędrne krągłości, rozpychające bez litości dekolt pasażerki.

Chciał dodać: „Prawda, że to łatwiutkie?" – ale nie zdążył. Brunetka chwyciła go za szyję i z siłą konia pociągnęła ku sobie. Koleżanka z sąsiedniego fotela, nie mniej wydekoltowana, udzieliła jej wydatnej pomocy. Esterhazy, wychylony do przodu, z ręką jeszcze na klamrze, z biustem w oczach – nie zdołał utrzymać równowagi. Runął na dwie pary smukłych ud. Następne pół sekundy przekonało go, jak bardzo mylił się co do owieczek. Bez wątpienia miał do czynienia z fachowcami wysokiej klasy: jego ręce i głowę objęło jakby imadło.

– Leż spokojnie, łaskawy panie – syknęła brunetka – jeśli ci życie miłe.

Wolną ręką – Esterhazego ogarnął spazm śmiechu – sięgnęła do ust, wydobywając spod języka podobne do żyletki ostrze. Niosła je powoli w powietrzu, by kamery, doktor i Esterhazy zdążyli je sobie dokładnie obejrzeć, po czym nagłym ruchem przyłożyła listek stali do naprężonej szyi spedytora.

Esterhazy dusił się ze śmiechu. Ostrze mocniej przylgnęło do skóry i fala wesołości minęła.

– Nie zbliżać się! – to krzyczał doktor. – Położę trupem pierwszą, która się ruszy!

Esterhazy nie widział tego, lecz doktor cofał się mierząc przed siebie z małego pistoletu do dawania zastrzyków. Wziął go ze sobą na wszelki wypadek, w towarzystwie paru ampułek środków odżywczych i uspokajających. Dotarł do przegrody, wykręconą do tyłu ręką namacał taster, z chyżością, której by mu pozazdrościł niejeden młodzieniaszek, prysnął w ciemną szczelinę i stalowe wrota zasunęły się za nim.

– Nie macie szans – wychrypiał Esterhazy. Jego głos przeszedł płynnie w syk bólu, gdyż któraś z panienek wzmocniła uchwyt. Pozostałe spoczywały grzecznie na swoich miejscach.

– Brzydka zabawa – powiedział Imbryk z ekranu. – Nie sądziłem, że normalnie wyglądający mężczyzna jest dla was aż taką atrakcją. – Jeżeli chciał zawstydzić napastniczki, to się zawiódł. Zmienił ton: – Dobrze wam radzę, dziewczęta: puśćcie chłopaka, a ja postaram się o wszystkim zapomnieć. Nie spotka was kara. Film da się jakoś wykasować...

– Pan jest dowódcą tej kupy złomu? – warknęła brunetka. – Prawdziwa szkoda, że nie ten chłoptaś. Panie dowódco, jeśli chce pan jeszcze kiedyś pograć z nim w karty, niech pan słucha uważnie: potrzebny nam ten lądownik. Można nawet powiedzieć – niezbędny.

– Puśćcie chłopaka. Przywiązałem się do niego.

– Jeżeli pan nie posłucha, będziemy zmuszone...

– Najpierw pozwólcie sobie coś wytłumaczyć. Żeby nie było między nami niedomówień: dla mnie on już nie żyje. Żałuję bardzo, lecz nie będzie wymiany. Taki ładny młodzian. Chcecie powiedzieć, że załatwicie go tą żyletką? Zaczekajcie – dam więcej światła, a wy odsłońcie go trochę, żeby kamera mogła wszystko dokładnie zarejestrować. Nie bądźcie samolubne, ludzie, którzy będą oglądać ten film, też chcą mieć trochę przyjemności.

– Szefie, one chcą przetrzymać lądownik! Wtedy Hoam... – Esterhazy miał wrażenie, że słoń nastąpił mu na grdykę.

– Dziękuję za ostrzeżenie, chłopcze. Do startu mamy jeszcze jakieś trzy minuty i staniemy na ogniu punktualnie. Wysłałem właśnie do Hoam umówioną serię znaków oznaczającą gotowość do odlotu – i otrzymałem łaskawe przyzwolenie ich kapitanatu. Słyszysz ten odgłos? To silnik. Nawet sam diabeł nas nie zatrzyma. Teraz do was, panienki. Nie chce mi się wierzyć, żebyście spodziewały się, że tak sobie oddam wam lądownik. Wyglądacie przecież całkiem rozsądnie. Mówcie, do cholery, czego naprawdę chcecie. Jeszcze możecie uratować życie. Przejście do reszty statku zostało zablokowane. Wystarczy, żebym wpuścił wam trochę gazu, a wytrujecie się jak muchy.

– Ale pan nie wpuści. Jesteśmy zbyt cennym ładunkiem – w głosie brunetki pojawił się ślad kokieterii.

– Nie wpuszczę – przyznał niechętnie Imbryk. – Właściwie wcale nie mam gazu.

– Niech pan posłucha: musimy udzielić pomocy naszym kumplom z partyzantki. Wystarczy, że pan wyląduje w pewnym miejscu, przechwyci paru ludzi, trochę dokumentów – i po krzyku. Niech nam pan pomoże.

– Najpierw puścicie chłopaka.

– W porządku – brunetka cofnęła ostrze. – Przykro nam, jeśli najadłeś się strachu, mały. Naprawdę nie jesteśmy takie groźne.

– Nie bardziej niż drut kolczasty pod napięciem – powiedział Esterhazy masując grdykę. Zrobił głęboki wdech i z wyrazem bezradności spojrzał na Imbryka.

– Na co czekasz? – zestrofował go tamten. – Doprowadź robotę do końca. – Patrzył przez chwilę, jak Esterhazy oddala się, demonstrując następnym pasażerkom zapinanie pasów. – Bardzo mi przykro, dziewczynki, ale lądownik to nie to samo co rakieta. Nie może podnosić się i osiadać tyle razy, ile nam się spodoba. Zwłaszcza z pełnym ładunkiem. Paliwa jest akurat tyle, by wynieść to wszystko na orbitę. Poza tym Hoam mają nas na muszce – wystarczy, że wyjdziemy z korytarza, a z przyjemnością zrobią z nas kulę plazmy. Innymi słowy nie mogę spełnić waszej uprzejmej prośby. Bardzo mi przykro.

– Oszukał nas! – wrzasnęła towarzyszka brunetki. Obie w mgnieniu oka wyswobodziły się z pasów i rzuciły ku Esterhazemu. Ten jednak mógł dać się zaskoczyć tylko raz. Jego ręce i nogi zawirowały w huraganowej parodii wiatraka, błyskawiczne ciosy dosięgły krewkich panien i powaliły je.

– Szkoda kopać takie piękne ciała – stwierdził w zadumie Imbryk. – A już myślałem, że jesteś dżentelmenem.

– Byłem – burknął smętnie Esterhazy. Podniósł z podłogi ostrze i schował je do kieszeni. – Zanieście je do foteli – zwrócił się do dziewczyn. – Dlaczego nie startujemy? – zdziwił się. Kabina zacisnęła się wokół jego głowy, jakby była z gumy. Siedzące posłusznie dziewczyny zwróciły ku niemu piękne twarzyczki w jakimś rybim zdumieniu; obraz falował w oczach, jakby ktoś podgrzewał z tyłu film, na którym zostały uwiecznione. Poczuł, że nogi uginają się pod nim i nagle znalazł się bardzo blisko włochatej wykładziny. Czuł pod palcami jej frapującą szorstkość. – Dlaczego nie starr... – wymamrotał zdumiony i w tej samej chwili jakby wiatr zerwał się wewnątrz jego czaszki. Jego świadomość zgasła, zdmuchnięta jak świeca.

– ...iic mu nie będzie – głos doktora brzęczał gdzieś niesamowicie wysoko. Moment – i wpłynął przez jakieś niebiańskie okno pod kopułę, gdzie właśnie znajdował się Esterhazy. – O, już przeciera ślepka.

Obok doktora stał Imbryk ze swoją irokezką czupryną.

– Wypij to – ręka doktora z plastikowym kubkiem zawisła w powietrzu. Napój był chłodny, kwaskowaty.

– Bardziej chce ci się pytać niż pić, co? – uśmiechnął się Imbryk. – Nie krępuj się. Coś niecoś mógłbym ci wyjaśnić na dzień dobry.

– Gdzie jesteśmy? Co się ze mną stało?

– Powoli. Jeśli chodzi o lądownik, właśnie dobija na automatach do „Hungarii". My oczywiście znajdujemy się na jego pokładzie. Ładunek w komplecie – potarł dłonią policzek, niby to z zakłopotaniem, a Esterhazemu momentalnie przypomniało się dwadzieścia siedem owieczek. Niestety, były między nimi także tygrysice. – Co się tyczy twojego stanu: po prostu zasłabłeś. Takie rzeczy zdarzają się czasem. Widzisz, nasza wyprawa nie była taką sobie zwykłą wizytą handlową. Od dłuższego czasu żaden z transportowców Konsorcjum nie zabierał z Ziemi kobiet – ta pozycja po prostu zniknęła z listy towarów oferowanych przez Hoam. Kobiety zostały wycofane. Zabrakło. Znalazł się lepszy kontrahent. Nie wiem – wzruszył ramionami. – Konsorcjum podejrzewało, że Hoam coś knują – aż tu nagle proszę: damy znowu do wzięcia. Ceny bez większych zmian. My z doktorem zostaliśmy wtajemniczeni w plan – bo powstał plan, rzecz jasna – ty natomiast stałeś się elementem wyzwalającym, jądrem krystalizacji konfliktu. Jeśli coś wszczepili lub zasugerowali panienkom, mogliśmy zadziałać w miarę skutecznie na sprawy podkorowe, na ich podświadomość – rozumiesz, stadko młodych samiczek z jednej strony, z drugiej samczyk w pełnej krasie. Wymagana była bliskość fizyczna. Do spotkania tego zostałeś uwarunkowany hipnotycznie. My ze swej strony przesunęliśmy zegary na lądowniku o pół godziny do przodu.

– Po co?

– Żeby fikcyjnie przyspieszyć start i w ten sposób skatalizować ewentualny zamiar. Jeśli coś miało się wydarzyć, należało to przewidzieć, a nawet wywołać. Nie mieliśmy pojęcia, co się zdarzy, ale wiedzieliśmy – kiedy. Przynajmniej z grubsza. No i dawaliśmy sobie bezcenne pół godziny zapasu na ewentualne bardzo grube niespodzianki. Kiedy zasłabłeś – to są, niestety, koszta psychiczne całego zadania – weszliśmy po ciebie z doktorem i zabraliśmy także te dwie nerwuski. Reszta nawet się nie poruszyła. Nie tracąc ani chwili wystartowałem.

– No to wszystko w porządku! – rozochocił się Esterhazy. Świat znowu wydawał się jasny i uporządkowany, a z jego mózgu jakby ktoś zdjął ciężką płytę.

– Nie bardzo. Istnieje niestety podejrzenie, że eksces dwóch ślicznotek był tylko zadymą. Że ukrywał, maskował coś zupełnie innego. Pomyśl tylko: jaką ma się szansę zawładnięcia lądownikiem trzymając na kolanach faceta z załogi? I jak łatwo się ciebie pozbyły... Nie, w ten sposób nie postępują ludzie, którym na czymś straceńczo zależy. Rozumiesz? W gruncie rzeczy była to swego rodzaju rozgrywka: ponieważ czegoś się spodziewaliśmy, należało nam urządzić jakiś cyrk, byśmy nie czuli się zawiedzeni. Hoam nie chcieli naszego lądownika. Z doświadczenia wiedzą, jak takie lądowniki eksplodują, kiedy się je bierze.

– Więc o co im chodziło?

– Ba! – prychnął Imbryk. – Nad tym dumają już łby nie takie jak nasze. Na początek mają niewiele: parę godzin filmu. Najważniejsze wieziemy my – wypiął dumnie klatkę piersiową. – Samo jądro tajemnicy. Taaak – zamyślił się. – Upłynie dobrych parę miesięcy, zanim dowiemy się, co naprawdę zdarzyło się na naszym lądowniku.

Marek Oramus

Oramus Marek

(ur. 1952) Publicysta, krytyk, autor SF

Urodził się 23 marca 1952 r. w Sierpawiu koło Krakowa. Od 1961 roku mieszkał w Myślenicach. W roku 1975 ukończył studia na Wydziale Mechaniczno-Energetycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach (specjalność – energetyka jądrowa) i zapisał się na Pomagisterskie Dzienne Studium Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Studium ukończył dwa lata później, pracując jednocześnie w warszawskiej redakcji TS „Politechnik" jako kierownik działu studenckiego.

Z fantastyką naukową zetknął się po raz pierwszy w siódmej klasie szkoły podstawowej, kiedy przeczytał „Astronautów" Stanisława Lema. Pierwsze próby pisania własnych tekstów podejmował w liceum, pierwsze opowiadanie „Bunt na Adonisie", wzorowane na lekturach prozy Fiałkowskiego, posłał do „Młodego Technika" – otrzymał je z powrotem z listem zachęcającym do kontynuowania prób. Kolejne dwa zostały również zgłoszone do druku w „Młodym Techniku": „Sposób umierania" zostało ostatecznie wydrukowane w „Przeglądzie Technicznym", a „Witaj w domu" opublikował „Nowy Wyraz" (1977/9) redagowany przy współpracy OKMFiSF (opowiadanie „Witaj w domu" odrzucił wcześniej Zbigniew Przyrowski jako zbyt pesymistyczne). Na dobrą sprawę Marek Oramus debiutował dopiero w 1975 roku w czerwcowym numerze „TS Politechnik" opowiadaniem „Eutanazja".

We wrześniu 1977 roku autor „Arsenału" został sekretarzem redakcji „TS Politechnik". Uruchomił tu stały, comiesięczny kącik SF, gdzie ukazywały się opowiadania, szkice, relacje z imprez (debiutowali tu: Tadeusz Markowski, Andrzej Zimniak, Sławomir Pikuła, Edwin Kuprienko; swoje utwory drukował też Janusz Zajdel). Współpraca z OKMFiSF zaowocowała zdobyciem dla fantastyki łamów prasy, gdzie Marek Oramus umieścił sporo opowiadań znanych dziś autorów (m.in. w „Przeglądzie Technicznym": „Wilki na wyspie" – Julii Nideckiej, „Jedyny prawdziwy" – Jacka Rodka i Darosława Torunia, „W cieniu Sfinksa" – Wiktora Żwikiewicza, „Podarunek morza" Zbigniewa Prostaka). Był również selekcjonerem gorzowskiej antologii „Bunt robotów". O fantastyce naukowej pisywał do „Przeglądu Technicznego", „Razem", „Merkuriusza", „Filmu". Uczestniczył w kilku próbach powołania do życia pisma poświęconego fantastyce, współpracował z grupą, która w 1980 roku organizowała „Sferę". Był wewnętrznym recenzentem Krajowej Agencji Wydawniczej (opiniował m.in. „Imago" – Żwikiewicza, „Całą prawdę o planecie Ksi" – Zajdla, „Dzień czerwonego giganta" – Kurty, „Miliardy białych płatków" – Białczyńskiego, „Zamieszkałą planetę" – Stefana Weinfelda) jednak z powodu nieuwzględnienia jego uwag krytycznych zrezygnował z tego zajęcia. W „Politechniku" pracował do września 1980 przechodząc na stanowisko publicysty. Od stycznia 1981 roku rozpoczął pracę w „ITD", w dziale kulturalnym, jako publicysta. W październiku 1981 roku został wybrany zastępcą redaktora naczelnego tego pisma.

W 1981 roku poślubił Jolantę Sachs, w sierpniu 1981 roku został ojcem córki Dominiki. W 1982 roku przeprowadził się z Warszawy do Rybnika, rodzinnego miasta żony.

Rezygnując z etatowej pracy dziennikarskiej zajął się fantastyką. W 1982 roku opublikował w „Przeglądzie Technicznym" szkic o Philipie Dicku, zaczynający nowy etap jego pisarstwa. W ostatnim numerze „Przeglądu Technicznego" tegoż roku ukazała się pierwsza recenzja „z gwiazdkami", inaugurująca stałą rubrykę poświęconą omawianiu literatury SF. Po pięcioletnim oczekiwaniu Marek Oramus wydał w „Czytelniku" powieść *Senni zwycięzcy* (1982), a w antologii „Spotkanie w przestworzach" (KAW 1982, tom 2) zamieścił swoje opowiadania „Witaj w domu", „Drwale i dziewczyna". W roku 1984 ukazała się jego kolejna powieść *„Arsenał"* (Wyd. Iskry, seria „Fantastyka-Przygoda). Obecnie przygotowuje do druku:: „Wyposażenie osobiste" (zbiór wywiadów, szkiców i recenzji poświęconych szeroko rozumianej fantastyce – Wyd. Iskry) oraz „Hieny cmentarne" (zbiór opowiadań SF dla Wyd. Śląsk). Zawartość: „Drwale i dziewczyna", „Hieny cmentarne", „Witaj w domu", „Bariera immunologiczna", „Kompleks Hioba", „Osada Meteor", „Euta-

NIEPOROZUMIENIE

Wojciech Gutowski

Na łamach „Fantastyki" od dłuższego czasu ukazują się hasła osobowe „Słownika polskich autorów fantastyki" (w oprac. Andrzeja Niewiadowskiego). Można przypuszczać, że „Słownik" jest przedsięwzięciem zamierzonym na dużą skalę. Obejmuje pisarzy różnych epok (od literatury staropolskiej po wiek XX), różnej też miary – od znanych i wybitnych po zupełnie zapomnianych. Mogłoby się wydawać, że kryterium włączenia danego pisarza do „Słownika" nie powinno budzić najmniejszych wątpliwości: pisarz ów powinien być, choć w części swej twórczości, „autorem fantastyki". Oczywiście pojawia się pytanie: jak szeroko rozumieć samo pojęcie „fantastyka"? Powyższe pytanie szczególnie może zaniepokoić czytelnika 4 nr. „Fantastyki" z bieżącego roku, gdzie pomieszczono charakterystykę sylwetki twórczej młodopolskiego poety, dramaturga, prozaika, publicysty Tadeusza Micińskiego (1873–1918).

Niezorientowany czytelnik, przyzwyczajony do zawartości „Słownika", zapewne będzie szukał we wspomnianym tekście informacji o utworach z zakresu science fiction, weird fiction czy fantasy. Czy je odnajdzie? Czy rzeczywiście należało umieszczać w „Słowniku autorów fantastyki" sylwetkę autora „Nietoty. Księgi tajemnej Tatr", neoromantycznego wizjonera, twórcę halucynacyjnych wizji i onirycznych pejzaży, pisarza reinterpretującego tradycję satanizmu (lucyferyzm) i usiłującego stworzyć nową, wieloźródłową, synkretyczną ideologię dla Polaków początku XX wieku? Nie jest to bynajmniej pytanie retoryczne i cały wywód – w polemice z autorem wzmiankowanego hasła – chce na nie odpowiedzieć.

Autor hasła bardzo rzecz upraszcza, gdy twierdzi, że Miciński był „pisarzem nierozumianym". Kiedy nim był? Począwszy od debiutu książkowego („W mroku gwiazd", 1902) był przyjmowany entuzjastycznie i bardzo krytycznie. Po prostu był pisarzem kontrowersyjnym. Trzeba dodać, że obecnie w ogóle nie ma sensu mówić o nierozumieniu Micińskiego, skoro od kilkunastu lat wielu badaczy zajmuje się różnorodnymi aspektami jego pisarstwa, pojawiają się tomy studiów (świadczy o tym choćby zamieszczona na końcu hasła „bibliografia wybrana"), a co ważniejsze ukazują się nowe edycje utworów (poezje, dramaty, poematy prozą), ważnymi wydarzeniami stają się inscenizacje dramatów. Oczywiście trzeba przyznać rację autorowi słownikowego hasła, gdy powiada, że Miciński nadal „pozostaje autorem elitarnym", ale taki jest zwykle los twórców niekonwencjonalnych, eksploratorów nowych obszarów egzystencji, zafascynowanych możliwością czerpania z zasobu symboliki najodleglejszych kultur.

Czy z powyższego wynika, że twórczości pisarza elitarnego, kontrowersyjnego, synkretycznego, wieloznacznego nie należy popularyzować dopóty, dopóki twórczość ta nie zostanie wyczerpująco opisana w obszernej monografii? Nic podobnego, byle tylko popularyzatorskie ujęcie nie przynosiło oczywistych błędów, przeinaczeń, symplifikacji, takich właśnie, jakie spotykamy w „Słowniku autorów fantastyki".

Wskażmy tylko najważniejsze błędy faktograficzne i interpretacyjne osobliwości.

Autor hasła wymienia utwór pt. „Życie nasze" (1907), które nazywa „pamfletem politycznym". W rzeczywistości istnieje „Życie nowe" (1907), poemat polityczny, w którym, jak często u Micińskiego, wiersz swobodnie przechodzi w prozę poetycką i w stylizowaną publicystykę.

Bezkrytycznie, za „Obrazem literatury polskiej" (najstarszy powojenny zarys twórczości Micińskiego) datuje się powstanie poematu prozą „Niedokonany" na rok 1907, choć wystarczy zajrzeć do później wydanego 15 tomu bibliografii „Nowy Korbut", by odnaleźć tam ustalenie bardziej prawdopodobne – 1902–1904.

Swoistą „rewelacją" jest przypisanie Kazimierzowi Wyce opracowania i edycji „poezji i prozy" Micińskiego. Natomiast pomija się zupełnie wzorcową edycję dramatów przygotowaną przez Teresę Wróblewską (t. 2, 3 i 4 Wyd. Literackie). (Dodajmy przy okazji, że proza Micińskiego na razie nie była wznawiana, jeśli nie liczyć pogranicznych pod względem gatunkowym „Poematów prozą").

Podobnym „odkryciem" jest zaliczenie Stanisława Brzozowskiego do „apologetów Micińskiego", gdy właśnie dla autora „Legendy Młodej Polski" Miciński pozostał pisarzem kontrowersyjnym. Osobliwym „komplementem" jest użycie terminu „apologeci" pod adresem współczesnych badaczy (chodzi o Edwarda Balcerzana i Marię Podrazę–Kwiatkowską), których badania – zwłaszcza studia M. Podrazy-Kwiatkowskiej – pozwoliły usytuować twórczość Micińskiego poza – tak charakterystycznymi dla krytyki Młodej Polski – „apologetycznymi" i „szyderczymi" stylami odbioru.

Powyższe zniekształcenia faktografii i recepcji świadczą, iż autor hasła pośpiesznie gromadził wiedzę o Micińskim i być może czerpał ją z mało wiarygodnych źródeł. Ale też błędy rzeczowe można usprawiedliwić charakterem publikacji, tempem redakcyjnej pracy, które nie zawsze pozwala na sprawdzenie czy porównanie źródeł. Errare humanum est...

Gorzej natomiast, gdy interpretacja, choćby skrótowa, ale mająca ambicje ukazania najistotniejszych cech twórczości, okazuje się deformacją i przypomina źle skleconą mozaikę niespójnych sądów.

Jak można pisać, że Miciński „ekspresjonizm i nadrealizm pojmował jako przemieszanie elementów stylistycznych" itd., skoro wiadomo, że programy tych kierunków literackich (zwłaszcza nadrealizm) ukształtowały się później, a Micińskiego można najwyżej nazwać preekspresjonistą czy prenadrealistą? (Identyczny błąd popełnił Andrzej Niewiadowski, pisząc w „Fantastyce" 1984 nr 9, iż „on (Miciński) właśnie wprowa-

nazja", „Sposób umierania", „Barany i armia lwów", „Trudno nie być bogiem", „Ziemia – 4104", „Kwadrofoniczne delirium tremens". Większość tych opowiadań ukazała się już na łamach „Problemów", „Przeglądu Technicznego", „Fantastyki" i „Feniksa".

Autor „Arsenału" należy do czołowych twórców polskiej fantastyki naukowej debiutujących w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. W swoich opowiadaniach (m.in. „Witaj w domu", „Drwale i dziewczyna", „Hieny cmentarne" – to ostatnie znane czytelnikom naszego miesięcznika jako „Tlatocetl") – ukazuje zderzenie dwóch obcych sobie kultur, z których jedna – kierując się prawami ekonomii, postępu technicznego zagubiła podstawowe wartości człowieczeństwa: niepowtarzalność indywidualnych losów, różnorodność w spojrzeniu na świat, możliwość decydowania o swoim życiu. Tematem „Sennych zwycięzców" są dzieje kosmicznej Arki, statku wracającego z podróży ku gwiazdom, który staje się obiektem manipulacji socjotechnicznych. Ziemska kultura przyszłości wykształciła potrzebę zbiorowych gier z udziałem socjokaskaderów, którzy dokonują przekształceń całych zbiorowości dążąc do zwiększenia bądź ostabienia entropii społecznej. Fabuła książki opisuje losy takich działań przełamujących się w psychice bohatera, który boleśnie przeżywa moment inicjacji – rozpoznania reguł gry: musi dokonać wyboru, opowiedzieć się po którejś ze stron.

Książka jest powieścią wielopłaszczyznową: tematykę socjologiczną uzupełniają odwołania kulturowe, parafrazy mitów, motywów literackich, próby odpowiedzi na pytanie czym jest wiedza ludzka, na ile zależy ona od sposobów poznawania i interpretacji świata. Oramus sięga również do wątków o charakterze autotematycznym.

W kolejnej powieści „Arsenał" mamy do czynienia z opisem spotkania innej cywilizacji ukazanym w kategoriach paraboli społecznej. Tytułowy Arsenał jest rodzajem sondy kosmicznej, przekaźnika informacji o niespotykanych możliwościach, modelującego program działania. Jego partnerem staje się Adam Nyad, człowiek o bogatej psychice, postępujący wbrew obowiązującym wzorcom i normom zachowania. W starciu z wysłannikiem obcej cywilizacji, które przybiera postać swoistej gry, pojedynku intelektualnego sięgającego najgłębszych pokładów osobowości bohatera, człowiek zostaje pokonany, ale Arsenał docenia jego wartość jako partnera użyczając mu swojej niespotykanej mocy. Akcja powieści, która refleksjami filozoficzno-społecznymi przypomina „Solaris" Stanisława Lema, jest zapisem na pały onirycznym, kreuje obrazy podświadomości, odwołuje się do dziedzictwa wyobraźni. Aluzyjność historii wynika nie tylko z możliwości dialogu, dorównania przeciwnikowi w sytuacji przerastającej człowieka, ale z samych warunków zaistniałych na pokładzie statku kosmicznego: spotkanie z obcą cywilizacją jest okazją do ubezwłasnowolnienia Ziemian, narzucenia im cudzej woli poprzez tzw. pośredników akceptujących warunki „obcych" w zamian za przywileje należne klasie przywódczej. „Kontakt" jest także konfrontacją rzeczywistości i wyobrażeń, próbą wyjścia poza człowieczeństwo, odwołaniem do prawd uniwersalnych, archetypicznych.

Twórczość Marka Oramusa dowodzi, że współczesna proza SF może być znakomitym dopełnieniem wielu pól problemowych penetrowanych przez literaturę naszych czasów. Jego książki mówią o uwikłaniu człowieka w historię, poszukują granic wolności, podstawowych wartości w chaosie elementarnych pojęć i znaczeń. To przecież te same sytuacje, z którymi zmagają się twórcy „młodej prozy": Siejak, Bittner, Łoziński, Bielecki. Jest w nich zarówno żywy, bezpośredni język, plastyka opisów, pogłębienie sylwetek psychologicznych, jak i nieustanny optymizm przesłania, każący wierzyć w moralną siłę człowieka, zdolność obrony przed złem.

Być może jest Oramus dłużnikiem Lema, pośrednio Conrada w „wymierzaniu sprawiedliwości widzialnemu światu". Tak naprawdę w jego scjentyficznej, pozornie brutalnej, wyrafinowanej fantazji mieści się niezgoda na rzeczywistość, niezwykle ostre widzenie świata, tęsknota za wolnością, jakaś próba ucieczki w stronę baśni, melodramatu.

W listopadowym numerze „Fantastyki" rezygnuję wyjątkowo z prezentacji „pożółkłych kartek". Tak się bowiem składa, że dzięki uprzejmości Autora dysponujemy jednym z rozdziałów nowej, powstającej książki „Dzień drogi do Meorii". I właśnie fragment tej powieści, stanowiący zamkniętą całość, publikujemy w dziale literatury polskiej.

Bibliografia wybrana:
– M. Parowski (w:) „Fantastyka" 1983/1; 1985/3.

polemiki

d z a do polskiej poezji z a ł o ż e n i a europejskiego ekspresjonizmu i nadrealizmu", podkr. moje – WG).

Jaką wartość informacyjną i interpretacyjną posiada sąd głoszący, iż pisarz „wydobył ekspresję losów ludzkich za pomocą metafor, symboli", skoro podobne „wydobywanie" cechuje całą literaturę symbolizmu (i szerzej: Młodej Polski) – poezję, dramat i prozę?

Na jakiej podstawie autor hasła autorytatywnie twierdzi, iż „najciekawsza, wciąż aktualna, zadziwiająca p r e c y z j ą o k r e ś l e ń (podkr. moje WG) jest (...) nie tyle forma jego utworów (...), ile filozoficzna problematyka literackich wystąpień?" Czyż nie jest to apologia czystej wody, nie wiadomo w jakim celu głoszona, skoro już w następnym zdaniu dowiadujemy się, że ową „precyzję określeń" gwarantuje światopogląd pisarza, który – w symplifikującej deformacji autora hasła – składa się z manicheizmu, mesjanizmu i panslawizmu?! (Wyjaśnieniu podobnych dziwności interpretacyjnych należałoby poświęcić osobny artykuł!)

Trudno spodziewać się, by przeciętny czytelnik „Fantastyki" połapał się, o co chodzi, gdy spotyka np. taką zbitkę myślową: „Autor »Nietoty« zapożycza się u Nietzschego, sięga do teorii okultystycznych, uznając gwiazdy za siedlisko duszy, z których zeszła w otchłań i na które powróci, aby stworzyć przedsionek nieskończoności". Kim jest zatem Miciński: epigonem nietzscheanizmu, zwolennikiem reinkarnacji, kolegą Heleny Bławackiej, twórczyni teozofii, czy może prekursorem Georgija Gurdżijewa, amerykańskiego mistyka (pochodzenia gruzińskiego), który w gwiazdach dostrzegł żywe istoty? A może zwolennikiem lotów kosmicznych, skoro tak podobno bardzo wierzył w naukę, „która zapewni przyszłemu człowiekowi możliwość panowania we Wszechświecie"? Miejmy tylko nadzieję, że czytelnik nie zrażony tak zwięzłą „syntezą", sięgnie do jakiejś pozycji z „bibliografii wybranej".

Powróćmy do pytania postawionego na początku: dlaczego Miciński znalazł się w „Słowniku"? Czy autor „Nietoty" jest w istocie „autorem fantastyki"?

Z wywodów autora hasła można domniemywać, że „fantastykę" pojmuje on bardzo szeroko, włącza do niej m.in.: poetycki oniryzm, formy ekspresji podświadomego, niektóre koncepcje metafizyczne czy przeżycia mistyczne. W ogóle zdaje się utożsamiać „fantastykę" z „wyobraźnią" najszerzej pojmowaną: poetycką (romantyczną), mistyczną, parafilozoficzną itp. Czy tego rodzaju poszerzenie znaczenia „fantastyki" (identyfikacja z „wyobraźnią"!) da się obronić, czy jest funkcjonalne? To osobny (i ważny) temat, godny obszerniejszego artykułu. W tym miejscu zwrócę uwagę na trzy warianty tego spotkania (między „wyobraźnią" a „fantastyką").

1) Pierwszy wariant, redukcyjno-mistyfikatorski, wyznacza pisarstwo Ericha von Dänikena. W tym wypadku swoistość wyobraźni mistyczno-religijnej zostaje zredukowana do pseudofilozofii w stylu najbardziej ubożuchnej myślowo literatury science fiction.

2) Anektowanie wyobraźni „poetycko-mistyczno-religijnej" w obszar „fantastyki" można też tłumaczyć „kompleksem niższości", którym czują się obciążeni autorzy science fiction czy fantasy w stosunku do swych kolegów, parających się literaturą „poważną" (kompleks ten wydaje się uzasadniony – twórczość Stanisława Lema jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym i na zasadzie kontrastu uwypukla myślową miałkość oraz i m a g i n a c y j n ą k i c z o w a t o ś ć polskiej science fiction). Formą przezwyciężenia owego kompleksu niższości może być maksymalne poszerzanie tradycji, wzbogacanie swej genealogii o pisarzy uznanych i modnych. Tylko czy tego rodzaju manipulacje zmienią dość żałosną sytuację? Wystarczy odwołać się do praktyki i porównać zawartość myślową i poziom artystyczny fragmentów publikowanych na „pożółkłych kartkach" ze złożami grafomanii, zalegającymi „niepożółkłe" kartki „Fantastyki" (w nr 4/87 rekordy grafomanii biją teksty z cyklu „Hotlyss Hotland przedstawia").

3) Trzecie i najbardziej owocne spotkanie „fantastyki" z wyobraźnią polegałoby na prześledzeniu zmian, jakim podlegają klasyczne toposy i romantyczne fantazmaty w ujęciu współczesnych fantazjotwórców. Inaczej mówiąc, warto byłoby odpowiedzieć na pytanie: jaki żywot w literaturze masowej II połowy XX wieku wiodą dawne wizje mistyczne i głosy podświadomego?

Wydaje się, że prezentacja twórczości Micińskiego na łamach „Fantastyki" mogła być znakomitym pretekstem do próby spotkania w wariancie trzecim. Niestety, okazja została zmarnowana.

Intencją moich wywodów nie jest, wbrew pozorom, obrona „wielkiego" Micińskiego przed włączeniem go w rzekomo „niegodny" krąg autorów fantastyki. Cała ironia nieudanego spotkania na łamach „Fantastyki" polega na tym, że w wieloznacznej i wielokształtnej twórczości Micińskiego można względnie łatwo odnaleźć utwory, w których obszary „wyzwolonej wyobraźni" łączą się z fantastyką w węższym znaczeniu (w tym wypadku inspirowaną parapsychologią i okultyzmem).

Na „pożółkłych kartkach" z powodzeniem mogłyby się znaleźć niektóre poematy prozą, np. „Dolina Mroku" czy „Bezaliel", dla których czytelnik mógłby odnaleźć wyraźne konteksty w twórczości E.A. Poe czy S. Grabińskiego.

Można przypuszczać, że autor hasła zbytnio zawierzył magii tytułu. W celu zaprezentowania fantastyki Micińskiego wybrał dwa luźne fragmenty z nieukończonej powieści „Mené-Mené-Thekel-Upharisim!", której podtytuł „Quasi una phantasia" (wzorowany zapewne na tytule utworu Beethovena „Sonata quasi una fantasia") był – jak można się domyślać – argumentem decydującym o wyborze tekstów. Moje przypuszczenie może potwierdzać fakt, iż autor hasła przypisuje niepomierne znaczenie temu fragmentarycznemu utworowi i dopisuje doń naprawdę „fantastyczną" (w pejoratywnym znaczeniu tego słowa) interpretację (zdaniem autora hasła pojawia się tu problem lucyferyzmu „w najczystszej postaci"; w jakiej zatem postaci ten problem pojawia się w poemacie prozą „Niedokonany" i w tomie poezji „W mroku gwiazd"?).

Doprawdy trudno zrozumieć, dlaczego czytelnikowi podaje się strzępy arcymłodopolskiego obrazowania nie związane z „fantastyką" w węższym znaczeniu, gdy nadarzała się okazja wyeksponowania wątków stricte fantastycznych w twórczości jednego z najbardziej oryginalnych pisarzy przełomu XIX i XX wieku. Rzadko kiedy tak doskonałe możliwości zawarte w materiale ulegają niepotrzebnemu zmarnowaniu. ■



Trudno nie doceniać roli polemnik w naszym, dość monotonnym życiu literackim. Kiedy wszyscy zgadzają się ze sobą, nikt nie protestuje, nie zgłasza votum separatum – życie literackie zamiera. Brakowało polemik w „Fantastyce", brakowało rzetelnych głosów krytyki, prócz zbiorowego chóru czytelników: „wyrzućcie pożółkłe kartki". Czyżby wszyscy wszystko przyjmowali „na wiarę"? A może nikt „słownika" nie czyta?

Nieporozumienie czy kontrowersje?

Andrzej Niewiadowski

Z tym większą satysfakcją przeczytałem list pana Wojciecha Gutowskiego, autora monografii poświęconej twórczości Tadeusza Micińskiego oraz wydawcy jego „Poematów prozą". List polemizujący z moim szkicem o Tadeuszu Micińskim opublikowanym w kwietniowym numerze „Fantastyki". Wypowiedź pana Gutowskiego przedstawiam w całości, tym chętniej iż Autor zamieścił w niej kilka ważnych spostrzeżeń na temat „wyobraźni" i „fantastyki". Ale w zasadniczym przedmiocie sporu zarzuty mojego przeciwnika nie wydają się przekonujące. I stąd odpowiedź, próba obrony.

1. Czy rzeczywiście, „niezorientowany czytelnik, przyzwyczajony do zawartości słownika, będzie szukał we wspomnianym tekście informacji o utworach z zakresu science fiction, weird fiction czy fantasy"? Nie sądzę. Uważna lektura słownika przekonuje, że pojawiali się w nim autorzy różnej proweniencji, niekiedy jak najdalsi literackiej konwencji SF (np. Gombrowicz, Konwicki, Krasicki, Lemański etc.) Miesięcznik, którego jestem redaktorem, nie prezentuje tylko literatury SF – mówi o fantastyce i taki jest właśnie słownik – obszerny, wieloznaczny, bogaty, rozrastający się pod piórem w system literackich odniesień. Co więcej Autor polemiki przeczy samemu sobie, skoro:

2. Mówi o „niezorientowanym czytelniku", a przecież „od kilkunastu lat wielu badaczy zajmuje się różnorodnymi aspektami pisarstwa (Micińskiego), pojawiają się tomy studiów (...), a co ważniejsze ukazują się nowe edycje utworów (...), znaczącymi wydarzeniami stają się inscenizacje utworów". Jest chyba inaczej – właśnie tak, jak pisałem: Miciński bywa nader często twórcą n i e r o z u m i a n y m, bowiem do „szeregowych czytelników", a śmiem twierdzić, nawet czytelników bardziej przygotowanych (np. studentów polonistyki) synkretyzm jego utworów nie dociera. To rzeczywiście niełatwo udowodnić – może pośrednio: niewielkim zainteresowaniem studentów, niskim nakładem książek, ograniczoną publicznością teatralną. Chyba tylko w ten sposób.

3. Ma Autor polemiki rację, że istnieje „Życie nowe" (1906) poemat (nie: pamflet) polityczny. Jest to mój błąd, choć w maszynopisie go nie dostrzegałem, widać nie dość uważnie przeglądałem korektę szkicu.

4. Nieprawdą jest natomiast, że bezkrytycznie datuję za „Obrazem Literatury Polskiej" powstanie poematu prozą „Niedokonany" na rok 1907. Nie korzystałem z „najstarszego, powojennego zarysu twórczości Micińskiego", sięgnąłem do źródła n a j n o w s z e g o.: „Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny" (Warszawa, PWN 1984). Być może, autorka hasła pani Bożena Wojnowska powtórzyła bezkrytycznie informację z „Obrazu Literatury Polskiej". Ale... czy nie wdajemy się przypadkiem w szczegółowe spory filologiczne, skoro sam Wojciech Gutowski przyznaje, iż chodzi wyłącznie o „ustalenie bardziej prawdopodobne"?

5. Nie wiem, na czym polega ironiczna uwaga dotycząca „edycji" poezji i prozy Micińskiego dokonanej jakoby przez Kazimierza Wykę. Nie pisałem o e d y c j i (to łatwo sprawdzić – wystarczy zajrzeć do tekstu). Kazimierz Wyka jest autorem wstępu do powojennego wydania „W mroku gwiazd". Wzorową edycję dramatów przygotowaną przez Teresę Wróblewską istotnie pominąłem – pisałem o recepcji, inscenizacjach teatralnych, właśnie ta kwestia wydała mi się szczególnie ważna.

6. Sprawa apologezy Micińskiego, Brzozowski i jego następcy. Rzeczowe, sumienne, odkrywcze studia Edwarda Balcerzana i Marii Podrazy-Kwiatkowskiej wyjaśniają wiele nieporozumień narosłych wokół recepcji Micińskiego. Czy są to studia o charakterze apologetycznym? Tak je określiłem. Apologia to wszak obrona autora przed zarzutami przeciwników, a nie – bezkrytyczne oznajmianie wiary. Nie widzę w tym nic niestosownego. Żaden to „komplement". Prędzej dowód „intelektualnego powinowactwa" w ocenie dorobku Micińskiego.

7. Nie gromadziłem wiedzy o Micińskim „pośpiesznie", nie czerpałem jej z „mało wiarygodnych źródeł". Być może głównym moim błędem było pominięcie w „bibliografii wybranej" znakomitej książki Wojciecha Gutowskiego: „W poszukiwaniu życia nowego. Mit a światopogląd w twórczości Tadeusza Micińskiego" (Warszawa – Poznań – Toruń 1980). Błąd ten niniejszym naprawiam.

8. Kwestia „ekspresjonizmu" i „nadrealizmu". Nie popełniłem uchybienia chronologicznego zarówno w tym, jak i w poprzednim artykule. Miciński istotnie „wprowadził do p o l s k i e j poezji założenia europejskiego ekspresjonizmu". Czy był pre-ekspresjonistą? Oczywiście. Przecież pisałem: „sięgał w stronę ekspresjonizmu i nadrealizmu, p r z e c z u w a ł bądź z a p o w i a d a ł kierunki, które miały dopiero nadejść". I dalej: (...) w poezji został p a t r o n e m ekspresjonistycznego „Zdroju". Można jaśniej, dokładniej, sumienniej? Mój przeciwnik wybrał sobie z tekstu odpowiedni fragment, odczytując z niego to, co wydało mu się istotne. Cóż, zdarza się.

9. Z podważaniem wartości informacyjnej sądu „wydobył ekspresję losów ludzkich za pomocą metafor, symboli" trudno polemizować. Skierowałem uwagę czytelnika w stronę poetyki symbolizmu. Moje sformułowanie zostało poparte konkretnym przykładem – tekstem Micińskiego zamieszczonym na „pożółkłych kartkach". Jest to o wiele więcej, aniżeli ogólnikowe określenie gustów i tendencji epoki.

10. Podtrzymuję opinię, że „najciekawsza, wciąż aktualna jest filozoficzna problematyka literackich wystąpień (Micińskiego)". Wyjaśnieniu tej kwestii poświęciłem dwa, kolejne akapity szkicu. Zastanawiałem się istotnie nad wprowadzeniem bardziej szczegółowych odwołań do tekstu Czesława Latawca, ale słownik nie powinien być zbiorem cytatów, raczej zachęcać do bardziej samodzielnych studiów.. Nie wiem doprawdy na czym polegają moje „dziwności interpretacyjne" (chodzi o manicheizm, mesjanizm, panslawizm). Przecież pisałem: „Miciński pojmował (...) świat w duchu koncepcji manichejskich jako walkę dobra ze złem, a koncepcje te łączył z wątkami mesjanicznymi i panslawicznymi tworząc wizję na miarę „Króla ducha" Juliusza Słowackiego, swego l i t e r a c k i e g o p a t r o n a''. To mało? Jakaż to „deformacja"? I dlaczego znów polemista przykrawa mój tekst tak, aby odpowiadał jego wizji świata?

11. Jest tak i tak: „Autor »Nietoty« zapożycza się u Nietzschego, sięga do teorii okultystycznych". W jednym zdaniu zawarłem dwie informacje: obie – jak sądzę – prawdziwe. Być może, zabrakło średnika, znaku interpunkcyjnego, bardziej zdecydowanie oddzielającego oba stwierdzenia. To tyle. Ironia wydaje się nie na miejscu.

12. I kwestia najważniejsza. Pojmowanie „fantastyki". Nie indentyfikuję fantastyki z wyobraźnią. Założenia słownika przedstawiłem w pierwszym numerze miesięcznika. Na ogół pozostaję wierny tej oto definicji: „Fantastyka to typ twórczości literackiej, w sposób swoisty budujący świat przedstawiony: składają się nań elementy, które nie odpowiadają przyjętym w danej kulturze kryteriom rzeczywistości" (definicja pochodzi z PWN-owskiego „Słownika terminów literackich").

13. Trzy warianty spotkania między fantastyką a wyobraźnią uważam za interesujące, ale dobór przykładów zupełnie do mnie nie przemawia. Jest tendencyjny, arbitralny, opiera się na magii nazwisk. Nie sądzę, aby „twórczość Lema była zjawiskiem zupełnie wyjątkowym i uwypuklała myślową miałkość oraz imaginacyjną kiczowatość polskiej science fiction". Jest to fantastyka stawiająca sobie inne zadania, cele, rozpoznania. Co więcej, Stanisław Lem w swoich ostatnich utworach („Biblioteka XXI wieku", „Wizja lokalna") zdaje się powtarzać wcześniejsze diagnozy kulturowe – natomiast młodzi twórcy (wymienię choćby Oramusa i Żwikiewicza) diagnoz tych dopiero poszukują, dopasowują różne klucze do opisu świata, przy czym literacka poprawność ich tekstów bynajmniej nie zatrważa. Pisałem o tym sporo na łamach „Życia Literackiego" (1983/115) „Pisma L-A" (1984/12), „Przeglądu Humanistycznego" (1979/10), „Miesięcznika Literackiego" (1985/12). Przepraszam, że w ten sposób odpowiadam na niezwykle istotną kwestię. Nie jest to ucieczka, lecz konieczność. To, co publikuję na łamach „Fantastyki" jest nikłym ułamkiem moich wypowiedzi. Najbardziej boli posądzenie o manipulacje, dorabianie genealogii. Nie dorabiałem żadnej genealogii. Opisywałem i opisuję zawsze pewien stan rzeczy. Wydobywam z zapomnienia nazwiska autorów małego i średniego formatu. Staram się pisać i n a c z e j o twórcach cenionych i uzna-

nych. Cieszy mnie, jeśli znajduję w historii literatury polskiej utwory prekursorskie wobec ustaleń współczesnej science fiction, bo i cóż w tym dziwnego, że „elementy XX-wiecznej konwencji" można dostrzec w prozie XIX a nawet XVIII stulecia? Nie jest to jednak fantastyka naukowa w ścisłym tego słowa znaczeniu – nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek określił w ten sposób twórczość Adama Mickiewicza czy... Cypriana Kamila Norwida.

Nieprawdą jest, że teksty prezentowane na „pożółkłych kartkach" odbiegają poziomem artystycznym od prozy publikowanej w dziale polskim. Jest to uogólnienie wysokiego lotu: pożółkłe kartki rejestrują wyłącznie styl autora, a autorów „fantastyki" mieliśmy różnych, także grafomanów. Cóż ciekawego można powiedzieć o literackich wartościach tekstów Barszczewskiego, Czyżowskiego, Niezabitowskiego (to tylko kilka przykładów)? Drażnią te „złoża grafomanii" przypisywane działowi polskiemu w „Fantastyce" – jakoś niezręcznie redaktorowi pisma na te zarzuty odpowiadać. Może tylko tak, że przez pięć lat istnienia „Fantastyki" zaproponowaliśmy czytelnikom wielopostaciowe modele literatury SF, że tę nową prozę przyszło nierzadko tworzyć od podstaw, że miesięcznik był swego rodzaju awangardą nowych kierunków, tendencji, stylów, że w SF – jak i w całej literaturze – liczą się nie dokonania szeregowych wyrobników pióra (takich wielu i w innych miesięcznikach), lecz kilkadziesiąt tekstów, które po latach ocalą swoją tożsamość. Może udało się nam zaproponować kilka takich tekstów w konkursowej antologii „Trzecia brama" opublikowanej nakładem „Wydawnictwa Literackiego". Nie wiem – zbyt wcześnie, aby wydawać w miarę jednoznaczne opinie.

14. I wreszcie: trzecie spotkanie fantastyki z wyobraźnią. „Prześledzenie zmian, jakim podlegają klasyczne toposy i romantyczne fantazmaty w ujęciu współczesnych fantazjotwórców". Przyznam się szczerze, że takiego zadania sobie nie stawiam. Słownik nie jest aż t a k pomyślany. Ma rączej popularyzować, przypominać, proponować pierwsze, nieśmiałe oceny dorobku autora (to przy literaturze współczesnej). Pełni funkcję informatora krytycznego, daleko mu do syntez historyczno-literackich. Autor polemiki jest specjalistą w wybranej przez siebie dziedzinie – doskonałym znawcą twórczości Micińskiego. Ja z ogromnym trudem zbieram materiał do prezentacji setek nazwisk, autorów różnych epok. Praca to benedyktyńska, przyzwalająca – jak sądzę – na pewien stopień ogólności. To, czego żąda pan Gutowski byłoby nadto zaprzeczeniem popularyzacji, postępowało w kierunku specjalistycznej syntezy naukowej i „przeciętni" czytelnicy wspomnianym faktem byliby mocno oburzeni.

I wreszcie sprawa ostatnia. Nie zawierzam nigdy „magii tytułu" przy prezentowaniu" pożółkłych kartek". W przypadku Micińskiego zależało mi na przypomnieniu fragmentów „Mené-Mené", ponieważ był to tekst opublikowany w pierwszym i ostatnim tomie „Pism pośmiertnych" pod red. Artura Górskiego i Czesława Latawca, na którego wstęp powołałem się w moim słowniku. Z pełnym przekonaniem zrezygnowałem zatem z wprowadzenia fantastyki „w węższym znaczeniu". Nie dorabiałem do tekstu Micińskiego fantastycznych interpretacji – wystarczy zajrzeć do, przywoływanego w bibliografii, studium Marii Podrazy-Kwiatkowskiej, aby przekonać się, że korzystałem z inspiracji w studium.

O tym, że Miciński był jednym z najbardziej oryginalnych autorów przełomu XIX i XX wieku starałem się napisać. Ale z polemiki Wojciecha Gutowskiego wynika nadto, że był autorem wybitnym. Trudno z tym twierdzeniem polemizować. De gustibus non est disputandum. Ale mimo wszystko doradzałbym ostrożność. Jak to brzmiało? „Był autorem kontrowersyjnym"? No, właśnie. ■

1978 (ciąg dalszy)

1293. KURTZ Carmen: *Oskar w laboratorium.* Tłum. [z hiszp.] Piotr Niklewicz. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 211, nlb. 5. 30 000 egz. – CJSF/F.
1294. PETECKI Bohdan: *Prosto w gwiazdy.* Katowice. Wyd. Śląsk. 16° ss. 250, nlb. 2. 30 000 egz.
1295. TOMASZEWSKA Marta: *Porwanie.* Wyd. II. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 56, nlb. 4. 60 000 egz.
1296. WOJTYSZKO Maciej: *Synteza.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 161, nlb. 6. 20 000 egz. – CJSF/ASF.

Utopia (U):

1297. BEEKMAN Aimée: *Katarynka.* Tłum. [z estońskiego] Witold Dąbrowski. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 230, nlb. 2. 10 000 egz. – Klub Interesującej Książki.
1298. BRATNY Roman: *Radość nagrobków.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 236, nlb. 4. 20 000 egz. – Elementy fantast.
1299. BRITTO GARCIA Luis: *Prosto w twarz.* Tłum. [z hiszp.] Anna Grodzicka. Posłowie Henryk Czubała. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 187, nlb. 1. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska. – Większość opowiadań fantast. – U/AF.
1300. BRYLL Ernest: *Doświadczyński, czyli Sarnacka śpiewogra o szczęściu Nipuanów.* [sztuka]. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 83, nlb. 1. 10 000 egz. – U/ASF.
1301. IWANICKI Eugeniusz: *Miałem dobrego pana.* Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 16° podł. ss. 63, nlb. 2. 1000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.
1302. MROŻEK Sławomir: *Wybór dramatów i opowiadań.* Wyd. II w tym zest. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 417, nlb. 2. 50 000 egz. – Kolekcja Polskiej Literatury Współczesnej. – Niektóre utwory fantast.
1303. PRZYPKOWSKI Andrzej: *„Palm City".* Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 322, nlb. 2. 30 000 egz. – C.d. poz. 1204/77.
1304. [SZEŚĆDZIESIĄT] *60 minut na godzinę.* Aut.: Maria Czubaszek [i in.]. Red. Marcin Wolski. Warszawa. Wydawnictwa Radia i Telewizji. 16° ss. 309, nlb. 3. 30 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.
1305. TRUCHANOWSKI Kazimierz: *Dzwony Piekieł.* Wyd. II Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 201, nlb. 3. 16 000 egz. – U/ASF.
1306. VERNE [Jules]: *Tajemnicza wyspa.* T. I–II. Tłum. [z franc.] Janina Karczmarewicz-Fedorowska. Wyd. XI. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° T. I ss. 409, nlb. 7; T. II ss. 393, nlb. 7. 50 000 egz. – Klasyka Młodych.
1307. ŻYLIŃSKA Jadwiga: *Gospoda samobójców.* Opowiadania. Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 187, nlb. 4. 20 000 egz.

Fantazja dla dorosłych (AF):

1308. AFANASJEW Jerzy: *Laboratorium.* Gdańsk. Wyd. Morskie. 16° ss. 117, nlb. 2. 10 000 egz.
1309. BĄDKOWSKI Lech: *Sny.* Opowiadania. Kraków. Wyd. Literackie. 16°ss. 89, nlb. 3. 10 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.
1310. BIOY CASARES Adolfo: *Sen o bohaterach.* Tłum. [z hiszp.] i posłowie Anna Jasińska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 183, nlb. 1. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska.
1311. BORGES Jorge Luis: *Opowiadania.* Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska [i in.]. Posłowie Rajmund Kalicki. Wyd. II [właśc. I w tym zest.]. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 380, nlb. 2. 20 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej. – Wybór z czterech zbiorów, m.in. „Alefa" i „Fikcji".
BRITTO GARCIA L.: *Prosto...* – zob. U.
1312. (?) BRZĘKOWSKI Jan: *Bury nr 138.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 121, nlb. 3. 5000 egz. – Elementy fantast.
1313. BUJAŃSKA Maria: *Paprochy.* Opowiadania. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 97, nlb. 3. 10 000 egz. – Większość opowiadań fantast.
1314. (?) COFINO Manuel: *Ostatnia kobieta, najdłuższa walka.* Tłum. [z hiszp.] Janina Konieczna-Twardzikowa. Posłowie Henryk Czubała. Kraków. Wydaw. Literackie. 16° ss. 233, nlb. 3. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska. – Elementy fantast.
1315. [COSTER Charles Theodore Heuri de]: *Legenda, jako też bohaterskie, wesołe i sławne przygody Dyla Sowizdrzała i Jagnuszka Poczciwca w krajach flamandzkich i gdzie indziej.* Tłum. [z franc.] Julian Rogoziński. Wstęp Romain Rolland – tłum. [z franc.] Barbara Szumańska-Grossowa. Posłowie Theum de Vries – tłum. [z flamandzkiego?] Czesław Przymusiński. Wyd. III. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 493, nlb. 3. 30 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Karol de Coster.
1316. [DOSTOEVSKIJ Fëdor]: *Łagodna.* Opowiadanie fantastyczne. Tłum. [z ros.] Gabriel Karski. Koment. Wanda Jesionowska. Wyd. IV. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 55, nlb. 1. 30 000 egz. – Biblioteka Lektur Szkolnych. – Na k. tyt. aut.: Fiodor Dostojewski.
1317. DRZEŻDŻON Jan: *Kraina Pałałonków.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 209, nlb. 5. 20 000 egz. – AF/CJF.
1318. ENDE Michael: *Momo, czyli Osobliwa historia o złodziejach czasu i o dziecku, które zwróciło ludziom skradziony im czas.* Tłum. [z niem.] Teresa Jętkiewicz. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 216, nlb. 4. 20 000 egz. – AF/CJF.
1319. (?) FRONCZEK Zbigniew Włodzimierz: *Tam, skąd pociągi odchodzą rzadko, a może wcale.* Lublin. Wyd. Lubelskie. 16° ss. 154, nlb. 2. 10 000 egz. – Elementy fantast.
1320. GRIN [właśc. GRINĚVSKIJ] [Alěksandr]: *Biegnąca po falach.* Tłum. [z ros.] Irena Piotrowska. Wyd. IV. Warszawa. Iskry. 8° ss. 281, nlb. 3, tabl. 1. 45 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Aleksander Grin. – AF/CJF.
1321. HAUFF Wilhelm: *Fantazja z piwnicy bremeńskiego ratusza. Przyjaciołom wina podarunek jesienny.* Tłum. [z niem.] Zbigniew Fonferko. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 47, nlb. 1. 20 000 egz. – Seria z Jednorożcem.
1322. JAWORSKI Roman: *Historje manjaków.* Wyd. I powoj., uzup. Posłowie Bogusława Chełminiak i Teresa Podoska. Przedmowa Michał Ołowiński. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 308, nlb. 4, tabl. 10, w tym portrety. 10 000 egz.
1323. KARINTHY Ferenc: *Noc Don Juana.* Tłum. [z węg.] Andrzej Sieroszewski. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 120, nlb. 3. 30 000 egz.
1324. MURDOCH Iris: *Jednorożec.* Tłum. [z ang.] i posłowie Juliusz Kydryński. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 238, nlb. 2. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy. – AF/W.
1325. PORTILLO Y PACHEDO José Lopez: *Quetzalcoatl.* Tłum. [z hiszp.] i koment. Danuta Rycerz. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 136, nlb. 4. 10 000 egz.

cdn.
Przygotował Jacek Izworski

NA KOLANACH

Co tu pisać z okazji wydania polskiego przekładu „Fundacji" Isaaca Asimova? Wypada paść na kolana i bijąc pokłony oddawać hołd autorowi, dziękować mu, że zezwolił na „złotówkową" publikację powieści i dziękować wydawcy, że wpadł na pomysł pokazania „Fundacji", że udało mu się wynegocjować z agentem literackim Asimova zezwolenie na druk. Cóż więcej? Zaglądam do jakiejś podręcznej historii SF, a tu ocena, że trzy tomy „Fundacji" to jeden z najlepszych na świecie cyklów powieściowych w obrębie SF, zaglądam do innych, a tam wszędzie Asimov i Asimov, i same pochwały. Ktoś bąknie, że mu się nie podoba jakaś nowela, ktoś się skrzywi półgębkiem, ale generalnie wszyscy z szacunkiem piszą o twórcy „trzech praw robotyki", o pisarzu, za sprawą którego SF doznała „objawienia" (to James Gunn), który to i tamto... No więc padłem na kolana i przeczytałem po raz kolejny pierwszą część „Fundacji", a potem rozpocząłem czekanie na „Fundation and Empire" oraz „Second Empire", nie śmiąc czekać na dalsze, te najnowsze tomy legendarnego cyklu.

Na kolanach czyta się niewygodnie, ale się czyta. Powieść jest istotnie świetna i fundamentalna, lecz też upływ lat zaszkodził jej co nieco. Oczywiście sama w sobie, jako utwór zamknięty i pełny, sprawdza się znakomicie, jednak w trakcie lektury należy chyba zapomnieć, że wokół niej i właściwie z niej, wyrósł las innych powieści, gąszcz propozycji sprawiających, iż „Fundacja" nie świeci już przy nich tak jasno, jakby nam świeciła kilkanaście lat temu. Ale też taki jest nasz los, tu na prowincji, w czasach kryzysu, kiedy i tak udaje się – mimo wszystko – nadrabiać niektóre zaległości wydawnicze i w ogóle kulturalne (a to wydrukujemy sobie Gombrowicza, a to Johnny Cash przyjedzie), a czasami nawet jesteśmy „w kursie" („Imię róży" Ecco już było do kupienia, nowy film Felliniego do obejrzenia). „Fundacja" u nas, w trzydzieści kilka lat po światowej premierze, nie jest więc powodem do dumy, ale do zadowolenia. Lepiej późno niż wcale...

Rozległa, rozciągnięta na wiele setek lat opowieść o losie osadników z planety Terminus, mimo swej złożoności nabiera pod piórem Asimova dynamiki i poszczególne jej wątki łączą się w logiczny sposób. To ważne, bo powieść nie posiada ciągłej narracji, ale pokazuje tylko fragmenty z dziejów Fundacji (tak bowiem ostatecznie nazwano cywilizację Terminusa). Fundacja zorganizowana pod pozorem stworzenia „Encyklopedii Galaktycznej" miała w istocie uratować co się da z cywilizacyjnego dorobku chylącego się ku upadkowi potężnego Imperium galaktycznego. Jego upadek (rozpad wewnętrzny) został przewidziany przez Hrabiego Seldona, twórcę nowej nauki: psychohistorii.

Cała ta opowieść o losie Fundacji jest jednocześnie niezwykle zajmującą opowieścią o tworzeniu się społeczeństw, o sprawowaniu władzy, o walce o nią, o rodzeniu się mitów religijnych i ich wykorzystywaniu dla celów politycznych. Chciałem napisać, że powieść Asimova jest powieścią o społeczeństwie, ale właściwie lepszym określeniem będzie, iż jest to powieść o mechanizmach historii i dopiero poprzez nie pokazuje ona dzieje społeczeństw. W tych socjologicznych zainteresowaniach nie był zresztą Asimov odosobniony na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Kiedy o przeszłości SF myślimy potocznie i szybko, wystarcza nam przekonanie, że były to czasy rozkwitu „twardej", „technologicznej" fantastyki zafascynowanej naukowo-technicznymi możliwościami cywilizacji ludzkiej. Tymczasem jednak przecież w 1949 roku ukazał się „1984" Orwella (niech mi bóg literatury odpuści takie bezpardonowe zaliczenie tej powieści do SF), w 1952 wydano „Pianolę" Vonneguta, też w dużym stopniu powieść „społeczną", dwa lata później Bradbury opublikował „451° Fahrenheita"... Coś się więc już wtedy działo pod tą maskującą wszystko skórą gatunku. I wszystkie wymienione powieści znaczą wiele właściwie nie tylko w obrębie SF, ale w ogóle w światowej literaturze. Może więc „Fundacja" była ogniwem większego, rozleglejszego procesu literackiego, który spokojnie sobie dojrzewał, nim, ujawnił się po upływie lat? Ale nie miejsce tu, w krótkim powitaniu polskiego przekładu ważnej powieści Asimova, na rozważanie tego. Po prostu: jest „Fundacja"; czekamy na kolejne tomy...

Leszek Bugajski

Isaac Asimov: *Fundacja*. Przełożył Andrzej Jankowski. Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 1987; Cena 220 zł.

PIERWSZY KROK W NIEZNANE

Niewesołe to, ale chyba i nieuniknione – pierwszy tom pięcioksięgu Isaaca Asimova, „Fundację", otrzymaliśmy do ręki w 1987 roku. Tom piąty, „Foundation and Earth" („Fundacja i Ziemia") ukazał się w USA z datą 1986 roku.

Łatwo dziś mówić źle o klasykach dawnej fantastyki naukowej, łatwo jest mówić źle o niej samej, rozważając kryzysy, preferencje czytelnicze, schyłki i zmierzchy. Łatwo jest głosować na fantasy, a jeszcze łatwiej ją polubić w przekonaniu, że bywa wystarczająco zła. Najtrudniej zaś przyznać się do ignorancji, do niewiedzy i do tego, że nie uda nam się wyjść poza jej granice. Historii fantastyki naukowej nie ma bez dwóch (dziś już połączonych w jeden) cyklów Asimova: „cesarskiego" i „robotowego". Nawet gdyby już niedługo udało nam się (jakimś cudem) je przeczytać, nie poznamy ich nigdy. Czas, w którym trzeba było powieści te czytać minął, interesują nas już inne problemy i dziś oglądamy „Fundację" jak koronacyjny klejnot, leżący w gablotce w zatłoczonym muzeum, którego świetność minęła wraz z królestwem.

O czwartym tomie cyklu cesarskiego pisałem w „Fantastyce" (nr 11/26/1984) opowiadając o podróży, którą rozpoczął polityk pierwszej Fundacji i o tym, jak zmuszony został do podjęcia decyzji przesądzającej o losach Planu Seldona, Cesarstwa i Całej Galaktyki. „Fundacja i Ziemia" jest bezpośrednią kontynuacją „Foundation's Edge" i rozpoczyna się na tajemniczej planecie Gai, której obywatele żyją w stałym „telepatycznym" związku z otaczającym ich środowiskiem: zwierzętami, roślinami a nawet skałami i minerałami, mającymi również swój udział w dzielonej powszechnie świadomości. Golan Trevize, bohater „Granicy Fundacji", wyrusza z Gai w podróż po Galaktyce w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie dlaczego, mocą jego decyzji, ona cała będzie musiała upodobnić się do niezwykłej planety, dlaczego – w niedalekiej przyszłości – ludzie zostaną zmuszeni do rezygnacji ze znanego im i przewidzianego przez Seldona kształtu Cesarstwa, by w zamian za to stać się częścią wielkiej, powszechnej nadświadomości. Odpowiedź znaleźć ma na mitycznej już w jego czasach planecie – kolebce ludzkości, która, według niektórych źródeł nazywa się Ziemia.

„Fundacja i Ziemia" jest gigantycznym freskiem, malującym bogactwo form cywilizacyjnych wykształconych w toku ludzkiej kolonizacji Wszechświata. Jest jednocześnie najbardziej klasycznym w całej serii dziełem SF, opartym na motywie podróży. Oprócz rozmachu, z jakim motyw ten został zrealizowany, trudno ją w myśl współczesnych kryteriów za coś więcej pochwalić: bohaterowie lecą na planetę, lądują na niej, oglądają i oceniają kulturę, z którą się zetknęli po czym startują i lecą dalej. Z ułamków otrzymanych po drodze wiadomości przepuszczonych przez telepatyczny komputer, rekonstruują wiedzę o Ziemi i w końcu potrafią już powiedzieć, w którym zakątku Kosmosu należy jej szukać. I jak ją można rozpoznać.

„Fundacja i Ziemia" nie obroniłaby się zapewne przed piórem surowego krytyka jako samodzielna powieść, jest natomiast doskonałym łącznikiem między czterema pierwszymi tomami a tomem szóstym, którego wolno się spodziewać w najbliższej przyszłości. W „Granicy Fundacji", o czym już pisałem, Asimov rozbudował świat Galaktyki, w „Fundacji i Ziemi" uczynił pierwszy krok przez granicę, wprowadzając motyw hipotetycznego na razie niebezpieczeństwa grożącego człowiekowi ze strony równie (na razie) hipotetycznych mieszkańców innych Galaktyk. Jest to „skok" nie tyle ilościowy, co jakościowy – od znanego nam, sympatycznego Daniela Olivaw, którego Golan Trevize spotyka na Księżycu martwej, radioaktywnej Ziemi, do miliardów rozciągających się poza tą Ziemią Galaktyk.

Polityk pierwszej Fundacji, obdarzony niezwykłą w skali Kosmosu umiejętnością wyciągania trafnych decyzji z niedostatecznej ilości przesłanek, podejmuje w końcu (tym razem z całym przekonaniem) decyzje o tym, że Galaktyka musi upodobnić się do Gai, że musi stać się jednym, pełnym organizmem, jedną całością. Użyje przy tym znaczącego argumentu: w ten jedyny sposób człowiek będzie mógł odeprzeć każdy atak spoza granic jego Wszechświata. Ze zręcznością autora doskonałych kryminałów, w ostatnim zdaniu powieści, Asimov zadaje pytanie: „A co, jeśli Obcy już są wśród nas?"

To dobre pytanie.

Na odpowiedź znów przyjdzie nam chyba poczekać przeszło trzydzieści lat.

Krzysztof Sokołowski

Isaac Asimov: *Foundation and Earth*. New York, 1986.

JESTEŚMY TYLKO GOŚĆMI WE WSZECHŚWIECIE

Gdy kupowałam „Delirium w Tharsys", trzecią z kolei wydaną powieść Wiktora Żwikiewicza, jakiś pan też sięgnął po egzemplarz, przeczytał umieszczoną na okładce notkę „biograficzną", popatrzył na mnie, odłożył książkę i wyszedł. Roześmiałam się wtedy. Dziś zastanawiam się, czy dla urzeczenia wiernych czytelników jeszcze jednym przyczynkiem do „Żwikiewicza wizji świata" rzeczywiście warto było ryzykować utratę czytelnika nowego, tym bardziej że twórczości autora „Drugiej jesieni", „Imago" oraz szeregu opowiadań, wydanych prawie w komplecie w serii „Stało się jutro", po prostu szkoda nie znać?

Proza Żwikiewicza budzi we mnie dwa sprzeczne uczucia: podziwu i zniecierpliwienia. Gdy po pierwszej lekturze, będącej hołdem składanym oryginalności słynnego już języka, przeglądam tekst po raz drugi, z jednakowym żalem stwierdzam, iż jest to „tylko" kolejny hologram na temat: człowiek i ewolucja.

Najnowszą wypowiedzią tego autora jest „Delirium w Tharsys", powieść zdecydowanie lepiej niż poprzednie przystosowana do potrzeb „połykającego" jeszcze fantastykę czytelnika. I choć nie brak w niej fragmentów refleksyjno-opisowych („podsłuchujemy" wtedy głównego bohatera – Megaloxanthę) i mądrych dialogów, większość tekstu wypełnia wartka akcja, oglądana co prawda, jak słusznie w swojej recenzji z „Imago" zauważa Andrzej Niewiadowski, w zwolnionym tempie. Niemniej jednak w licznych potyczkach, staczanych od 35 do 305 strony książki „trup („nasz" jakby trochę mniej niż „ich") ściele się gęsto", a mający wiele z supermana Megaloxantha z zasady dopiero w ostatniej chwili wychodzi cało z najróżniejszych opresji.

Czytanie Żwikiewicza to świetna zabawa. Oprócz efektownej, jak przystało na science fiction, organizującej cały tekst teorii, ma czytelnik do odkrycia liczne aluzje do toposów kulturowych i literackich, do konkretnych utworów, faktów historycznych, obiegowych opinii i teorii naukowych. Tylko jednostkowe doświadczenie decyduje, co zostanie dostrzeżone i jak zinterpretowane. Łatwo na przykład masochistycznie ucieszyć się, iż „Towarzystwo ludzi pociąga za sobą nieuchronną degradację nie tylko umysłu, lecz i całej postaci" lub rozzłościć z powodu „profanacji" pojęć Szerna czy Drzewa Kosmicznego. Można zastanawiać się, czy wędrówka Megaloxanthy przez korytarze Enklawy ma więcej wspólnego z wyprawą Dantego do piekła „po coś" czy Tezeusza do Labiryntu „przeciwko czemuś". I można też odczytywać tę powieść jako jeden ogromny, stoczony niegdyś na poziomie Wszechświata, dziś rozgrywany w społeczeństwie i we wnętrzu każdego człowieka, dialog pomiędzy, zdaniem psychoanalizy równie silnymi – pragnieniem życia i pragnieniem śmierci.

Grozą powiało. Ale optymizm Żwikiewicza dotyczy ewolucji i jej najnowszych osiągnięć, w żadnym zaś wypadku przejściowej formy człowieka. Nie bez powodu „tajemniczy starzec" (37 lat) za motto swej książki obrał słowa jedego z bohaterów: „Ten świat nie jest nasz, chociaż uparcie kroimy go na własny obraz i podobieństwo". Trochę to skomplikowane, ale z wywodów Biosfery i Megaloxanthy wynika, iż my, ludzie, jesteśmy ostatnim, najdrobniejszym bytem, posiadającym jaźń i próbującym pogodzić fizyczność z duchowością, i jednocześnie pierwszym spośród zwierząt, zdolnym, chociaż tylko jako katalizator, wziąć udział w tworzeniu prawdziwego wolnego i wiecznego Szerna. Sporo w tej konstrukcji osobliwego heglizmu i pojęć typowych raczej dla kultury hinduskiej, ale tego typu koncepcja zwykle lepiej jest przyjmowana w ramach fantastyki naukowej niż w literaturze „w ogóle".

Zaskoczyły mnie i zaintrygowały w „Delirium..." dwie rzeczy. Przede wszystkim czy po przeprowadzeniu autentycznej deifikacji Biosfery można na temat ewolucji stworzyć coś więcej? Mnie wyobraźni starcza tylko na, podobne do „Głosu Pana", exposé Życia – Absolutu. Na szczęście jest to zmartwienie Żwikiewicza, a od niego można wszystkiego oczekiwać.

Drugim zaskoczeniem było wprowadzenie, nietypowego przecież dla twórcy „Delirium...", wykładu, w którym dokonuje się interpretacji i przynajmniej pozornego, rozwiązania fantastyczno-naukowej zagadki. Dotychczasowe osiągnięcia Żwikiewicza (grono wielbicieli, liczne nagrody, uznanie krytyków) pozwalają stwierdzić, że to z pewnością nie brak odwagi ani umiejętności kazały pisarzowi zrezygnować z chwalebnego zwyczaju zmuszania czytelnika do uważnej analizy tekstu i do myślenia. Może być to oczywiście ustępstwem na rzecz mniej wymagającego odbiorcy, lecz może być także próbą napisania żwikiewiczowskiej, zgodnie z postulatami zawartymi w metaliterackiej warstwie „Drugiej jesieni", wersji, znakomitego zresztą, „Robota" Wiśniewskiego-Snerga. Jeśliby było tak rzeczywiście, bylibyśmy świadkami wytoczenia naprawdę potężnego działa.

A na razie pozostaje nam tylko czekanie na następny tom prozy Żwikiewicza. Rozpoczęliśmy już dzielne podtruwanie Biosfery, rozbiliśmy twarz Kamiennego Szerna, mamy pewne osiągnięcia w inżynierii genetycznej i produkcji fajerwerków. I z Bydgoszczy do Tharsys, leżącego przecież na Ziemi – niedaleko.

Magdalena Szmit

Wiktor Żwikiewicz: *Delirium w Tharsys*. Pomorze, Bydgoszcz 1986. Cena 350 zł.

DZIEWCZYNA W SPODNIACH!

Raz jeden spróbowałem napisać na tych łamach o fantastyce kobiecej, niezbyt podobno fortunnie. Recenzja zbiorku opowiadań Gabrieli Górskiej „Węzeł" spotkała się nie tylko z ostrą repliką autorki. Znani mi czytelnicy, zgadzając się z merytoryczną oceną tomiku, też mieli do mnie pretensje o bolesność sformułowań i nagłość ataku. Czemu się czepiasz kobiety? – pytali.

Sam się zastanawiam. Teraz po trzech latach widzę, że w książce Górskiej zirytowały mnie głównie uniki i zmiękczenia, a tym samym zmarnowana okazja. Wzięła Górska na warsztat trudny problem swobód twórczych oraz przeszkód, jakie pisarz spotyka również w sobie samym, lecz zaklęła to wszystko w kształt fabularny niezbyt satysfakcjonujący. Nie pokazała co w owej kwestii (i po stronie autorów, i zwłaszcza otaczającego ich świata kontrolerów słowa) jest najbardziej drastyczne, wynaturzone, przerażające. Zamiast tego pozwoliła sobie na złośliwości pod adresem komiksów. No i stało się – wybuchłem! – pardon, rzeczywiście ponad miarę.

Wracajmy do drastyczności. Kobiety, a w każdym razie większość kobiet, nie mają ręki do obrazów okrutnych, do wizji odrażających, do precyzyjnego śledzenia jednostkowych i systemowych diabolizmów. Kobiety nie gustują w horrorze, trudno sobie wyobrazić Orwella w spódnicy. Naturalna skłonność popycha kobiety raczej ku obronie niż ku atakowi, raczej ku afirmacji cnót miłosierdzia niż demaskowania nienawiści, raczej ku manifestowaniu indywidualnego cierpienia niż do tworzenia planów całościowego przeciwstawienia się złu czy przemocy. Dotyczy to na pewno autorów polskich, taki jest klimat polskiej kultury, która nie przerobiła szkoły agresywnego feminizmu, znanej choćby pisarkom amerykańskim.

Liryczne, malarskie, poetyckie i kruche jest np. prezentowane na tych łamach pisarstwo Zofii Beszczyńskiej. Podobnie rzecz się ma ze znanymi ze zbiorków Naszej Księgarni opowiadaniami Małgorzaty Kondas czy Górskiej. Nawet Julia Nidecka, autorka „Wilków na wyspie" (jednego z pierwszych tekstów zapowiadającego już w latach siedemdziesiątych falę polskiej fantastyki politycznej) pisała swe demaskatorskie opowiadanie z pozycji słabej dziewczynki. Toteż zawierało ono, podobnie jak inne opowiadania z jej tomiku „Goniący za słońcem", dużo tej miękkości i delikatności, której oczekujemy od kobiet.

Na tym tle Emma Popik i jej debiutancki tomik „Tylko Ziemia" zaskakują konsekwentną czarną atmosferą, bardzo chwilami wyszukanym okrucieństwem wizji i wyczuwalną agresywnością. W towarzystwie naszych pań, Emma Popik wygląda na jedyną autorkę chodzącą, za przeproszeniem, w portkach na co dzień i od święta. Buduje charakterystyczne własne wizje, zdecydowanym piórem opisuje światy po kataklizmie, bądź naprawdę egzotyczne zaświaty, miewa wyraziste pomysły, klarowny język, nieźle operuje nastrojem. Jej opowiadania jak „Mistrz", „Nadejście Fortynbrasa", „Myto", „Szaman" (niektóre z nich znamy z łamów „Fantastyki") robią silne wrażenie, czuje się w nich zaciekłość i zdecydowanie. Jest to proza, którą chce się czytać.

Światy przedstawione przez Popik ujmują pewną totalnością i kompletnością. Autorka nie unika nieprzyjemnych sytuacji, nie wykręca się z nich pisarskimi eufemizmami, doprowadza sytuację do krańca. Czy opowiada o nieudanej wyprawie do gwiazd, czy o ogłupiających teleturniejo-serialach, czy o podróży do fantomatycznej krainy, która zwraca nam nasze małe marzenia, czy o krachu kapłana-maga, czy o parze dogorywającej na piętrze wieżowca w świecie po atomowym kataklizmie, czy o zdziczałych dzieciach – ludojadach – jej opowiadania nie sprowadzają się do zręcznie opowiedzianej historyjki. Spełniają się także poza nią w oryginalnej atmosferze, w pisarskim transie, w demaskacji pokrętnej ludzkiej małości połączonej z dużymi tęsknotami, w tym szczególnym zadowoleniu, jakiego dostarcza rzecz niechby ponura, ale konsekwentna i dobrze zrobiona.

Jednocześnie klimat, konstrukcja, narracja tych opowiadań nie całkiem odstają od zarysowanych wcześniej cech pisarstwa kobiet. Tyle że do kobiecej wrażliwości i do poetyckiej narracji, do babskiego odruchu stawania po stronie przegranych i pokrzywdzonych dodaje Popik odwagę patrzenia okrutnym rzeczywistościom prosto w oczy. Przywykliśmy nazywać tę cechę męską – cholera wie, czy jest właśnie taką?

Opowiadania Popik zaskakują. Poetyckość łączy się w nich z fabularną bezwzględnością. Kruchość z twardością. Jest Popik gdańszczanką, w cywilu nauczycielką języka angielskiego... Może to właśnie krzyżowanie się polskiego doświadczenia i szczególnego pisarskiego temperamentu z wpływami anglosaskimi dało w wyniku tę prozę, bardzo własną, oryginalną, w której zdają się jednak pobrzmiewać słabe echa tego co najlepsze u Ursuli Le Guin, Bradbury'ego czy może Woolfa?

Maciej Parowski

Emma Popik: *Tylko Ziemia*. Seria „Fantastyka. Przygoda". Iskry, Warszawa 1986. Cena 160 zł.

„Dwudziestego drugiego dnia siódmego Księżyca pierwszego roku okresu Szi-Ho, uczony Jang Wej-te powiedział: Chylę ku Ziemi swą osobę – oto dostrzegłem w gwiazdozbiorze Twen-Kwan pojawienie się gwiazdy-gościa. Była ona barwy lekko różowej..."
W starej kronice Sung Han-Jao tak właśnie naczelny astronom Cesarstwa Chin, Jang Wej-te, zapisał był dziwne zjawisko: na niebie pojawiła się nagle nowa, niezwykle jasna gwiazda, doskonale widoczna nawet w dzień. Nie zauważyli jej Europejczycy, zajęci wtedy sporami pomiędzy Bizancjum a Rzymem, rozłamem między Wschodem a Zachodem. Był rok 1054 i dokonywała się ostatecznie Wielka Schizma. Na ziemi polskiej panował wtedy Kazimierz Odnowiciel, któremu udało się właśnie odzyskać Śląsk.

Z tamtej strony lustra

GOŚĆ W OBŁOKU MAGELLANA

Maciej Iłowiecki

Chińczycy ucieszyli się z nowej gwiazdy – miała zwiastować cesarstwu szczyt potęgi. Nie była zresztą pierwszą tego rodzaju niezwykłością – najstarsze kroniki notowały już podobne zjawiska. Ciekawe, że nową gwiazdę w 1054 r. dostrzegli też Indianie północnoamerykańscy z plemienia Nawaho i wieść o tym niezwykłym wydarzeniu przetrwała w legendach ich plemienia.

Nowa gwiazda znikła po pewnym czasie i fakt ten zapewnę musiał jeszcze bardziej zdumieć chińskich astronomów. Przestała być widoczna w dzień po 23 dobach, a po dwóch latach, w 1056 r., nikt już nie mógł jej dostrzec nawet nocą. Chińczycy (ani Indianie, ani Arabowie, którzy także zanotowali pojawienie się nowej gwiazdy) nie wiedzieli – nie mogli wtedy wiedzieć – skąd wziął się nagle na niebie jasno świecący punkt i dlaczego potem zbladł i zniknął bez śladu.

Minęło prawie dziewięć stuleci, zanim astronomowie pojęli, że nowe ciało niebieskie nie znikło jednak bez śladu. Pozostawiło po sobie tajemniczy, gigantyczny obłok rozrzedzonej materii, nazywany w XIX wieku Mgławicą Kraba (bo pierwszemu obserwatorowi obłok przypominał kraba – w istocie ma kształt okrągłego tułowia z dwoma niby szczypcami). Minęło jeszcze trochę lat i dopiero w naszym stuleciu zorientowano się, że świetlisty rozbłysk z 1054 r. oznaczał rzadkie we Wszechświecie zjawisko: niewiarygodnie silny wybuch gwiazdy i nagłą jej przemianę. Coś takiego dostrzeżono znowu w 1572 r. – nową gwiazdę obserwował i opisał duński astronom Tycho de Brahe. Niedługo potem pojawienie się kolejnej nowej gwiazdy dostrzegł w 1604 r. Johannes Kepler. Swoją drogą, cóż za zbieg okoliczności: od czasów kroniki chińskiej tajemniczy wybuch w naszej Galaktyce powtórzył się po pięciu wiekach, ale za to w ciągu krótkiego okresu 32 lat nastąpiły w różnych miejscach nieba aż dwa wybuchy i w dodatku mogli je obserwować najwięksi astronomowie tamtych czasów!

W 1934 r. znani astronomowie amerykańscy Baade i Zwicky zaproponowali, by najsilniej wybuchające gwiazdy, po których pozostają mgławice, nazwać SUPERNOWYMI. Miał to być szczególny rodzaj gwiazd nowych, także pojawiających się znienacka i wielokrotnie opisywanych przez obserwatorów nieba od czasów najdawniejszych. Jednak zwykłe „nowe" mają dużo mniejszą jasność, dziś już wiadomo, że są efektem, rzec można „normalnego" wybuchu gwiazdy, wynikiem toczących się w jej wnętrzu procesów jądrowych. Wybuchająca gwiazda odrzuca zewnętrzną powłokę, powiększa się, nagle jaśnieje. Trwa to pewien czas i wkrótce gwiazda wraca do stanu poprzedniego; wybuch może się zresztą powtórzyć. Gwiazdy nowe nie są rzadkością i co roku odkrywa się w naszej Galaktyce kilka takich wybuchów. Jednak wybuch supernowej nie ma porównania z wybuchem nowej – blask gwiazdy zwiększa się nagle co najmniej 100 milionów razy, gwiazda supernowa może zaświecić m i l i a r d razy jaśniej, niż Słońce. Jest to bodaj jedna z najpotężniejszych katastrof w skali Wszechświata i może najbardziej tajemniczych; w każdej galaktyce, składającej się z miliardów gwiazd supernowa wybucha raz na kilkaset lat (w skali trwania galaktyk jest to oczywiście niesłychanie często, ale w skali ludzkiego życia – bardzo rzadko). Dopiero od niedawna zaczęto poszukiwania supernowych. „Patrolując systematycznie wieleset galaktyk każdego roku można oczekiwać (o ile się nie przeoczy!) zaobserwowania jednej lub dwóch supernowych. Trudność polega na tym, że absolutnie nie wiadomo w której galaktyce nastąpi wybuch" – napisał radziecki astronom Josip Szkłowski (w swej słynnej książce „Życie gwiazd", Wiedza Powszechna, 1982). Od kilkudziesięciu lat wszyscy badacze Kosmosu marzą o tym, by supernowa teraz właśnie pokazała się w naszej Drodze Mlecznej, albo chociaż w jej pobliżu. Przy dzisiejszych możliwościach technicznych nauki można by dokonać zupełnie niezwykłych badań, wydrzeć supernowej większość tajemnic, odpowiedzieć na pytania, na które wciąż nie ma odpowiedzi.

I oto w nocy z 23 na 24 lutego 1987 r. w Wielkim Obłoku Magellana pojawiła się niezmiernie jasna gwiazda, wyraźnie od tej chwili widoczna gołym okiem na południowej półkuli Ziemi. Jest to najbliższa i najjaśniejsza SUPERNOWA, jaka narodziła się w ciągu ostatnich 400 lat, od czasu tamtej z 1604 r., którą z podziwem obserwował Kepler.

Tysiące gigantycznych teleskopów nieustannie obserwuje niebo, ale supernową naszej epoki dostrzegł pierwszy Kanadyjczyk Ian Shelton przez wcale nie największy teleskop w obserwatorium Las Campanas w Chile. W dwie godziny po nim nowe „światło niebieskie" zobaczył pewien amator z Australii, Albert Jones, obserwujący akurat Obłoki Magellana. Potem zaczęła się już lawina obserwacji i teraz supernowa „1987 A" (tak ją skromnie nazwano) jest bodaj najbardziej z Ziemi obserwowanym obiektem kosmicznym.

Obłoki Magellana są to dwie galaktyki, najbliższe Drogi Mlecznej (czyli naszej Galaktyki). Na półkuli południowej można je oglądać nawet gołym okiem; należą do tzw. lokalnej grupy galaktyk, są jakby galaktycznymi satelitami Drogi Mlecznej. Zauważył je i opisał jako mgliste, świetliste obłoki wielki żeglarz Ferdynand Magellan w czasie pierwszej podróży dookoła Ziemi na początku XVI wieku. W tamtej epoce nie wiedziano oczywiście, że są to galaktyki – skupiska olbrzymiej liczby gwiazd. Wielki Obłok Magellana odległy jest od nas o ponad 160 tysięcy lat świetlnych, Mały Obłok – około 175 tysięcy. Jak na rozmiary pustki między galaktykami jest to... bardzo blisko, choć naszej wyobraźni nie staje, by wyobrazić sobie taką odległość. Rok świetlny jest miarą drogi, którą światło, pędzące 300 tysięcy kilometrów na sekundę przebywa w ciągu 31 557 000 sekund, czyli właśnie w ciągu roku... Wynosi to 9 460 000 000 000 kilometrów, dla uproszczenia powiedzmy, że 9 i pół b i l i o n a kilometrów (bilion = 10^{12}). Otóż kilka lat świetlnych jest typową odległością między sąsiednimi gwiazdami – na przykład najbliższa nam gwiazda, Proxima Centauri, znajduje się w odległości 40 bilionów kilometrów od Słońca, promień światła przebywa tę drogę ponad 4 lata... Odkryta w lutym 1987 r. w galaktyce satelitarnej zwanej Wielkim Obłokiem Magellana supernowa „1987 A" znajduje się od nas w odległości około 163 tysięcy lat świetlnych – stanowi to zatem ponad półtora tryliona kilometrów (trylion = 10^{18} = 1 000 000 000 000 000 000). No cóż, spróbujemy sobie wyobrazić taką odległość! Powtórzę: wobec „normalnych" odległości międzygalaktycznych to prawie nic...

Ale lata świetlne są przecież jednocześnie miarą czasu, światło (w ogóle fale elektromagnetyczne) supernowej „1987 A" pędziło do nas przez 163 tysiące lat. Nocą z 23 na 24 lutego 1987 roku ludzie zobaczyli gigantyczny wybuch, który nastąpił przed 163 tysiącami lat, w czasach, kiedy na planecie zwanej Ziemią trwały początki młodszej epoki kamiennej, zaś neandertalczycy zaczynali pojmować własną skończoność w czasie. Dużo jeszcze musiało minąć lat, zanim człowiek nauczył się spoglądać na niebo nie tylko ze strachem, ale i z ciekawością.

Jest to swoją drogą zdumiewające: właśnie teraz widać wydarzenie, które nastąpiło 163 tysiące lat temu, w prapoczątkach naszej cywilizacji. Widziana dzisiaj supernowa ma w rzeczywistości już na pewno inną postać, nie jest supernową,

jest czymś innym, być może nieprawdopodobnie ciężką, maleńką i ciemną gwiazdą neutronową, może zaś czarną dziurą, pułapką przestrzeni, której NIC opuścić nie może, cokolwiek by tam wpadło.

Supernowa „1987 A" wysyła więcej światła (może lepiej: wysłała przed 163 tysiącami lat), niż cała jej rodzinna galaktyka, złożona z miliardów gwiazd. Jest 6 razy jaśniejsza, niż wszystkie dotąd widziane supernowe.

O supernowych nie wiadomo zbyt wiele. Wiadomo, iż są etapem ewolucji niektórych gwiazd. W 1969 r. przedstawiono hipotezę, którą zdają się wciąż potwierdzać mozolnie zdobywane informacje o fizyce gwiazd.

Otóż (podaję naturalnie opis bardzo uproszczony) gwiazdy żyją zwykle tyle czasu, ile trwają w ich wnętrzu reakcje termonuklearne, przemieniające pierwiastki lekkie (od wodoru poczynając, który niewątpliwie jest tworzywem Wszechświata) w cięższe. Na ogół w takich procesach powstaje żelazo (zwane dlatego „żużlem gwiazd"), gwiazda kurczy się, ochładza i w końcu – też na pewien czas tylko – pozostaje małą kulką (porównywalną z maleńką przecież Ziemią), tzw. białym karłem. W pewnych okolicznościach procesy te przebiegają inaczej – wówczas gwiazda może rosnąć i stać się z kolei czerwonym olbrzymem – ale nie jest moim zamiarem opisywanie teraz „zwykłej" ewolucji gwiazd. Chodzi o ewolucję „niezwykłą", o pojawienie się supernowych (powstają ich dwa rodzaje, ale mniejsza o rodzaje).

Zatem niektóre gwiazdy, kilka razy większe od Słońca, w pewnym okresie swej ewolucji produkują więcej energii, niż są w stanie wypromieniować (takie jest założenie, tłumaczące narodziny supernowej, oczywiście nie mówimy tu o szczegółach). Temperatura jądra takiej gwiazdy rośnie, rośnie także gigantyczne ciśnienie. Zachodzą kolejne reakcje przemian pierwiastków – w końcu, w jednej chwili następuje eksplozja, jakiej nie ma równych we Wszechświecie. We wszystkie strony rozbiegają się, z szybkością bliską światła – strumienie różnych cząsteczek. Dotrą one potem do Ziemi w postaci promieniowania kosmicznego. Fala uderzeniowa rozprzestrzeni się na wiele parseków (parsek = 3,26 lat świetlnych). Gwiazda zaczyna jaśnieć jak miliard Słońc, rozrzedzone strugi materii rozszerzają się nagle w mgławicowy obłok. W ciągu paru dni taka wybuchająca gwiazda może przekroczyć rozmiary całego naszego Układu Słonecznego, zaś energia wypromieniowywana przez nią w ciągu sekund sięga co najmniej 10^{48} – 10^{49} ergów (dla porównania: zwykła gwiazda, jaką jest nasze Słońce, wypromieniowuje 10^{46} ergów w ciągu 100 tysięcy lat...). Obłok materii wokół wybuchającej gwiazdy supernowej rozszerza się z ogromną prędkością – na przykład pozostałość po wybuchu z 1054 r., słynna Mgławica Krab, rozszerza się z prędkością 1300 km/sek. i trwa to już ponad 900 lat, będzie jeszcze trwało długo, aż w końcu pozostałości po tamtej gwieździe rozpłyną się w niezmierzonych przestrzeniach kosmicznych.

Z resztek supernowej powstaje najpewniej gwiazda neutronowa, przypominająca jakby jedno gigantyczne jądro atomowe. Jej gęstość jest nieprawdopodobna – taką gęstość miałoby Słońce, gdyby je ścisnąć w kulę o promieniu 10 kilometrów. 1 centymetr sześcienny materii gwiazdy neutronowej ważyłby na Ziemi... miliard ton! Gwiazdy neutronowe wysyłają stale okresowe sygnały radiowe – dlatego nazwano je pulsarami (dawniej myślano, że pulsary są innym rodzajem obiektów kosmicznych) – i taki właśnie pulsar znajduje się w Mgławicy Kraba.

Niekiedy wybuch supernowej (zależy to od wielkości gwiazdy) kończy się całkowitym kolapsem grawitacyjnym, samozapadnięciem, powstaje wtedy czarna dziura – a czarne dziury, jak wiadomo, są najdziwniejszą rzeczą, jaką w ogóle można znaleźć we Wszechświecie.

Może jednak najciekawsza jest koncepcja, że skoro pierwiastki cięższe od wodoru i helu powstawały w wyniku ɛ perwybuchów supernowych, wobec tego pierwiastki, z których my sami się składamy także „przeszły kiedyś kataklizm supernowej". „Fenomen supernowych był niezbędny, by mógł postać nasz Układ Planetarny, Ziemia, by wreszcie mogło na niej rozwinąć się życie i pojawić człowiek" (Jerzy Stodółkiewicz w książce „We wnętrzu Wszechświata", Wiedza Powszechna, 1981). Supernowa mogła też ingerować w rozwój już powstałego życia. Na przykład wspomniany tu Szkłowski wysunął kiedyś hipotezę, że wybuch supernowej blisko Układu Słonecznego mógł być właśnie przyczyną zagłady wielkich gadów i „skierowania" ewolucji na drogę rozwoju ssaków – i w końcu – człowieka. Bylibyśmy zatem dziećmi supernowej?

Za mało jest wciąż danych, by ostatecznie to ustalić. Ale supernowe wciąż pojawiają się w Kosmosie. Ta najnowsza, „1987 A" – rozprzestrzenia się w nową mgławicę z prędkością około 17 tysięcy km/sek., średnica nowego ciała kosmicznego jest już 10 tysięcy razy większa od Słońca. Być może, wkrótce uda się odkryć poszukiwane od lat fale grawitacyjne – tak potężny wybuch powinien je wytworzyć. Byłoby to jedno z największych odkryć tego stulecia (nie mówiąc już o możliwości dostrzeżenia wielu innych, nawet dziś nieprzewidywanych zjawisk).

My zaś możemy się cieszyć, że supernowa wybuchła tak daleko. Teoretycznie w supernową mogłoby się zamienić w ciągu sekundy sporo gwiazd, dużo bliższych Ziemi. Wówczas – w ostatniej chwili życia – zobaczylibyśmy najwspanialsze, najpiękniejsze i najpotężniejsze we Wszechświecie zjawisko przyrody. Byłby to zresztą może koniec godny ludzi. ■



Marek Zalejski



Różne recepty na film SF

Tak się złożyło, że twórczość Ridleya Scotta omawiałam na łamach „Fantastyki" zaczynając od jego najnowszego filmu, „Legendy", cofając się później do „Blade Runnera", żeby dojść wreszcie do jego pierwszego obrazu science fiction „Obcy – ósmy pasażer Nostromo". Okazją do przypomnienia „Obcego" jest pojawienie się na polskich ekranach drugiej części tego filmu.

„Obcy – decydujące starcie" jest kontynuacją „najsłynniejszego horroru kosmicznego", lecz tylko w warstwie narracyjnej. Akcja pierwszej części kończyła się sceną układania się do hipersnu jedynej ocalałej z załogi „Nostromo" kobiety imieniem Ripley, która wygrała pojedynek z obcym.

Druga część rozpoczyna się w momencie odnalezienia kapsuły dryfującej od 57 lat w kosmosie przez statek tej samej korporacji, która niegdyś wysłała załogę „Nostromo" w misję do gwiazd. Bohaterka pozostaje ciągle w szoku spowodowanym minionymi wydarzeniami, w które nikt nie chce uwierzyć. Na planecie, gdzie wylądował kiedyś statek badawczy, nie znaleziono w czasie kolejnych wypraw nic groźnego. Wysłano tam więc grupę kolonistów.

W czasie pięćdziesięciu siedmiu lat na Ziemi nie zmieniło się wiele. Nawet technika, pokazana bardzo starannie i efektownie nie uczyniła takiego skoku jakościowego, który uniemożliwiłby pilotce powrót do czynności zawodowych. Na przeszkodzie stają jednak ludzie, których mentalność i motywacje też nie uległy zmianie. Dla konsorcjum najważniejsza jest strata statku, nikt nie pamięta o załodze, która zginęła przed pół wiekiem!

Przerażona Ripley usiłuje tłumaczyć co grozi wysłanym z akcją kolonizacyjną rodzinom. Bezskutecznie. Aż do chwili gdy kontakt z planetą nagle ulega zerwaniu...

Wszelkie kontynuacje czy przeróbki filmów, zwłaszcza znanych czy wręcz sławnych, zachęcają do porównań. W przypadku „Obcego" jest to tym bardziej kuszące, że obie części zostały zrealizowane przez dwóch różnych reżyserów. Ridley Scott to jeden z najwybitniejszych twórców kina science fiction, stawiany obok takich tuzów gatunku jak Kubrick czy Carpenter. Popularność drugiego z reżyserów – Jamesa Camerona – jest już późniejszej daty, ale po sukcesie „Elektronicznego mordercy" (patrz: „Fantastyka" nr 4/87) jego nazwisko stało się bardzo głośne.

Obaj reżyserzy rozpoczynali jako graficy. A jednak ich twórczość filmowa jest odmienna. Jako filmowiec Ridley Scott zaczął od filmów reklamowych. Z tego okresu pozostała mu pasja tworzenia bogatych wizualnie i konstrukcyjnie obrazów. Plan każdej kręconej przez niego sceny (przy czym on sam staje zawsze za kamerą) jest dokładnie rozpisywany i rozrysowany. Dla sprawdzenia wyników pracy używa równolegle kamery wideo. Sam nadzoruje wykonanie kostiumów, dekoracji, ustawienia świateł, przygotowania efektów specjalnych i trików optycznych.

W „Obcym – ósmym pasażerze Nostromo" Ridley Scott stworzył atmosferę jakby z filmów Hitchcocka – groza budowana jest starannie przy pomocy drobnych, niegroźnych z pozoru zdarzeń. Lęk budzi zło, które jest nieokreślone do końca.

James Cameron od zawodu grafika przeszedł do pracy nad efektami specjalnymi. On także pracuje nad filmem rozrysowując dokładnie sceny, w których każdy szczegół musi być precyzyjnie ustalony. Ale dla niego jest to tylko sposób porozumiewania się z innymi ludźmi pracującymi przy robieniu filmu – aktorami, kaskaderami, technikami. Kiedy sam robi jakąś scenę, ma ją „w głowie". Camerona fascynują komiksy, które są dla niego kwintesencją wizualnej narracji.

Dlatego też, gdy Scott snuje wokół nas pajęczą sieć, Cameron pędzi prosto do celu. Od obrazu do obrazu. Od zdarzenia do zdarzenia. W drugiej części „Obcego" po pierwszych sekwencjach przypominających widzowi historię „Nostromo", akcja zaczyna toczyć się w stylu „Elektronicznego mordercy".

Na ratunek kolonistom (po zerwaniu kontaktu z planetą nikt już nie twierdzi, że zagrożenie przed którym przestrzegała Ripley jest bezpodstawne) skierowana zostaje grupa komandosów do zadań specjalnych. Nie brak wśród nich robota (czy jak sam woli być nazywany – syntetycznego człowieka). Jest to jedna z wielu reminiscencji scenariusza części pierwszej.

Po wylądowaniu na planecie komandosi rozpoczynają akcję bojową. Jednak tym razem ich strategia zawodzi. Okazuje się, że małe dziecko (dziewczynka imieniem Newt) potrafi skuteczniej przetrwać w sytuacji, gdy bezradni są uzbrojeni po zęby spece.

W filmie Scotta zło przez dużą część filmu jest nieznane. Załoga nie wie z kim walczy (wizję scenograficzną filmu zawdzięczał szwajcarskiemu malarzowi-surrealiście H.G. Gigerowi). Pod kostiumem horroru niósł głębsze przesłanie – jak łatwo można zniszczyć swoją rasę przez zwykłą nieostrożność, lub głupotę (jeszcze jedna odmiana stwierdzenia: wiemy, że nic nie wiemy). Zgodnie z inną interpretacją ukazywał, że grożące nam zło tkwi w nas samych (symboliczna scena wydobywania się obcego z człowieka).

Cameron decydując się na nakręcenie drugiej części wiedział, że musi zrezygnować z tego, co stanowiło o atrakcyjności pierwowzoru – tajemniczości, niedopowiedzenia. Tak więc od samego początku było wiadomo, że powstanie zupełnie inny film.

W „Obcym – decydującym starciu" nie ma miejsca na refleksję, na budowanie atmosfery strachu. Kompensowane jest to szybkością akcji i ilością wrogów. W pierwszej części wystarczył jeden obcy, w drugiej mamy do czynienia z całą ich kolonią.

W obu filmach w roli Ripley wystąpiła Sigourney Weaver. Stworzyła ona kreację pełną pasji, udało się jej przy tym uchronić od przeszarżowania i śmieszności. Rola sprawnego zawodowo pilota nie przeszkodziła jej ukazać się również jako ciepłej, pełnej uroku kobiecie, zwłaszcza w scenach z Newt.

Podobnie jak w „Elektronicznym mordercy" Cameron obsadził w głównej roli męskiej sympatycznego Michaela Biehna, maskującego nieśmiałość pozorną szorstkością, a skrywającego we wnętrzu skarby uczuć.

„Obcy – decydujące starcie" nie ma w sobie nic, co mogłoby przyćmić „Obcego – ósmego pasażera Nostromo", ale jest to film niezwykle efektowny, sprawnie zrobiony i całkowicie zasłużył na swą popularność. Myślę, że jego związek z filmem Ridleya Scotta to jedyna rzecz, która mu zaszkodziła.

Dorota Malinowska

OBCY – ÓSMY PASAŻER NOSTROMO (Alien). Reżyseria: Ridley Scott. Scenariusz: Dan O'Bannon. Efekty wizualne: H.R. Giger, Carlo Rambaldi, Brian Johnson, Nick Allder, Denys Ayling (film otrzymał za efekty wizualne Oskara). Obsada: Tom Skerritt, Sigourney Weaver, Veronica Cartwright, Harry Dean Stanton, John Hurt, Ian Holm, Yaphet Kotto. USA, 1979.

OBCY – DECYDUJĄCE STARCIE (Aliens). Reżyseria: James Cameron. Scenariusz: James Cameron. Obsada: Sigourney Weaver, Carrie Henn, Michael Biehn, Paul Reiser, Lance Henriksen, Bill Paxton. USA, 1986.

GALERIA

HISAKI YASUDA

Hisaki Yasuda, którego prace z przyjemnością przedstawiam w tym wydaniu „Galerii", jest młodym i elegancko noszącym się człowiekiem. Jeździ zagranicznym wozem o sportowej sylwetce, co w Japonii również jest wyznacznikiem sukcesu zawodowego. Ukończył projektowanie form przemysłowych na uniwersytecie Chiba, lecz obecnie ogranicza się do reklamowania tychże. Superrealistyczne wizerunki obiektów przemysłowych takich jak kamera wideo (w przekroju), nowy typ felgi czy przerzutka rowerowa są – jak twierdzi – podstawą jego utrzymania. Pozornie proste, noszą te obrazy piętno innego niż potoczne myślenia. Ich autor przez odpowiednią kolorystykę i układ przedmiotów, zdradza swoje inspiracje – zaczerpnięte zarówno z tradycji malarstwa surrealistycznego, jak i – według mnie – z niemalże mistycznego przeżycia tematu.

Twórczość Yasudy w dziedzinie „fantastycznej" przebiega na dwu płaszczyznach. Realizuje on zamówione ilustracje do konkretnych wydawnictw i tekstów, lecz – po pracy – przemienia się w demiurga własnego świata. Od kilku lat pracuje on nad cyklem kartonów pod wspólną nazwą „Miasto". Pisze japoński krytyk, pani Akiko Hyuga („Idea" 5/85): *(...) superrealistycznie przedstawione sceny pustaci wzdłuż estakad Tokyo Bay mają posmak planety Solaris; to pustynia, w której rosną struktury podobne modelom, nie ma tu śladu życia. Zimna technika malarska nadaje obiektom wrażenie prawie dotykalne.*

Naprawdę tak jest w Tokyo Bay. Lecz obrazy pana Yasudy, przedstawiające pustą stację kolejki i cementowe konstrukcje autostrad nie są prostą kliszą rzeczywistości. Są jej obrazem, może istotnie cieniem w znaczeniu platońskim, przefiltrowanym przez umysł twórczy, nie poddający się zbyt łatwo marzeniom i skłonny do refleksji.

Hisaki Yasuda, przedstawiciel kultury o korzeniach starszych niż nasza – śródziemnomorska – nie boi się rzeczywistości i współczesności. Jego „fantastyczne światy" mają w sobie wyraz i mistycznego przeżycia, i leków mieszkańca „światowej wioski". Opowiada nam Yasuda, nie zostawiając odcisków palców, co wydarza się, gdy zabraknie człowieka. Nie afirmuje on zastanej rzeczywistości, jego sztuka jest raczej zręczną konstatacją nie pozbawioną pytań – formułowanych w prosty, choć ekstremalny sposób. Ze słynnych pytań Gauguina „Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?" – Yasuda akcentuje ostatnie, odpowiadając swoją twórczością na poprzednie.

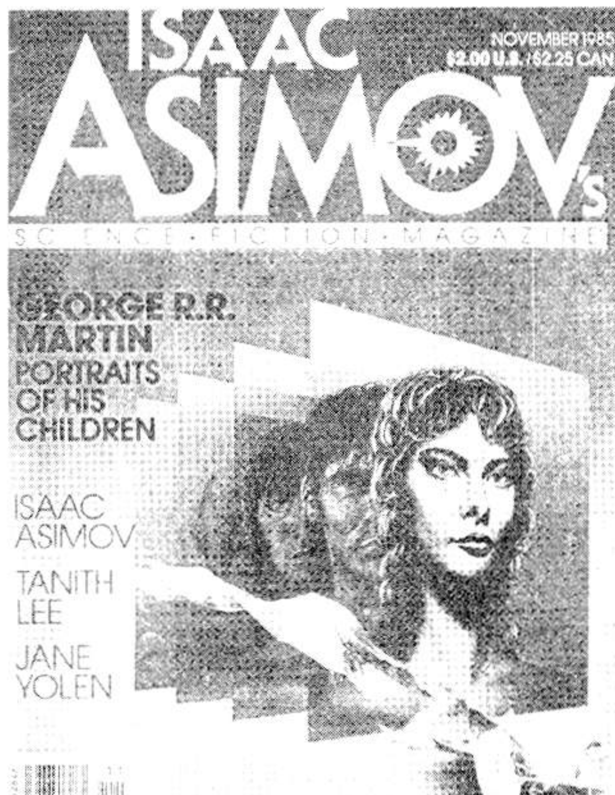
Nie chcę tym krótkim wywodem sugerować, że twórczość artystów jest rodzajem sportu; w tych zawodach wygrywają tylko widzowie, i to ci, którzy sprawniej odczytują kody i znaki stawiane przez tych kuglarzy ludzką wyobraźnią. Żałować mi jedynie wypada, że podłym drukiem pozbawiamy się możliwości uczestniczenia w kontemplacji kartonów Hisaki Yasudy.

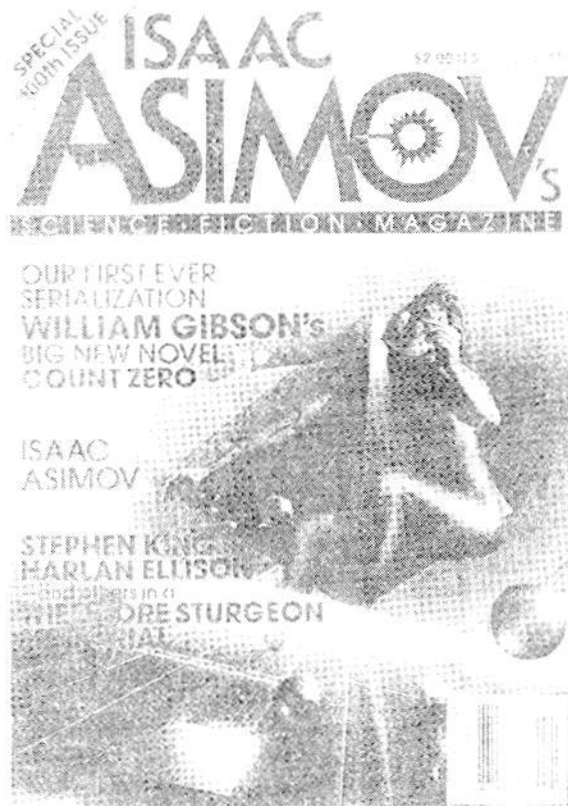
Mam nadzieję, że ich autor, człowiek łagodny i uprzejmy, nadto muzykalny, nie jest ostatnim reprezentantem Japonii w naszej „Galerii".

Marek Zalejski



Fot. Maria Murata





Okładka do „Isaac Asimov's Science Fiction Magazine"